





TŁÓMACZENIA

ANTONIEGO EDWARDA

ODYŃCA.

WYDANIE DRUGIE.

TOM II.

PIEŚŃ OSTATNIEGO MINSTRELA.

BALLADY I BAŚNIE.

WARSZAWA.

Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa.

1874.



66218

Дозволено Цензурою.
Варшава 3 Сентября 1872 г.

Wydawnictwo Wł. Jędrzej.

JÓZEFOWI I JÓZEFINIE

HRABIOM

ŁUBIEŃSKIM.

Z UCZUCIA I NA PAMIĄTKĘ PRZYJAŹNI.

POŚWIĘCAM.

A. E. O.

PRZEDMOWA AUTORA.

Głównym celem niniejszego poematu, jest malowanie zwyczajów i obyczajów, panujących niegdyś na pograniczu między Anglią i Szkocją. Dzieje mieszkańców tych okolic, prowadzących życie w pół pasterskie, w pół wojenne, i obok ustawicznych niezgód, napaści i wzajemnych łupieży. szanujących i zachowujących święcie ustawy i obrzędy rycerstwa: przedstawiają mnóstwo wypadków. godnych być przedmiotem poezyi. Przecież zamiarem autora jest raczej opisanie miejsc i obyczajów, niż ciąg i układ opowiedzianej powieści; uznał przeto za stosowne do swojego celu, przybrać dla swego dzieła formę dawnych poetycznych romansów, jako pozwalającą większej w tym względzie swobody, niżby to z godnością epicznego poematu pogodzić się dało. Forma ta ma jeszcze i tę dogodność, iż nie przeciwi się bynajmniej różnym przemianom miar wiersza, z czego autor często korzystał *). Wprowadzona też dziwność,

*) Właściwość tę tłumacz starał się też zachować w przekładzie.

oparta na podaniach gminnych, mogłaby zdawać się dziecinną w poemacie, nie mającym cech dawniej ballady lub poetycznego romansu.

Z tych to względów, autor kładzie swą powieść w usta dawnego Minstrela, ostatniego z tej klasy ludzi, który przeżywszy, jak się przypuszcza, rewolucyą, która obaliła tron Sztuartów, mógł już korzystać cokolwiek z wydoskonalenia poezji nowożytnej, nie tracąc całkiem prostoty pierwiastkowych swych wzorów. Sama rzecz powieści dzieje się około połowy XVI-go wieku, gdy wszystkie prawie działające osoby rzeczywiście kwitnęły. Akcja zajmuje trzy dni i trzy noce.

PIEŚŃ
OSTATNIEGO MINSTRELA

POEMA

WALTERA SKOTTA.

W SZEŚCIU PIEŚNIACH.

W S T Ę P.

Wiatr był północny, droga daleka,
Minstrel był stary, słaby kaleka;
Poważne lice, włos jego biały,
Widać, że lepsze dni kiedyś znały;
Arfę, jedyną jego osłodę,
Dźwigało za nim pachole młode.
Był to ostatni z szkockich Minstreli,
Co ze czcią niegdyś w kraju słynęli,
I głosząc dzieła praojców sławnych,
Uczyli młodych, iść w ślady dawnych.
Lecz się, niestety, wszystko zmieniło!
Współbracia jego śpią pod mogiłą;
On, biedny tułacz w ojezystej ziemi,
Chciałby już tylko odpocząć z niemi.
Bo cóż po życiu, gdy wszystkie jego
Młode uroki serce odbiega?
Nie jemu teraz, na rączym koniu,
Jak ptak swobodnie hasać po błoniu!

Nie jemu teraz, ach! już nie jemu,
Pożadanemu, szanowanemu,
W zamkach, na ucztach, wśród grona gości,
Śpiewać cześć męztwa, urok miłości,
I w sercach mężów budząc wzruszenie,
Z oczu piękności czerpać natchnienie!

W Szkocyi teraz wszystko inaczej:
Ani tych biesiad, ni tych słuchaczy!
Z starymi ludźmi, zniknęły wszędy
Stare zwyczaje, stare obrzędy;
Przychodzień, z ciężkim berłem w prawicy,
Na Sztuartowej zasiadł stolicy;
Mroczny fanatyzm, grożąc pochodnią,
Pieśń i wesołość mieni być zbrodnią.
Wzgardzony śpiewak, płonąc od sromu,
Musi iść zebrać z domu do domu,
I dla motłochu arfę swą stroić,
Którójby dźwiękiem król się mógł poić.

Szedł, gdzie z wśród cienia dębu i świerku
Wznoszą się błyszczące wieże Newerku.
Bard zwrócił ku nim posępne oko,
Wspomniał swą przeszłość, westchnął głęboko;
Spójrzył dokoła—lecz nigdzie innęj
Nie było niższej strzechy gościnnęj.
Drżącym więc krokiem, przez most zwodowy,
Szedł ku podwojom bramy zamkowęj,
Któręj żelazne rygle i brony
Odbiły nieraz szturm rozpędzony,
Lecz w którąj zawsze stojąc na straży,
Duch gościnności witał nędzarzy.

Księżna przez okno starca ujrzała *);
Włos jego biały, postać nieśmiała,
Wzbudziły litość;—rzekła paziowi,
By go z czcią spotkać wyszli domowi.
Bo choć tak można, z krwią królów bliska,
Znała i ona losu igrzyska,
Gdy kochająca, w lat swych zaraniu,
Z dziką rozpaczą, przy rusztowaniu
Lubego męża, próżno na wroga
Wzywała pomsty ludzi i Boga.

Gdy zmordowane wędrowca siły
Skromnym posiłkiem nieco ożyły,
A widok chętniej, dworskiej względności,
Wzbudził w nim pamięć lepszej przeszłości:
Z dawno doznaném czuciem wesela,
Zapłonął w duszy ogień minstrela.
Zaczął więc prawić o przodkach księżny,
Co był za rycerz dziad jęj potężny **),
Jak gromił wrogów, jak w kraju sływał;
Jak, świeć mu Panie! ojciec jęj zginął.
Dodał, że jeszcze z dawniejszych dziejów
Wię różne czyny wielkich Buklejów;
I gdyby księżna, przez wzgląd na treści,
Chciała posłuchać starca powieści,

*) Anna, córka Franciszka Skotta, Lorda Buccleuch, a wdowa po księciu Jakóbie Monmouth, ściętym w r. 1685.

**) Walter Skott, Lord Buccleuch, sławny wojownik.

Choć dłoń mu skrzepla, choć głos oniemiał,
On—i dla czegoż wyznaćby nie miał?—
On czuje w sobie dość jeszcze ducha,
By śpiew zanócić godny jęj ucha.

Chętnie spełniono skromne żądania,
Paż go do księżny zawiódł mieszkania.
Lecz skoro wstąpił w gmach jęj wspaniały,
Gdzie z nią jęj dworskie damy siedziały,
Możeby raczěj wolał odmowę;
Tak uczuł w sobie wzruszenie nowe.
Tak mu się nagle w myślach zmąciło
Wszystko co teraz, co dawniej było:
Że gdy sam w sobie upokorzony,
Chciał dobyć z arfy dawne jęj tony,
Uczuł, że palce moc swą straciły,
Którą nadaje wiara w swe siły.

Księżna odgadła co się w nim działo.
A więc nie rażąc zbytnią pochwałą,
W słowach jednakże miłych dla ucha,
Dodala serca, zagrzała ducha,
Aż stróny, w które trącał powoli,
Zabrzmiały wszystkie w ton jego woli.
Wtedy rad z siebie ozwał się śmielēj,
Że pomni powieść dawnych minstrelī.
Którēj już w życiu swém poniżoném
Nie miał nadziei śpiewać przed zgonem.
Bo nie dla gminu pieśń ta złożona,
Lecz dla dam wielkich, dla panów grona;
Sam ją przed królem śpiewał za młodu,
Na jedněj z świetnych uczt Holyrodu;

Pieśń tę powtórzyć chciałby w tej dobie,
Notę jej tylko przypomni sobie.

I zwolna ręką wodząc po stronach,
Coraz to w innych przebiera tonach;
I w czole widać walkę z pamięcią,
Którym raz po raz wstrząsał z niechęcią.
Aż gdy raz wzbudził znajome brzmienia,
Twarz zajaśniała blaskiem natchnienia,
Duch w oku starca zaiskrzył młody,
Dziwny rumieniec oblał jagody,
I harmonijny, choć w miarach zmienny,
Rozległ się odgłos pieśni wojennej.—

Miejsce, słuchacze, doła żebraka,
Wszystko zniknęło z myśli śpiewaka;
Zimna nieufność w sercu zbolałem.
Nagle przed wieszczym pierzebla zapałem;
I tak, gdy wszyscy wkrag oniemieli,
Nócił ostatni z szkockich Minstrel.

PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Umilkł w Brankson gwar biesiady ¹⁾,
Do tajemnych komnat gmachu
Samotna odeszła Lady.

Do komnat, których drzwi potężne czary
Tajemniczemi zamknęły słowami:—

Słów tych nikt wspomnieć bez strachu,
Powtórzyć nie śmie bez kary:—

Jezus Marya zmiłuj się nad nami!

Nikt oprócz Lady, za żaden skarb ziemny

Nie śmiałyby wstąpić w ten gmach jej tajemny.

II.

W biesiadnej sali gwarliwa drużyna,
To stoi kołem przed ogniem komina,
To znów pod ręce wzdłuż chodząc pospołu,
Ciągnie rozmowy zaczęte u stołu.

Na potrząśnionych gałęźmi kamieniach
Śpią psy myśliwe, i w sennych marzeniach
W głoś gonić zwierza zdają się śród boru,
Z Tewiotstonu do Eskedalmoru.

III.

Dwudziestu dziewięciu szlachetnych rycerzy
 Weiż w zamku Branksomskim gościło;
Dwudziestu dziewięciu, w bogatěj odzieży,
 Na rozkaz ich paziów służyło;
Dwudziestu dziewięciu rycerskiej młodzieży
 Rumaki ich w stajniach karmiło;
A wszyscy waleczni, ojezyny nadzieja,
A wszyscy są krewni hrabiego Bukleja.

IV.

Dziesięciu z nich w kolej, na pierwszy znak trwogi,
Gotowych co chwila do boju lub drogi,
Z orężem u pasa, z ostrogą u nogi,
 W dzień i w nocy nie zrzucą zbroicy;
 Na swych twardych puklerzach,
 W nierozpiętych pancerzach,
Chwilę ledwo snu dadzą żrenicy;
 W rękawicach ze stali
 Za stół nawet siadali,
Wino pili przez kratę przyłbicy.

V.

Dziesięciu giermków, wprawionych do broni.
Trzyma przed gankiem kopije rycerzy;
Trzydzieści zbrojno osiodłanych koni,
Dziesięciu w rękach wodzi masztalerzy;
Każdy koń z kitą piór strusich u skroni,
Za każdym siodłem buzdygan się jeży;
Sto innych w stajniach zostaje się w domu. —
Taki jest zwyczaj na zamku Branksomu.

VI.

Dla czegoż te konie pod siodłem tak stoją?
Dla czego rycerze czuwają pod zbroją? —
Czuwają, by w porę brytanów szczekanie,
By w porę posłyszeć strażników wołanie;
By zdala nad chmurą kurzawy wzniesiony
Świętego Jerzego krzyż dójrzeć czerwony *);
By w porę pośpieszyć i bronić swych włości,
Przed Skropem, lub Percym, wsławionym z zdrad tyłu,
I nie dać się ubiedz Howarda napaści,
Z Warkwortu, z Nawortu, z pięknego Karlilu.

VII.

Taki jest zwyczaj na zamku Branksomu. —
Mężni rycerze bronią go i strzegą:

*) Godło na sztandarze Anglików.

Lecz on, pan zamku, wódz Buklejów domu!
Miecz jego straszny jak łyskanie gromu,
Rdzewieje nad grobem jego! —
Rok ledwo upłynął
Jak lord Walter zginął ²⁾,
Gdy nie syt krwi bratniej i mordu,
Nieżgodę na nowo,
Straszliwą, domową,
Rozniecił Karr, baron z Cessfordu.
Gdy lud z nad granicy
Pierzchał ku stolicy,
Gdy Edyburg nawet krwią spłynął:
Tam w dymach pożogi,
Lord Walter bez trwogi.
Broniąc swoich, walczył i zginął.

VIII.

O! straszna wojno pychy rodowej,
Wojno sąsiedzkiej zawiści!
Kto cię rozbroi? kto z Kaimowej
Zbrodni twych wodzów oczyści?...
Ach! — próżno razem w pielgrzymim stroju,
Do miejsc cudownych szli wszędy ³⁾;
Próżno za dusze poległych w boju
Wspólne sprawiali obrzędy:
Póki w Cessfordzie włada dom Karrów,
Buklej w Etryku przewodzi:
Póty zawziętość odwiecznych swarów,
Z pamięcią rzezi, klęsk i pożarów,
Z ojca na syna przechodzi.

IX.

Lud wojownieczy załamywał ręce
Nad trumną lorda Waltera;
Niewiasty w łzami uroszone wieńce
Stroiły grób bohatera.
Lecz łzy ni kwiatu pozostała wdowa
Nie uroniła na grobie;
Nadzieja pomsty i duma surowa
Dodały meztwa w żałobie.
Aż gdy wkrąg patrząc na twarze żałosne,
Syn mały w domu zawołał:
„Pomszczę się ojca, niech tylko podrosnę!”
Zal dłużej kryć się nie zdołał,
Łkając go swemi okryła pieczyoty,
I łzy jej wdowie zlały twarz sieroty.

X.

W stroju z rozpaczony starganym,
Na wiatr rzuciwszy włos,
Nad ojcem swym ukochanym
Anna płakała w głos.
Lecz prócz żałości dziecinnęj,
Był jeszcze powód łez inny:
Bojaźń o przyszły los.
Serce jej gore miłością —
Przed nimby tylko z ufnością

Odkryła głąb tajemnicy;
Lecz twarděj matczyněj duszy,
Wię, że ni zmiękczy, ni wzruszy,
Prośba ni rozpacz dziewicy.
Lord Kranston jēj oblubieniec ⁴⁾,
Cessfordów był pokrewieniec,
Herb jeden na ich sztandarach;
A wię, że matka jēj sroga,
Wprzód niż ją wydać za wroga,
Woli wprzód ujrzyć na marach.

XI.

Lady ród wiodła wysoki.
Ojciec jēj, mędrzec głęboki,
Szczep możnych Bethunów domu ⁵⁾,
Za morzem szukał nauki,
I w Padwie uczył się sztuki
Niedozwoloněj nikomu.
Wieści krążyły u ludu,
Że czynił, czego bez cudu
Człek nie dokaże swą siłą;
I w dzień, gdy szedł w zamyśleniu,
Ni przed nim, ni za nim cieniu
Od ciała jego nie było ⁶⁾.

XII.

Po ojcu, mówią, z dziecięcia
Lady tę sztukę posiadała,
Że na jēj straszne zaklęcia
Nadziemskie drżały widziadła ⁷⁾.—

I oto właśnie, w swęj niedostępnej,
Zaczarowanej wieży posepnej,
Powstawszy z gniewem, słuha łoskotu,
Co się wzniosł nagle z fal T ew i o t u.
Ryk-że to wody, co gdy przybierze,
Chce swe skaliste skruszyć nadbrzeże?
Szum-że to wichru, co między lasy
Z twardemi dęby idzie w zapasy?
Trzęsienie ziemi, czy łoskot gromu,
Co wstrząsł jak z posad mury Branksomu?

XIII.

Przerażone echem dzikiem
Psy zawyły z przestracchu;
Ćma puszczyków, z głośnym krzykiem,
Rozpierzehła się po gmachu.
Goście z miejsce się swych porwali,
Tłum ku oknu się spycha:
Myślą, burza! — patrzą z sali,
Lecz noc jasna i cicha.

XIV.

Lady odgadła powód łoskotu.
Nie był to łoskot fal T ew i o t u,
Nie był to wicher burzy dalekiej,
Nie grom to wstrząsnął Branksomu mury:
Lady poznała, że Duch to rzeki,
Przemawiał do Ducha góry.

XV.

DUCH RZEKI.

„Śpisz-li bracie?“

DUCH GÓRY.

—„Bracie, nie!—

Księżyc w pełni świeci mnie.
Na kobiercach moich z wrzosu,
Od Skelf-hillu do Craig-crossu *),
Pod drzewami, nad zdrojami,
Tłumy Sylfów girlandami,
W przezroczystej tańczą mgle.
Wstań, i obacz tan ich zręczny,
Wstań, i usłysz śpiew ich wdzięczny,
Luby bracie, odwiedź mnie!“—

XVI.

DUCH RZEKI.

—„Nurt mój macą łzy dziewicy,
Pięknęj Anny z Branksomu,
Co swęj serca tajemnicy
Nie śmie zwierzyć nikomu.
Powiedz ty, co widzisz gwiazdy,
Prędkoż mordy i najazdy

*) Czytaj Kreg-Krossu.

XX.

Lady przez chwilę z matczyném wzruszeniem
Spójrzała na widok ten,
I wnet, wkrąg bystro rzuciwszy spójrzeniem,
Wyszła—wezawszy za sobą skinieniem
Wiljama de Deloraine.

XXI.

Z tyłu rycerzy, co w zamku gościło,
Nikt mu nie równał postawą i siłą:
Nikt na turniejach, ni w bitew natłoku,
Kopii zręczniejsz nie ułożył w toku.
Od błot Tarrasu, do piasków Solwaju,
Nikt nie znał lepiej mieszkańców i kraju,
Gdzie stokroć z łupem uchodząc przez jary,
Zmylił najlepsze Percego ogary ⁸⁾.
W niczem dlań nigdzie nie było zapory:
Przez góry, rzeki, przez lasy i bory,
Wię wszystkie ścieżki, i ani się boi
Wezwał gnać po skalach, lub płynąć we zbroi.
Jedno dla niego czas lipca czy grudnia,
Ciemność północy, czy skwary południa;
Niczem dla niego jest mord i pożoga,
Gdy ma łup dostać, lub napaść na wroga.
Pięćkroć przez Szkoeką wygnany królowę,
Unosił życie w kraj nieprzyjacielski:
I pięćkroć wracał, gdy na jego głowę
Cenę nałożyć król kazał Angielski.

XXII.

- „Rycerzu! — rzekła Lady — tój nocy
„Trzeba mi twojej wiernej pomocy.
„Weź najlepszego konia ze stajni,
„I co najszybciej, i co najtajniej,
„Pędź do Melrozu! — Gdzie? zkąd? i po co?
„Milez! — lecz pośpieszaj, byś przed północą
„Był tam. nim przebrzmia modły wili! —
„Pytaj o mnicha Świętej Maryi.
„Pozdrów i powiedz, żem cię przysłała:
„Że przyszła chwila, i że wam obu
„Poruczam dzisiaj zdobyć Skarb Grobu.
„Bo dziś Świętego wilja Michała:
„Gwiazdy zamglone, lecz księżyc czysty. —
„Czas wam i miejsce krzyż wskaże krwisty.

XXIII.

- „Co ci mnich odda, strzeż i ukrywaj!
„Wracaj! — nie stawaj, ani spoczywaj!
„I czy to będzie pismo, czy księga,
„Niech do niej twoje oko nie sięga:
„Bo gdybyś zajrzał, albo dochodził —
„Lepiejby było, byś się nie rodził!“ —

XXIV.

- „O! nie bój się Lady! mój dzielny koń gniady
„Niech tylko się kopnie z kopyta.
„Za Bożką pomocą, tam dziś przed północą,
„Tu staniesz nim zorze zaświta.

„I szukać daremnie, lepszego odemnie
„Do spełnienia twojego rozkazu:
„Bo jako Bóg żywy! jam rycerz prawdziwy!
„Książki w ręku nie miałem ni razu.“—

XXV.

Rzekł, dopadł konia, wzmocnił się w lęku.
Kopiję z giermka pochwycił ręku.
Ścisnął ostrogą—przez most zwodowy
Zagrzmiał jak piorun tentent podkowy.
Przez las, na prawo, szybkim zawrotem,
Puścił się drogą nad T e w i o t e m.
W bok G o l d i l a n d u granicznej wieży,
Skalnych B o r t w i k u dotarł wybrzeży:
W mgłę M o a t - h i l l u szczyt ujrzał głuchy,
Gdzie dotąd błędzą Druidów duchy:
Z okien H a w i k u, światła w pomroku
Jak wstęga tylko migły mu w oku;
I wnet jak widmo straszne dla gmlnu,
Przemknął około bram H a z e l d i n u.

XXVI.

„Kto? stój!“—strażnicy z baszt zawołali.
— „Swoj—rzekł—z Branksomu! — i pędził dalej—
Skręcił na północ brzegiem strumienia.
Na stromą górę wbiegł bez wytchnienia;
Aż niecznużony po trudach tyłu,
Ujrzał półdrożną błoń H o r s l i e - h i l l u.

Na lewo przed nim pasem leżała:
 Odwieczna Rzymian droga wspaniała.

XXVII.

Tu wstrzymał konia, lecz się nie bawił:
 Obejrzał oreż, siodła poprawił,
 I wskok znów dalej! — Jasność księżycą
 Olbrzymie Mintu skały oświeca,
 Zkąd głośny w pieśniach, zbójca przemożny,
 Czyhał przed laty na łup podnożny ⁸⁾,
 A trąbki jego dźwięk między skały,
 Tysiączne echa w grom zamieniały.
 Delorraine myśląc o nim, żałował
 Że go dziś nie ma, by z nim spróbował!

XXVIII.

Szybko i prosto, jak grot do celu,
 Przeleciał bujne pola Riddelu,
 Gdzie Ail z jezior i z gór wezbrany,
 Wrąc z szumem tłucze o skalne ściany,
 I jak wędzidła koń niecierpliwy,
 Fał swych pieniste wydyma grzywy.
 Ale dla gońca nie ma przeszkody!
 Wprost, jak gnał czwałem, wskoczył do wody.
 Nigdy mąż cięższy, w nocnym pomroku,
 Nie walczył z szybszym nurtem potoku.
 Koń się ponurzył: — jeździec bez trwogi,
 Spał go wędzidłem, dodał ostrogi:

Koń wzbił się na wierzch — nozdrza rozszerza,
Fala dosięga piersi rycerza,
Pryska nad głowę: — lecz w nim odwaga
Z niebezpieczeństwem równo się wzmaga.
Zwrócił na ukos, i z biegiem prądu
Kierując zręcznie, dobił się ładu.
Koń nie miał czasu parsknąć na brzegu,
Pan go znów bodźcem zmusił do biegu.

XXIX.

Przez Bowden-Moru pędząc bezdroże,
Halidon-Hillu obaczył wzgórze.
I westchnął z smutnym wstrząśnieniem głowy. —
Bo w myślach jego stanął dzień owy.
Straszny dzień pierwszy wojny domowej,
Krwawy początek dziedzicznych swarów,
Przyjaznych dotąd Skottów i Karrów ¹⁰⁾.
Gdy król, w Douglasów tęskniąc przemocy,
Wiernej Bukleja wezwał pomocy.
A wodze Karrów, w stanowezej chwili,
Zwycięstwo jego w klęskę zmienili:
A wśród pogoni, ciżby i mordu,
Legł z nich najpierwszy, baron z Cessfordu. —

XXX.

Z gniewem w bok konia topiąc ostrogi
Deloraine mijał widok złowrogi;
Aż z góry we mgle ujrzał w oddali,
Cień wież Melrozu, błysk Twidu fali.

Olbrzymi nakształt skały szerokiej,
 Gmach się kościelny dźwigał w obłoki,
 A wkoło w massach skupione mury,
 Zdały się gruzem zwałonej góry.

W Hawiku słyshał hasło wieczoru,
 Tu dzwon się ozwał z wieży klasztoru —
 Księża na *Laudes* idą do choru.

„Ha! w sam czas!“ — jeździec krzyknął z pociechą.
 I podwojone kopytów echo,
 Jak grom się przed nim tocząc wzdłuż łańcu,
 Spotkało z świętym brzmieniem organu,
 Co z bram kościelnych wiatr niósł na błonia. —
 Deloraine w branie zeskoczył z konia,
 I przy ostatniej nocy nieszporniej.
 Jak duch wpół widny we mgle wieczornej,
 Szedł ku podwojom fórty klasztornej.

Tu stróny znikły; — z echem ich brzmienia,
 Zgasł w duszy wieszczą zapal natechnienia.
 Skromnie ku arfie pochylił czoło,
 Nieśmiałym wzrokiem rzucił wokoło:
 Znać, że w obecnych twarzy i oku,
 O pieśni swojej szukał wyroku:
 I jakby nie śmiąc ufać pochwale,
 Nieco o dawnym wspomniał zapale,
 I jak w nim nędza i wiek zwątpiły,
 Lepsze za młodu pamięć i siły.

Księżna i wszystkie damy orszaku,
Umiały pojąć wieszczą w śpiewaku,
I z szczerem czuciem, głośno oddały
Jemu i pieśni winne pochwały.
Starzec ośmielon słodką ich mową,
Tak pieśń swą nócić zaczął na nowo.

KONIEC PIEŚNI PIERWSZEJ.

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Kto dziś Melrozu chcesz zwiedzać ruiny ¹⁾,
Idź, gdy je nocey mrok ogarnął siny.
Wesoła jasność dziennego promienia,
Złocąc je, zda się urągać z zniszczenia.
Lecz gdy z za chmury wyjrzy księżyc blade,
A wzniosłe łuki i mroczne arkady,
Mdłym jego światłem bielejąc po wierzchu,
Czernią się spodem jak otehlanie zmierzchu;
Gdy każda ściana, w cieniach lub jasności,
Zda się z hebanu, lub słoniowej kości;
A wkoło wieków w pół zatarte rysy,
Obrazy świętych, grobowe napisy,
Mówią z przeszłości;—a szum T w i d u fali.
Albo huk sowy słyhać tylko w dali;—
Wtedy, wędrowcze! idź, gdy ci się przyda.
Idź na gruz gmachu świętego Dawida.

I gdy czuć umiesz, wyznaj, żeś ni razu
Tak uroczego nie widział obrazu!

II.

Słepy na urok malownych scen,
Wielkimi kroki szedł Deloraine,
I rękojeścią swego klajmoru
Bił, co miał siły, w fortekę klasztoru.
— „Kto tam?” — głos z wewnątrz ozwał się groźno.
„Czemu tak głośno? po co tak późno?” —
— „Goniec z Branksomu!” — Ledwo domówił,
Drzwi się otwarły, stróż go pozdrowił.
Bo z dawien dawna Buklejów plemię
Prawa i właści Melrozu strzeże,
I hojne dary, skarby i ziemie,
Za dusze przodków święci w ofierze.

III.

Deloraine krótko cel swój wymienił.
Stróż nie rzekł słowa, lecz się nie lenił:
Zatlił pochodnię, i idąc w przód,
Przez kryte ganki, przez kręte wschody,
Ostrożnym krokiem, boso, w kapturze,
Sunął się cicho, jak cień po murze:
Gdy łoskot zbrojnej rycerza stopy,
Krok w krok sklepienie wtórzyły stropy.
Aż uchylając hełmu i szyi,
Wszedł w progi mnicha Świętej Maryi,

I pozdrowiwszy skinieniem głowy.
Wznosząc przyłbice, rzekł temi słowy.

IV.

„Lady z Branksomu tu mię przysłała:
„Mówi, że przyszła chwila, i obu
„Każę nam dzisiaj zdobyć Skarb Grobu.
„Bo dziś Świętego wilja Michała:
„Gwiazdy zamglone, lecz księżyc czysty. —
„Czas nam i miejsce krzyż wskaże krwisty.“ —

V.

Z twardej pościeli, mnich ze snu zbudzony,
Zwłókł wyschłe członki, i stał cały drżący.
Wiek stuletniami ubielił mu szrony
Poważną brodę i włos rzedniejący.
Stał, i na gońca obrócił źrenice.
W głębokich jamach tłące pode brwiami:
„Tyżbyś śmiał zgłębiać straszne tajemnice,
„Co Bóg i szatan chce ukryć przed nami? —
„Patrz na mnie! widzisz z mojego oblicza
„Com cierpiał: — skóra odpadła od kości,
„Od włosienicy i ostrego bieża; —
„Przez lat sześćdziesiąt ciało moje pości,
„Żyjąc o chlebie i wodzie: — kolanem
„Starłem kamienie podłogi: — a przecie,
„Nie wiem, czy dotąd nie stoi przed Panem
„Grzech, com go z młodu popełnił na świecie,

„Chcę przedrzeć ełmurę, którą Bóg na ziemi
„Rozdzielił wiecznie duchów z śmiertelnemi!—
„Zważ więc!—lecz jeśli odrzucisz przestrożę,
„Jeśli wiek cały strawiwszy w pokucie.
„Chcesz drzeć o duszę w ostatniej minucie: —
„Pójdź!—obiecałem, pokażę ci drogę.“—

VI.

— „Pokut ja żadnych czynić nie myślę,
„Post chyba w głodzie zachowam ściśle.
„Trzępię, jak umiem, *Patcr* i *Ave*,
„Gdy siadam na koni iść na wyprawę,
„Lecz piekłem sobie głowy nie suszę. —
„Czyni więc co trzeba, bo śpieszyć muszę.“—

VII.

Znowu na niego mnich spojrział zdumiały,
I patrząc westchnął głęboko.
Bo i on kiedyś był wojownik śmiały,
I w świecie słynął szeroko.
I wspomniał siebie, gdy w zbroi promiennej,
Z krzyżem na piersiach, wesoły,
Na morzu z fali urągał bezdennęj,
Lub koniem sięgał sokoły.
Wspomniał—i kijem podpierając kroki,
Schylony, drżący, pokorny.
Wiódł gościa, kędy krużganek wysoki
Otaczał ogród klasztorny.
Cień mrocznych sklepień padał na ich głowę,
A stopą głązy deptali grobowe ²⁾.

VIII.

Zioła i kwiaty, mgłą nocną obwiane,

Błyszczały rosą—a księżyc na ścianę

Padając z boku, oświecał dokoła

Podobneż w rzeźbie i kwiaty i zioła. —

Mnich stanął nagle, i trwożne źrenice

Zwrócił ku stronie północnej:

Gdzie jak z wulkanu, skry i błyskawice

Tryskały z ciemności nocnej.

I to jak race, śmigając ku górze,

To w bok, jak szmeremle rozpierzełte,

Czerwoną łuną, jak polarne zorze,

Oblały niebo zamierzełte.

Mnich zdwoił kroku, i szepeąc akt skruchy,

Korzył się w częstych westchnieniach:

Bo on to poznał, że nieczyste duchy

Bujały na tych promieniach.

IX.

Przez kute z miedzi wazkie drzwi poboczne,

Weszli do środka kościoła.

Na lekkich słupach, szezyty jego mroczone

W ciemnościach nikły dokoła.

Gdzie nigdzie tylko promień księżycowy,

Przez okna padając z góry,

Oświecał obszar olbrzymiej budowy,

I kształty wewnętrznej struktury.

Łuki rzucone wszere bokowych skrzydeł,

Cud dłota, podziw spojżenia!

Gzymsy z potwornych masek i straszylet,
Zdobily kosze sklepienia.
A słupy cienkie, od góry do dołu
W trofeach między kwiatami,
Zdały się każdy pękiem dzid, pospołu
Pozwiązywanych wieńcami.

X.

Z ponurým echem wiatr wiejąc przez szpary,
Wstrząsał chorągwie i stare sztandary,
Tkwiące przy wielkim ołtarzu.
Tam jedna tylko, ze srebrzystej urny,
Bładowa lampa siała blask poehmurny,
Na groby wasze, wodzu Otterburny,
I Liddesdalski mocarzu!—³⁾
O! marne szczyty wielkości światowej:
Blask tylko lampy i kamień grobowy!

XI.

W oknach, przez które lśnił księżyc promienny,
Splot fantastyczny trelazy *) kamiennęj,
Zdumiewał oczy patrzące;
Rzekłbyś że wróżka, z dziecinnęj swawoli,
Prątkami z trzciny, gałęzie topoli
Pogięła w węzłów tysiące,
I potem wreście, dla lepszych omamień,
Wiotką pleciankę zamieniła w kamień.

*) Wyraz techniczny, z francuzkiego *treillage*; kratkowanie w oknach gotyckich.



Srebrzysta jasność, w pośród ram tych krętych,
Na tle szyb w różnych kolorach.
Ukazywała Proroków i Świętych.
W różnobarwistych ubiorach.
W środkowém oknie stał Archanioł Michał,
Z chorągwią z krzyżem czerwonym,
Deptał szatana i w otchłań go spychał.
Godząc weń mieczem wzniesionym.
Przez tę chorągiew blask przechodząc z góry,
Krwawy znak krzyża rzucał na marmury.

XII.

Deloraine z mnichem usiedli na grobie.—
Był to grób króla szkockiego ⁴⁾.
A mnich, znać było że gwałt czyniąc sobie,
Tak zeicha mówił do niego.
„Nie zawsze byłem, czém mię widzisz teraz;
„W krainach Maurów pogańskich.
„Z młodu za wiarę krew przelałem nieraz.
„Waleząc w szeregach hiszpańskich.
„Dziś wzrok mój ćmi się patrząc na twą zbroję.
„Szepek twego miecza razi ucho moje.

XIII.

„Tam, w Salamance, zdarzenie mi dało
„Napotkać Michała Skotta ⁵⁾.
„Świat drżał przed jego czarnoksiężką chwałą;
„Bo gdy go wzięła ochota,

- „Dać tam swym uczniom dowody swéj siły,
„I laską powiódł po śpiżu:
„Z wież same dzwony na trwogę dzwoniły,
„I wieże drżały w Paryżu ⁶⁾.
„Mag mi przez przyjaźń odkrył tajnie swoje,
„Pozwolił użyć wyrazu.
„Co szczyt Ejlido nu rozszezepał na troje,
„I przez Twid rzucił most z głazu ⁷⁾.
„Lecz, wojowniku! powtórzyć go tobie.
„Byłoby zgubić twą duszę;
„A i tak nawet, żem go wspomniął sobie,
„Pokutę potroić muszę.

XIV.

- „On też na swojej śmiertelnej pościeli
„Poznał, że moc ta jest grzechem.
„Jam był najbliższy z jego przyjacieli,
„Kazał mi przybyć z pośpiechem.
„W Madrycie jego odebrałem hasło.
„Gdy słońce wstawało z morza:
„I, wojowniku! nim słońce zagasło,
„Stałem tu, u jego łoża.
„Co mi powiedział ostatniemi słowy,
„Nie pytaj!—straszna ich siła
„Na gróbby jego i na nasze głowy
„Sklep téj świątyni zrzuciła.

I krwawym oblał się potem.
Dwakroć odпочzął:—lecz za trzecim razem,
Głaz zasadzonem podjęty żelazem
Na bok odwalił z łoskotem.—
O! wtenczas, chciałbym, żebyście tam były!
Bo czyż wam zdołam wystawić
Obraz tej chwili, gdy światło z mogiły
Buchnęło łuną błyskawic;
I w mgnieniu oka, jak blask meteoru,
Oblało ołtarz i ściany,
I kolumnadę krużganków i choru,
I sklep w trójkąty łamany?—
Z zbroi rycerza jak płomień wytrysnął.
Jak śnieg zaiskrzyło pióro.
Mnich prędko kaptur na oczy nacisnął,
I w ziemię patrzył ponuro!

XIX.

W całej postaci Mag leżał przed niemi,
Jakby od wczoraj złożony do ziemi.
Do pasa długa, broda jego biała
Jak biały całun pierś mu okrywała;
Sto lat przeżytych znać było z oblicza,
Gdzie tchnęła jeszcze wielkość tajemnicza.
Strój miał pielgrzymi, bez żadnego znaku,
I pas w złociste godła zodyaku;
Srebrny krucyfiks trzymał w dłoni prawej,
Pod lewą, gruba, żałobnej oprawy.
Leżała księga na kłanry zamknięta,
A u stóp lampa płonęła zaklęta.

Twarz była cicha i wypogodzona.
Mnich wniósł, że dusza być musi zbawiona.

XX.

Nieraz na polach krwią ludzką okrytych,
Deloraine koniem tratował zabitych.
I nie czuł zgryzot ni strachu:
Lecz go przejęły i strach i zgryzota.
Widząc otwarty grób Michała Skotta,
I ów blask nagły po gmachu.
Krew skrzepła lodem, i stał jak przykuty.—
Mnich bił się w piersi, i akty pokuty
Odmawiał głośno, żarliwie.
Lecz w grób już więcej nie śmiał rzucić wzroku,
Bo czuł, że dłużej nie zniesie widoku
Tego, co kochał tak tkliwie.

XXI.

I domówiwszy swojego pacierza:
„Czyni, co masz czynić!“—krzyknął na rycerza,
„Śpiesz! albo biada nam obu!—
„Nie możesz widzieć—bo śmiertelne oczy
„Znieśćby nie mogły—tłumu, co się tłoczy
„Na brzeg otwartego grobu!“—
Deloraine chwili nie tracąc daremno,
Przyklął, i z grobu wziął księgę tajemną.
I nagle porwał się z trwogą:
Bo czy to światło, co wzrok oslepiało.
Czy strach go złudził:—dość, że mu się zdało,
Że martwy zmarszczył się srogo ⁹).

XV.

- „Lecz jak mi kazał, złożyłem przysięgę,
„Pogrześć z nim razem jego Czarno-księgę,
„Nie okazując nikomu;
„Prócz gdyby chyba w gwałtownej potrzebie,
„Dla swego klanu, lub samego siebie,
„Żądał jej Buklej z Branksomu.
„Wtedy ją z grobu wziąć mogłem jedynie,
„Lecz pod przysięgą, gdy potrzeba minie.
„Że ją na nowo zagrzebię. —
„W nocy, przede dniem Świętego Michała.
„Tu go złożyłem w grób ciasny,
„Gdy z wieży pierwsza godzina zabrzmiała,
„A z okien księżyc lśnił jasny.
„Umyślnie na to wybrałem tę chwilę,
„Aby ów krzyż Archaniola.
„Świecąc wprost wtedy na jego mogile,
„Złe duchy płoszył dokoła.

XVI.

- „Straszna to była noc! — Kościół ten cały
„Drżał jak od ziemi trzęsienia:
„Chorałwie same bez wiatru szumiały,
„A z za filarów, wśród cienia,
„Słyszałem śmiechy i głosy złowieszcze. —
„Włos się na głowie mój jeżył:
„Jednak...“ — Mnich dalej chciał coś mówić jeszcze,
„Wtém zegar pierwszą uderzył. —

Deloraine dotąd nie wiedział co trwoga:
Na rzędy włóczni, na zastępy wroga,
 Na śmierćby nawet szedł śmiało;
W tej chwili jednak dreszcz go przejął zimny,
I gdy za mnichem powtarzać chciał hymny,
 Głosu mu w piersiach nie stało.

XVII.

„Teraz, rycerzu! teraz chwytaj porę!
 „Krzyż łśni na grobie mocarza.
„Cudowna lampa wewnątrz jego gore,
 „Której blask duchy odraza ⁸⁾.
„Gore, i będzie goreć nieprzerwanie,
„Aż na sąd straszny pan jej nie powstanie.“ —
Mnich rzekł, i wskazał na środku kościoła
 Głaz niczem nieodznaczony,
Prócz że nań z góry sztandar Archanioła
 Rzucił cień krzyża czerwony.
Deloraine idąc za mnicha rozkazem,
Znalazł w framudze drąg kuty żelazem,
 I jak mógł krzepił ochotę.
Mnich bił się w piersi, i grób wkoło zegnał,
I jakby pewny że duchy odegnał,
 Dał znak by zacząć robotę.

XXIII.

Z bijącym sercem, natężając siłę,
Ze wszech stron rycerz ciężką wzruszał bryłę,

Swoje bezsenne rzuciła łożo,
Królowa dziewic T ewiot-dalu.

XXVI.

Czemuż to piękna Anna z Branksomu
Wdziewa tak rano, strój tak powabny?
Czemu tak z drzeniem, tak pełna sromu
Sznuruje śpiesznie stanik jedwabny?
Czemu tak wkoło rzuca wzrok strachu,
Zbiegłszy na boczny dziedziniec gmachu?
Czemu tak czule brytana głaszeze,
Co już by szereknąć otwierał paszczę?
Czemu, choć cała kwefem okryta,
Stróż jej „kto idzie?“ w bramie nie pyta?
Gdzież to tak sama śpieszy w tej porze,
Gdy ledwo pierwsze zabłysło zorze? —

XXVII.

Anna z Branksomu stąpa tak z trwogą,
By ujść przed matki czujnością srogą.
Głaszeze brytana, bo wie, że ludzi
Głos jego gruby w zamku rozbudzi.
Strażnik jej daje przechód bezpieczny,
Bo tym strażnikiem jest brat jej mleczny;
A tak się rano z zamku wymyka,
By spotkać w gaju Lorda Henryka.

XXVIII.

I już pod cieniem drzew zielonych wianków,
Usiadła para szczęśliwych kochanków;

A pary siebie godniejszej wzajemnie,
 Na świecie szukać byłoby daremnie!
 On młody, rażny, szlachetnej postawy,
 Grom wpośród bitwy, i dusza zabawy;
 A ona, ona!—gdy widok młodzieńca
 Oblał jej lice szkarłatem rumieńca;
 Gdy każde tchnienie jej piersi miotanej
 Zaokrąglało jej strój sznurowany,
 A wdół spuszczone błękitne źrenice
 W łzach malowały serca tajemnicę:
 Jakażby piękność w tej chwili, bez sromu
 Śmiała na równi iść z Anną z Branksomu?—

XXIX.

O! teraz widzę, że moje pienie,
 Szlachetne damy! serce wam wzrusza:
 Ku mnie się zwraca wasze spojrzenie,
 W każdym spojrzeniu lśni wasza dusza!
 Czekacie pewnie tkliwej powieści,
 Tęsknej rozkoszy, słodkiej boleści,
 Co pierś kochanków przejmuje;
 Jak śmiały rycerz, w słowach płomiennych,
 Czei niezachwianej, uczuć niezmiennych
 Świętość i zapal maluje;
 I jak dziewica, z tęsknieniem westchnieniem,
 Wpół z przelęknieniem, wpół z rozrzewnieniem,
 Słucha, i słuchać się boi;
 I jak nakoniec, lekką zasłoną
 Na wpół obwianą, skroń zapłcioną,
 Oparła na jego zbroi;

XXII.

Gdy kamień znowu pokrył wierzch mogiły,
Głębsze niż przedtém ciemności wróciły,
Bo księżyc zaszedł, a gwiazdy się śmiły.—
Mnich z Delorainem przyspieszając kroku,
Szli, i drzwi długo w nieprzejrzanym mroku
 Nie mogli znaleźć z przestachu;
Bo wciąż, długimi powtarzane echy,
Nadludzkie głosy i szydercze śmiechy
 Brzmiały za nimi po gmachu.
Rzekłbys, złe duchy radośnym okrzykiem,
Tryumfowały z urąganiem dzikiem,
 Że na świat idą ich czary.—
Co w tém jest prawdy?—gdybyście spytali,
Nie śmiałbym ręczyć;—lecz tak powiadali
 Starcowie, co godni wiary.

XXIII.

„Teraz uciekaj!—rzekł mnich na podwórze:
„A gdy już będziem na śmiertelnem łożu,
 „Wzywajmy Świętych opieki:
„By przez ich mozną za nami przyczynę,
„Bóg litościwy odpuścił nam winę,
 „I nie potępił na wieki!“—
Rzekł, i sam jeden wrócił do swój celi.—
Ale gdy w chórze nie widząc go rano,
Bracia w południe do drzwi jęj zajrzeli,
 Już go w niej martwym zastano.

Leżał na ziemi krzyżem rozciągnięty,
Lecz w twarzy jego jaśniał pokój święty.

XXIV.

Rycerz wyszedłszy z pod sklepień krużganku.
Odetchnął wolniej świeżością poranku:
Dopadł rumaka, i pędząc co siły,
Rad był że minął klasztorne mogiły.
Bo mu na piersiach, jak ołowiu bryła,
Tajemna księga pod zbroją ciążyła,
I jakby własnym ożywione duchem.
Czuł, że jej karty ciągłym drgały ruchem.
Lecz nabrał męztwa, gdy z wyższych gór szczytu
Ujrzał świecący pierwszy promień świtu;
I aby całkiem pokonać obawę,
Trzepał, jak umiał, swój *Pater* i *Ave*.

XXV.

Słońce rumieni szczyt Czewiotu,
Słońce na skalnym błyszczy Karterze;
I już niēm iskrzy nurt Tewiotu.
I już niēm tlą się Branksomu wieże.
Ptastwo się zewsząd chórem ozwało,
Wietrzyk odetchnął wonią poranną,
Kołysząc zlekka liliję białą,
Lub rozwijając różę rumianną.
I już piękniejsza niż kraśne róże,
Choć od lilii bladsza od żalu,

XXXIII.

Bo gdy Lord Kranston raz do kaplicy
Słynnej cudami Boga-Rodzicy,
Po nad Yarrowem, blisko granicy,

Szedł z nim, by ziścić swe śluby:

Nie wiedzieć jako. Lady z Branksomu
Miała wieść o tem, i pokryjomu.

Zwoławszy krewnych swojego domu,

Powzięła myśl jego zguby.

Z Newark-Lee *), pierwsi wodzowie klanu,

Walter z Hardenu, Jan z Tirlestanu,

Deloraine pierwszy podzegacz planu,

Przez las, wzdłuż brzegów Yarrowu,

Trzysta trzy włącznie wiodąc za sobą,

By go tam napaść, szli nocną dobą,

I byli pewni połowu.

Ale paż-karzeł, mówią, przez czary,

Wiedział ich przyście, odkrył zamiary —

Lord z nim przed świtem uszedł przez jary;

I gdy Skottowie przybyli,

W próżnej wściekłości, z gniewu i sromu,

Mszcząc się zawodu na Bożym domu,

Obraz z kaplicą spalili ¹¹⁾).

*) Czytaj *Niurk-Li*.

XXIV.

W tój chwili karzeł, trzymając konia,
Czujny wzrok ciągle zwraca na błonia.
Nagle koń chrapnął, nastawił ucha —
Karzeł ku ziemi zgiął się i słucha:
I wywijając w górze ramiony,
Dał wnet kochankom znak umówiony. —

Nie było czasu długiej rozmowy,
Przysiąg. pożegnań: — tentent podkowy
Słychać zdaleka. — Jak gołębica
Przed lotem ptaka, trwożna dziewica
Spieszy do zamku: — Lord Henryk śmiało,
Słuchając echa co się zbliżało,
Stał jeszcze w miejscu: — lecz karła rada
Przemogła wręście: — na koń więc wsiada,
I w myślach na dół zwiesiwszy głowę,
Zwolna w cienistą jedzie dąbrowę.

Kiedy tak śpiewał wieszcz osiwiały,
Głos i natchnienie coraz słabiał.
Postrzegł to młody paź, i z uśmiechem
Wybiegł, i z czarą wrócił z pośpiechem:
Z czarą Welezu winnej purpury.
Bard ze łzą w oku wznosił ją do góry,
I drząc polecał opiece świętej
Dom, gdzie syn pieśni tak był przyjęty.
Młode dziewice kryły śmiech pusty,
Patząc jak starzec cheiwemi usty,

I cichym głosem, ledwo słyszany.
To raz nagłonym, to przerywanym,
Rzekła: że byle w ich domu
Krwawa nieprzyjaźń była skończona,
Ręki swej, oprócz Lorda Kranstona,
Nigdy nie odda nikomu.

XXX.

Ale niestety, szlachetne panie!
Próżne jest wasze oczekiwanie!
Widzicie ten szron starości.
Wiek mię oziębił, nędza mię tłoczy,
Arfa straciła dźwięk swój u. oczy —
Nie śmiem już śpiewać miłości!—

XXXI.

Blisko pod dębem, na straży od błonia,
Karzeł Kranstona trzymał jego konia ¹⁰⁾,
I włócznię, i hełm z piórami.
Karzeł, nie wiedzieć czy ze krwi i z ciała,
Jeśli prawdziwa wieść o nim biegała
Nad T ewiotu brzegami.—
Razu jednego Lord bawiąc na łowach,
W mało zwiedzanych Ridsdału dąbrowach,
Nagle w gęstwinie usłyszał zdziwiony,
Okrzyk: „stracony! stracony! stracony!“

I wnet, jak piłka palantem podbita,
Postać wpół ludzka, wpół małpia, w kłęb zwita,
Na stóp trzydzieści trzy z głębi gęstwiny
Dała skok w górę, i w środku doliny
 Upadła pod jego stopy.
Baron spał konia i puścił wędzidło,
I gnał co siły;—lecz karle straszycło
 Leciało za nim tuż w tropy.
I w tymże czasie, co koń jego miłę,
Ubiegło pieszo cztery razy tyle;
I gdy Lord Kranston, czyniąc krzyża znamię,
Wjeżdżał w swój zamek—spotkało go w bramie.

XXXII.

Czas, powiadają, i z czartem oswaja.
Baron i cała domowników zgraja
 Nawykli zwolna do karła.
On nie nie robił, nie jawnie nie jadał,
Rad stronił wszystkich, i z nikim nie gadał;
Lecz gdy był jeden, machając ramiony,
Wrzeszczał: „stracony! stracony! stracony!”
 I śmiał się z całego gardła.
Był zły, gniewliwy, i mściwy niezmiernie,
Lecz baronowi pokornie i wiernie
 Służył, i pełnił co kazał.
Mówią, że nawet ocalił mu życie:
Ostrzegł o zdradzie uknutęj nań skrycie,
 I drogę ujścia pokazał.

Miłość w pałacach,
Na ucztach przewodzi;
W chatach, po pracach,
Sen rolnika słodzi.
Ludziom nagradza
Trud ziemskich padołów;
W Niebie jęj władza
Jest szczęściem Aniołów.
Dzielona wzajem,
Niewinna z ufnością,
Świat czyni rajem,
Bo raj jest miłością.

III.

O niej, jak sądzę, pochyliwszy głowę,
Dumał lord Kranston jadąc przez dąbrowę,
I w myślach z Anną przedłużał rozmowę.—
Wtém karzeł nagle świsnął i zawołał.
Lord spojrzzał w górę—lecz ledwo co zdołał
Spuścić przyłbicę, już prosto nań z boku
Olbrzym nie rycerz gnał z kopią w toku.
Koń był śpioniony, okryty kurzawą,
Zbroja rycerza przyémiona rdzą krwawą;
Sam chwiał się w lęku, i tak się zdawało,
Że musiał nie spać i jechać noc całą.
Nie spał. i jechał—i nie dbał o sen:
Bo tym rycerzem był sam Deloraine.

IV.

Ale wnet znikły i ślady znużenia,
Gdy błyskający z pomiędzy drzew cienia,
Ujrzał hełm zdala. i poznał po godle.
„Broń się, bo zginiesz!” zawołał tuż wpodłe.
Kranston się raźnie umocnił na siodle—
I był to widok godzien oczu barda!—
Groźne pytanie i odpowiedź harda
Dały znak boju.—Obadwa ich konie,
Jakby dzieliły nienawiść, co płonie
W sercu ich panów, parskwały i rżały,
Rzekłbys patrząc, że się ośmielały
 Ku przeczuwanęj potrzebie:
Gdy tocząc niemi między rzadkim gajem,
Jeden i drugi szukali nawzajem
 Korzyści miejsca dla siebie.

V.

Kołem harcował koń dzielny barona,
On się pomodlił, westchnął pokryjomu:
Modlitwa była do jego Patrona,
Westchnienie było do Anny z Branksonu.
Deloraine zamiast westchnień i modlitwy,
Zgrzytał zębami z przewłoki gonitwy.
I zwarłszy konia, wprost pędził do bitwy.—
O! widzieć było, gdy w pędzie, z łoskotem,
Starli się—echo rozległo się grzmotem.

Z jaką rozkoszą chylił z puharu,
Ożywiające krople nektaru.
On zgadł ich myśli—i patrząc wkoło,
Wzajem się ku nim zaśmiał wesoło.
Bo czuł, jak coraz rosła w nim siła.
Jak coraz żywiej krew w nim krążyła;
Aż coraz jaśniej czując swe treści.
Tak ciągnął dalej wątek powieści.

KONIEC PIEŚNI DRUGIEJ.

PIEŚŃ TRZECIA.

I.

Jazem powiedział, że mię los tak zgnębił;
Jazem powiedział, że czas tak oziębił
Serce me szronem starości:
Że nie śmiem śpiewać bóztwa, co udziela
Barw najświetniejszych marzeniom minstrela,
Że nie śmiem śpiewać miłości?—
Nie, nie!—dopóki w piersiach bije serce,
Póki choć jeszcze w ostatniej iskiecce
Tli zapal wieszczego ducha:
Na samą wzmiankę świętego imienia,
Serce się musi obudzić z uspienia,
Natchnienie iskrę rozdmucha!

II.

Miłość w pokoju,
Stroi flet pasterzy;
Miłość wśród boju,
Krzepi miecz rycerzy.

VI.

Deloraine z gniewem moc całą wysilił,
 Kranston się zachwiał i na wznak pochylił.
 Dosiedział jednak; pióra tylko letsze
 Z kity się jego rozpierzchły na wietrze,
 Gdy włócznia wroga, jako maszt o skały,
 O tarcz się jego strzaskała w kawały.
 Silniej czy trafniej wymierzył snąc swoją,
 Bo przebił tarczę, kolczugę i zbroję.
 I w piersiach wroga załamał żelazca.
 Jeździec nie upadł—lecz słabszy od jeźdźca
 Koń się zatoczył, i jak martwe brzemię
 Runął, i pana pociągnął na ziemię.
 Kranston wstrząśniony gwałtownością ciosu,
 Nie widział nawet przeciwnika losu.

VII.

Lecz gdy po chwili obaczył leżących,
 Konia i jeźdźca, w krwi własnej broczących,
 Litość go zdjęła nad krewnym kochanćj;
 Kazał karłowi opatrzeć mu rany,
 I wieść do zamku, by go wzięły strażę.
 „Śpiesz tylko, dodał, i spełń co ci każe!
 „Mnie chwila droga; bom jeszcze nie gotów
 „Iść na sąd Boży, by czekać na Skottów.“—

VIII.

Rzekł, i wezwał dalej puścił się dąbrową.—
 Paź patrzył za nim potrząsając głową:

Nie miał on nigdy chęci do dobrego,
Lecz rozkaz pana był prawem dla niego.
Kiedy więc zaczął oglądać rycerza,
Księgę sterczącą ujrzał z pod pancerza,
Zdziwił się mocno, że rycerz tak dzielny
Jeździ z książkami jak klecha kościelny;
Potem, nie dbając że ranny umiera,
Chciał naprzód wiedzieć co księga zawiera.

IX.

Lecz się z klamrami musiał biedzić długo:
Co odpiął jedną, i chciał odpiąć drugą,
Pierwsza znów mocniej niż wprzód zaskoczyła.
Zgadł, że je broni czarnoksiężka siła,
I że trud próżny, bo jej nie pokona,
Bez znaku krzyża, ręka nieochrzczona.
Lecz znalazł sposób na sztukę szatańską:
Krwiał je z ran jeźdźca potarł chrześcijańską;
I gdy otworzył, z uwagą głęboką,
Trafił na rozdział, jak omamić oko ¹⁾:
By zwierz człowiekiem, człek zdać się mógł zwierzem,
Rycerz dziewicą, dziewica rycerzem;
By sieć pajęczą w podziemnym więzieniu,
Zdała się rzeźbą na złotem sklepieniu;
Obronnym zamkiem, lada chaty strzecha,
Nawą żaglowną, łupina z orzecha;
Słowem, by w żywym czy martwym przedmiocie,
Pozór był inny, niż przedmiot w istocie.

X.

Karzeł się bardzo ucieszył z nauki,
Smiał się, i w myśli snuł przyszłe swe sztuki.
I już wytrzeszczał wzrok na rozdział wtóry: —
Wtém wiatr zaświstał, i policzek z góry
Spadł nań jak piorun; — wzrok mu się zamroczył,
Padł jak nieżywy i w kłęb się potoczył.
Powstawszy jednak, ogłuszony ciosem,
„No! starcze, bijesz!” rzekł tylko półgłosem;
I choć ciekawość wrzała najgoręcej.
Do strasznej księgi nie śmiał zajrzeć więcej:
Której też klamry, straciwszy krwi plamę,
Znowu jak przedtém zamknęły się same.
Wziął ją jednakże i ukrył w swój szacie. —
Lecz zkąd policzek? — jeżeli spytacie,
Nie nie śmiem twierdzić: ale raz tak dzielny,
Nie mógł pochodzić od ręki śmiertelnej ²⁾).

XI.

Karzeł tymczasem, choć wbrew swój ochoty,
Do nakazanej zabrał się roboty.
Podźwignął konia, jeźdźca złożył w łęku,
I sam za cugle prowadząc go w rękę,
Wiódł wprost do zamku; — straż oczarowana,
Widziała tylko że wjeżdża wóz siana. —
On wszedłszy w bramę, rycerza we zbroi
Niósł aż do Lady zaklętych podwoi,
I gdyby wewnętrznych czarów się nie trwożył,
Na jęjby łożu niechybnie go złożył.

Lecz stanął w progu, i niemile brzemię
Podniósł nad głowę, i rzucił o ziemię: —
Bo ile razy miał porę po temu,
Zawsze coś złego chciał zrobić każdemu: —
I śmiał się dziko, potrząsając głową,
Gdy krew z ran płynąć zaczęła na nowo.

XII.

Wracając, ujrzał w dziedzińcu na dole,
Bawiące samo nadobne pacholę.
Wpadł zaraz na myśl, by nie tracąc czasu,
Zwabić je z sobą i uwieść do lasu:
I nie mógł wstrzymać dzikiego chychotu,
Mysząc co przez to narobi kłopotu.
Bo zły czyn każdy był jego żywiołem. —
Zdał się więc dziecku chłopięciem wesołem,
I wyjść za bramę namówił je społem.
Tuż przy ich drodze przedmostowa warta.
Widziała tylko brytana i charta.

XIII.

Karzeł swą zdobycz prowadząc przez niwy,
Różne mu w lesie obiecywał dziwy.
Aż gdy zabrnawszy w głąb ciemnego gaju,
Przyszli nad brzegi bystrego ruczaju,
Bieg żywej wody zniszczył nagle czary³⁾,
I karzeł wrócił do kształtu pochwary.
Gdyby w tej chwili śmiał iść za swą chętką,
Męczyłby dziecię; — lecz przypomniał prędko

Moc jego matki, i bojąc się kary,
 Wstrzymał rad nie rad złośliwe zamiary.
 Krzyknął więc tylko na biedną dziecinę,
 I dał skok w górę, i zapadł w gęstwinę;
 Głos przeraźliwy, ze śmiechem złączony,
 Zabrzmiał: „stracony! stracony! stracony!”

XIV.

Dziecię przelękłe nadludzkim widokiem,
 Nie śmiać ni płakać, ni ruszyć się krokiem,
 Drżało jak trzcina nad bystrym potokiem.
 I gdy się wreście ozierając wszędy,
 Chciało iść nazad, nieświadome kędy,
 Na każdy szelest drzew albo powiewu,
 Karzeł mu zdał się wyskakiwać z krzewu,
 I śmiać się śmiechem szyderstwa i gniewu.—
 Tak coraz bardziej zbijając się z toru,
 Zamiast do zamku, szło dalej wzdłuż boru;
 Aż usłyszało, z głębi dzikich jarów,
 Gończe szczekanie myśliwych ogarów.

XV.

Głos bliżej, bliżej— aż tuż w ślady sarny,
 Zziajany z gęstwy wypadł ogar czarny,
 I wzniosłszy paszczę wietrzącą po tropie,
 Rzucił się obces na bezbronne chłopię.

Była to scena malowania warta:
 Gdy chłopiec widząc psa tylko, nie czarta,
 Poczul w swém sercu godne ojców męztwo,
 I niepamiętny na niebezpieczeństwo,

Z twarzą i okiem iskrzącem od gniewu,
Płecami tylko przyparł się ku drzewu,
I gdy nań ogar już zęby wyszczerzył,
Kijkiem co trzymał, tak zręcznie uderzył,
Że pies odskoczył, stanął, grzbiet najeżył.
I nie śmiać kęsać, już tylko zdaleka
Szczekał zajadle, czekając człowieka.

Jakoż wnet, pełen zapału.

Myśliwiec nadbiegł, i psa gdy obaczył.

Pewny, że zwierza grubego osaczył.

Podniósł łuk jakby do strzału.

Wtém z drugiej strony głos zabrzmiał strzelecko:
„Hop, hop, Edwardzie! nie strzelaj, to dziecko!“ —

XVI.

Mówca po chwili ukazał się z chróstu.

Łucznik angielski. wysokiego wzrostu:

Krótki do kolan strój jego zielony.

Czapka z piórami, włos krągło strzyżony:

Na czapce świecił krzyż. Anglii znamię:

Trąbka myśliwska wisiała przez ramię.

Oszyta skórą wileczą, a za pasem.

Sajdak z strzałami, obok z kordelasem.

W ręku łuk trzymał. co o pięćset kroków

Jaskółkę umiał zrzucić z pod obłoków.

I smycz, co grożąc gdy podniósł do góry,

Pies skomlał tylko, warował z pokory.

XVII.

Łucznik nie złego nie czyniąc dziecięciu,
W silnëm go jednak zatrzymał ujęciu,
I uspakajał w sposób przyjacielski,
Bo chłopiec widząc strój jego angielski,
Szarpał się strasznie:—a wtëm tęż z kolei
Młodszy towarzysz, Edward wyszedł z kniei.
„Hop, hop!“—rzekł łucznik—„patrz, zdobycz nie marna:
„Lepiej się może opłacić niż sarna.
„Patrz, jak się szarpie!—ręczę bez zawodu,
„Że to jest dziecię wysokiego rodu.

XVIII.

—„Pewnie że jestem! — chłopiec krzyknął groźno —
„Bo jestem Buklej, i dziedzic Branksomu.
„Puść mię!—bo będziesz żałował za późno.
„Puść mię, powiadam, lub odwiedź do domu!
„Bo gdy mię więzić chcesz, zbójco bez wstydu!
„Wszyscy Skottowie od Esku do Twidu,
„Szukać mię będą: i tu gdy przybiegą.
„Zaraz cię z twoim i psem i kolegą.
„Mimo tych waszych długich strzał i łuków,
„Każę powiesić na pastwę dla kruków!“—

XIX.

—„Ho, ho, mój mały! dzięki za chęć twoję!
„Lecz ja tak bardzo wysoko nie kroję,

„Ale gdy wzrośniesz—ho! nasi strażnicy
„Będą co mieli robić na granicy! —
„Tymczasem lordek niech z nami pójsé raczy,
„Lord Da cre *) rad będzie, gdy ciebie zobaczy. —
„No cóż, Edwardzie! tęgi zuch z mołojca? —
„Nie lada zdobyecz jest syn jego ojca!“

XX.

Rzekł, i nie bacząc na krzyki dziecięce,
Obaj z Edwardem wzięli go pod ręce,
I psa wołając poszli nazad w knieje. —
Lecz próżne były dziecięcia nadzieje,
Usłyszeć tentent pogoni z Branksomu:
Nikt tam nie wiedział, że baron znikł z domu.
Bo karzeł kończąc złośliwą swawolę,
Ptakiem do zamku powrócił przez pole,
Wziął jego postać, i grał jego rolę. —
Ale jak! — ludzie zachodzili w głowy,
Zkąd mu tak nagle tak dzikie narowy!
Na cały zamek wrzeszczał, gdy się bawił,
Swych towarzyszków bił, szarpał, pokrwawił,
Jednego nawet omal nie zadławił.
Starszym się także przykrzył nieskończenie:
Zdarł nową suknię ciotce Magdalenie:
Rycerzom octu namięszął do wina;
I gdy Sym stary grzał się u komina,
Wsadził mu węgiel w ładownicę z prochem,
Aż się gmach cały wstrząsł jednym popłochem.

*) Czytaj *Dakr*.

Lecz któżby wszystkie złe jego spamiętał? —
Dość, że myślano, że go czart opętał.

XXI.

Łady od razu poznałyby czary,
I karzeń słusznęj nie uszedłby kary;
Ale on wiedział, i ztąd był tak śmiały,
Że Delorainem zajęta dzień cały.
Skoro go bowiem ujrzała na progu,
Pierwsza myśl była o nieziemskim wrogu,
Jeśli, choć czytać nie umiał wyrazów,
Śmiał zajrzeć w księgę wbrew danych rozkazów.
Lecz fałsz posądzeń uznała widocznie,
Postrzegłszy w piersiach załamaną włócznię.

XXII.

Zlekka ją zatem wydobywszy z rany,
Krew utuliła swemi talizmany;
I ani dłużej pozostała przy łożu:
Lecz go przy wiernym zostawiwszy stróżu,
Narzędzie rany wzięwszy tylko z sobą,
Poszła skuteczniej ezuwać nad chorobą.

W gmachu, gdzie ludzkie oko nie dościsnęło,
Z żelazca naprzód zmyła krew zastygłą,
I wióry z drzewca strugając żelazem,
Kładła do wody; a za każdym razem,
Deloraine z bólu jęczał nieprzerwanie,
Jakby mu nożem wiercono po ranie 4).

Lady nakoniec wyrzekła, że chory
Będzie zdrow całkiem od pory do pory;
Lecz nie przestała swych sztuk czarnoksięstwa,
Nie chcąc z uwagi spuścić bezpieczeństwa.
Męża tak znanéj wierności i męztwa.

XXIII.

Tak dzień przeminął—i słońce bez chmury,
Za błękitnawe spuściło się góry,
Szczyt ich malując szkarłatem purpury.
Wieczór był cichy, powietrze łagodne,
Ziemia wesola, i niebo pogodne.
Księżyc się zwolna wyiskrzył od wschodu,
Wietrzyk orzeźwiał tchem woni i chłodu;
W nieporuszonej wód rzeki kryształe,
Zamek się z brzegu odbijał wspaniale.
Najdzikszy nawet z zbrojnych towarzyszy,
Czuł w sercu urok pogody i ciszy:
Jakże więc Anny tkliwe serce młode,
Błogosławiło ciszę i pogodę,
Gdy sama jedna, na wysokim ganku.
Patrząc po niebie, marząc o kochanku,
Trącała zlekka swojej arfy strony:
Lub w dal bez celu szłać wzrok zamysłony,
Czekała zda się, aż błysnie z za wzgórzy,
Miłej kochankom, wschód wieczornéj zorzy!...
— Cóż jęj ta gwiazda dobrego wywróży?—

XXIV.

Onaż to, ona?—co nagle tak w zmierzchu
Na Penchrist-Penu wyiskrza się wierzchu,
I jak kometa w powietrza przezroczy
Roztacza wstęgi czerwonych warkoczy?—
Nie!—to nie promień kochankowej gwiazdy!
To sygnał wojny! to mord i najazdy!—
Arfa z rąk Anny jak z jękiem wypadła,
Gdy chcąc zbiedz na dół struchlała i zbladła.
Wzrok się jej zaćmił—i mdłość nią o władła.

XXV.

Ledwo straż światło ujrzała promienne,
Z wszystkich wież trąby zabrzmiały wojenne.
I widzieć było, w godowniczéj sali,
Jak się rycerze porwali od stołu!
I słyszeć było, chrzęst, łoskot, szcęk stali.
Gdy wszyscy na dół zbiegali pospołu!—
Wkrąg na dziedzińcu, przy bramach, wzdłuż szanćów,
Wpół w cieniach nocy, wpół w świetle kagańców,
Migają hełmy, kołyszą się kity.
Konie parskają i biją kopyty:
Drzewce o drzewce trącają w natłoku,
Jak zmarzłe trzeiny w zimowym potoku.

XXVI.

Seneszał *) w środku, z ubielonym włosem,
Prędkim skinieniem, podniesionym głosem,
Daje rozkazy:—a sędziwe lica
Jaskrawa jasność pochodni oświeca.

„Na Penchrist-Penie sygnał się pali ^{a)}),
„Trzy na Priesthawie:—na koń więc, dalej!
„Na koń za Branksom! ^{**)})—Janie z Altonu!
„Spiesz zbudzić mężów klanu Dżonstonu!—
„Do Liddesdału nie ma potrzeby
„Posyłać gońców; dość jest ażeby
„Ujrzeni sygnał:—któż z Eliotów,
„Któryż z Amstrongów zawsze nie gotów,
„Śpieszyć na pomoc braci swych Skottów?—
„Na koń Todrygu! patrz wzdłuż granicy,
„Czy na swych miejscach stoją strażnicy. —
„Z was, gdzie kto może niech się przemyka,
„Byle o wrogu dostać języka!—
„Gilbercie! zapal oba sygnały;
„Wróg się znać zbliża w sile nie małej —
„Spiesz! niech do broni kraj staje cały!“

XXVII.

Rzekł—zamek jednym rozległ się echem:
„Na koń. za Branksom!“—Gońcy z pośpiechem

*) Major Domus.

***) To było hasło wojenne klanu Skottów.

Wpadli na siodła:—każdy w swą stronę,
Pędzą za bramy:—mosty zwodzone
Brzmia jedném echem:—a trąby grają.
A strażę krzyczą, konie chrapają—
Szezek, łoskot, hałas, huk nakształt gromu,
Zbudził z omdlenia Annę z Branksomu.

XXVIII.

Młody paż rzesko poskoczył na wały,
Z dwóch wież narożnych dwa błysły sygnały.
Z drew suchych wybuch czerwonych płomieni
Oświecił zamek i niebo rumieni.
Po nad ogniami dym w kłęby kręcony,
Czarny i gęsty, od spodu czerwony,
Wieje z wież obu, jak sztandar podwójny.
Złowrogie godło żałoby i wojny. —
I w mgnieniu oka, jak wzrok sięgnie zdala.
Ogień się widać po ogniu zapala:
Na ostrych skalach, na lesistych górach,
Gdzie orle gniazda kołyszą się w chmurach:
Na piramidach grobowych kurhanów ⁶⁾,
Gdzie śpią snąć prochy dawnych kraju panów.
Rzekłbyś, na niebie rodzące się gwiazdy:
Każdy przeraża, zwiastując najazdy,
A jednak każdy ośmiela i cieszy,
Wróżąc, że bratu brat w pomoc pośpieszy.
Aż po nad Soltrą i Dumpender-Lawem,
Edynburg światłem przeraził się krwawém:
Aż okrzyk zbudził echa Lothianów ⁷⁾:
„Na koń! na odsiecz pogranicznych klanów!“ —

XXIX.

W zamku Branksomu do zorzy porannej,
Weiż, jak z wieczora. trwał gwar nieustanny,
Czujność, i zapal, i trwoga.
Słychać jak toczą kamienie do bramy,
Widać na wieże jak windują tramy,
By je ztąd spychać na wroga.
Kapelan kazał uderzyć we dzwony.
Dźwięk ich przeciągły, żalobnymi tony
Jęczy nad lasem i górą:
Zbudzone echem ciągłego rozruchu,
Psy niecierpliwe rwąc się na łańcuchu,
W dziedzińcach wyją ponuro.

XXX.

Lady podziela trudy Seneszala,
Młodszych zachęca i męstwo wychwala;
Z starszymi radzi i słucho wysłańców.
Wrócili wszyscy bez wieści i brańców:
Nikt nie wie pewno, kto? zkąd? gdzie są wrogie?
Jaka ich liczba, ni jaki cel drogi?—
Jedni twierdzili, że dziesięć tysięcy;
Drudzy przeciwnie, że to jest nic więcej,
Jak zwykły podjazd rabusiów z Tynđu, alu,
Po czarny haracz ⁸⁾; i że z Liddesđu, alu,
Sami mieszkańcy wypędzić go mogą.—
Tak między ciągłą nadzieją i trwogą,
Przeszła noc straszna: i wszyscy we dworze
Z radością nowe powitali zorze.

Tu śpiewak umilkł;—w ciągu powieści,
 Częste przemiany tonu i treści,
 Którym podrażał arfy swój brzmieniem,
 Znużyły siłę;—z ciężkiem westchnieniem
 Wsparł się na arfie.—Wzruszone damy
 Pytały tkliwie: czemu tak samy
 Błądzi po świecie? Nikogoż nie ma,
 Coby przytulił starca-pielgrzyma?
 Nie ma-li córki, którejby tkliwość
 Słodziła nędzę, wsparła sędziwość?
 Nie ma-li syna, coby staranny,
 Zapewnił ojeu chleb nie żebrany?—
 — Ach! miał był kiedyś!—żał stłumił mowę,
 Ku arfie białą pochylił głowę,
 I widać było łzy, co po zbladłej
 Twarzy, kroplami na pierś mu spadły.
 Aż uroczystym tonem boleści,
 Tak ciągnął dalej rym swój powieści.

KCNIEC PIEŚNI TRZECIEJ.

PIEŚŃ CZWARTA.

I.

O Tewiocie! już dziś wzdłuż twych brzegów
Nie płoną hasła bratobójczej wojny:
Pól twych nie wstrząsa cwał zbrojnych szeregów,
Echa twych gajów drzemią sen spokojny.
Prócz wierzb twych szmeru i fali mruczenia,
Nie uroczego nie maci milezenia
 Twych wzgórz, łąk, łąnów twych pełnych:
Jak gdybyś nigdy, prócz fletni pasterskiej,
Nie słyszał głosu, ni trąby rycerskiej,
 Ni szezęku mieczów wojennych!

II.

Nie tak się dzieje z rzeką życia ludzi:
 Jakkolwiek nurt się jej wije,
Kży co ją zmąci, krwi co raz ją zbrudzi,
 Zadna z niej siła nie zmyje.

Im bliżej ujścia swojej wiecznej bramy,
Tęm czarniejszemi pokrywa się plamy:
 Zgryzoty, żalu, lub winy.
Tyle lat temu! a dotąd tak żywo
Pomnę, jak wczoraj, tę chwilę strasliwą,
 Gdy poległ syn mój jedyny!
Gdy Hannowerskich muszkietów wystrzały
W rękę Górali ich broń druzgotały,
A na ich czele walczył Dundee śmiały!... 1) —
 Czemużem razem nie zginął? —
Stało się! — poległ godny ojców męztwa,
Obok z Grahamem, na polu zwycięstwa:
 Obok z nim będzie też słynął!

III.

Na pograniczu w dolinach i górach,
Wzdłuż i wszerek straszna rozbiegła się trwoga;
Po grzązkich bagnach, po zamierzehłych borach,
Lud rzucał domy i krył się od wroga 2).
Na rozkaz Lady, noc całą i rano
Stada i trzody do zamku spędzano.
Niewiasty z dziećmi szły płacząc, gdy mężę
Na ich obronę chwyтали orężę.
Z wałów Branksomu widziano, jak bury
Dym tu i ówdzie wzbijał się do góry,
I blask na niebie odbijał czerwony: —
Znak, że wróg krwawe rozpuścił zagony.

IV.

„Otóż i wieści o nieprzyjacielu!“ —

Krzyknął stróż; — „widzę zdaleka,

„Jak w bród przez rzekę, Watt Tinlinn z Liddelu³⁾).

„Tu, znać przed wrogiem ucieka.

„Nie jest to napaść niesfornej gromady.

„Gdy jęj Watt Tinlinn sam nie mógł dać rady.

„Stawiłbym szyję, że nie to wróg liczny,

„Lecz że dowodzi sam Lord nadgraniczny.“ —

V.

Ledwo domówił, ujrzano na błoni,

Watt Tinlinn pieszo szedł obok przy koniu.

Konik był mały, kosmaty i czarny.

Lecz z kęp na kępy, przez bagna i tarny.

Sadził wezwał zręczniej od kozy lub sarny.

Teraz niósł panią z dwojgiem małych dzieci:

Pieszko za niemi szedł służalec kmieci.

Pani rumiana, czarnobrewa, biała.

Dumna ze srebrnych błyskotek co miała⁴⁾,

Ręką znajomych z uśmiechem witała.

Łucznik był chudy, wysokiego wzrostu:

Stalna misiurka, ukuta po prostu.

I tarcz powłoką obwiedziona skórą.

Skladały całą jego broń odporną.

Na krzyż przez plecy miał sajdak szeroki,

I w rękę włócznię, od świeżej posoki

Znać zrumienioną: a zaś łuk śmiertelny,
Jeżył się w rękę połowicy dzielnej.

VI.

Tinlinn zdał sprawę o nieprzyjacielu.
„William Howard i Lord Dacre potężny ⁵⁾,
„Idą tu sami na czele dzid wielu,
„Prowadząc w pomoc Niemców huf zaciężny ⁶⁾,
„Co stał w Askerten na zimowych leżach,
„Najwyéwiczeński w mordach i łupieżach.
„Wczoraj przez Liddel w bród przeszli o zimroku,
„I dom mój naprzód spaliła dziez wściekła. —
„Czart niech ich za to spiecze na dnie piekła!
„Nie był spalony już przeszło od roku! —
„Przy blasku jego iskrzystej pożogi.
„Przez grzązkie bagna, przez las i rozłogi,
„Uchodząc z dziećmi, szukałem mój drogi.
„I ledwom uszedł od pogoni krwawej:
„Fergus z Grahamu i Jan z Akeszawy,
„Tuż tuż w ślad za mną ścigali noc całą.
„Cierpiałem długo, lecz jak rozedniało,
„Wzięli za swoje; — w Priest-Serogg, na zawrócie,
„Konie ich naprzód postrzelałem w błocie.
„Potem Fergus, gdy uciekał z siodłem,
„Dopadłszy, dzidą na wylot przebodłem.
„Żal mi jest nieco biednej jego wdowy —
„Lecz już się stało! — spór nasz był nie nowy —
„Ostatnie zapust zabrał mi dwie krowy.“ —

VII.

Wkrótce stwierdziły Tinlinna nowiny,
 Co tehu z stron różnych czaty wracające;
 A wszystkie głoszą, że za trzy godziny,
 Stanie pod zamkiem wrogów trzy tysiące.
 Lecz i zamkowi nie braknie obrońców!—
 Na blask sygnałów, na wezwanie gońców,
 Z gajów Ettriku, z nad Ailu brzegów,
 Wzdłuż Tewiotu brzmi tentent szeregów.
 Wszędzie mężowie siodłają swe konie,
 Wszędzie niewiasty podają im bronie;
 Bo każdy śpieszy ku odsieczy bratniej,
 Bo biada temu, kto przyjdzie ostatni!
 Szyderstwo dziewie i pogarda braci,
 Równie lenistwo, jak tchórstwo zapłaci.—

VIII.

Przede wszystkimi, bohater klanu,
 Z gór i zamierzłych Gamesklu jarów,
 Zastęp swych włóczni, Jan z Tirlestanu 7)
 Przywiódł pod cieniem świetnych sztandarów.
 Na tarczy jego, zaszczyt i chluba,
 Lśni herb królewski:—króla Jabuba
 Dar to pamiętny;—gdy nikt z wassali,
 Z obozujących nad brzegiem Fali,
 Nikt, oprócz niego, nie chciał iść dalej

Na wojnę, z cichych namiotów.
 Odtąd na hełmie swym zamiast kity,
 Nosi pęk włóczni laurem obwity:
 Odtąd na tarczy napis wyryty:
 „Jam gotów, zawsze jam gotów!“ —

IX.

Sędziwy starzec z okiem sokolém.
 Zbrojno na koniu huf przywiódł bitny.
 Na tarczy jego ze złotém polem,
 Świecą Trzy Gwiazdy i Nów błękitny.
 W krąg Oakwudu i Owru wieży.
 Ciągną się jego pola przestronne:
 Z po nad Bortwiku skalnych wybrzeży,
 Jeżą się jego zamki obronne.
 Tam, w lesistego głębiach parowu,
 Rażąc powietrze echem swych ryków.
 Pasą się trzody—nie jego chowu,
 Lecz łup to wzięty z wrogów Anglików.—
 Wódz napastniczy! jego zabawa:
 Ranna potyczka, nocna wyprawa!
 Ani go wdzięki Róży Yarrowu,
 Zdołały z młodu wstrzymać od boju:
 Ani wiek syty prac i obłowu,
 Mógł mu dać uczuć słodycz pokoju.
 Choć z pod szyszaku włos świeci biały,
 Jak śnieg na skalnym szczycie Benwenu,
 Sam pięciu synów, na polu chwały.
 Uczy przykładem;—a gdzież tak śmiały,
 Gdzie tak potężny, jak Lord z Hardenu ⁸⁾?

X.

Skottów z Eskdalu lud wojowniezy,
Z gór Todshaw-hillu przybieżał społem:
I mężny Hedschaw, wódz nadstrażniczy,
I chyży Whistlade, zwany sokołem.
Lecz któż wyliczy wszystkich, co śmieli,
Od Yarrow-Klejgu, do Czester-Glenu,
Od Hindhaw-Sweru, do Wudhouseslie,
Szli, mając hasłem: „błoi Bellendenu?“⁹⁾
I nigdy lepszych włóczni i mieczy,
I nigdy śmielszych serc i prawicy,
Ni ku napaści, ni ku odsieczy,
Nie było widać na tej granicy.—
I serce Lady wzniosło się w pychę,
Patrząc na dzielne konie i męży:
Tak, że rzuciwszy zaklęcia ciche,
Wolała w ziemskie ufać oręże.

Każę więc przywieść syna-dziedzica,
By weześnie uczeń Marsowej szkoły,
Poznał przyjaciół swego rodzica,
I nawykł walczyć z nieprzyjacioły.
„Widziałam, rzeczce, jak krucze gniazda
„Zbijał strzałami z wierzchołków skały;
„Na piersiach wrogów czerwona gwiazda,
„Pewniejszym celem będzie dla strzały.
„Ty go, Whistladzie, wesprzyj twą dłonią,
„Gdzie mu dziecinne siły nie starczą:
„Ty go ucz władać ojcowską bronią,
„I w razie zasłoni ojcowską tarczą!“—

XI.

Łatwo jest zgadnąć, że świadom swęj zdrady,
Karzeł nie życzył iść przed oczy Lady.
Udał więc trwogę i fochy dziecięce:
Tupał nogami, załamywał ręce,
Wrzeszczał, i jęczał, i łez lał potoki.
Aż przerażone piastunki i świadki,
Z trwogą oznajmić przybiegły do matki,
Że nań ktoś widać złe rzucił uroki.—

Lady niemiłej wysłuchawszy wieści,
Spłonęła ogniem wstydu i boleści:
„Precz z nim! — krzyknęła — precz z zamku Branksonu,
„Nimby klan stał się świadkiem mego sromu! —
„W zamku Bukleju, nad brzegiem Ranglbornu,
„Tam niech nিকেzemnik żyje po klasztoru! —
„Ty, Watt Tinlinnie, bądź mu przewodnikiem,
„Ni się daj wzruszyć prośbami ni krzykiem! —
„Bóg mię snać skarał w surowości swojej,
„Że się nিকেzemnik narodził z krwi mojej.“

XII.

Stokroć Watt Tinlinn przeklinał swą dołę,
Gdy przyszło na koń brać wściekłe pachole.
Posadził jednak; — lecz koń przerażony,
Czując na sobie szatańskie straszidło,
Rżał, parskął, wierzgał, leciał jak szalony,
Nie nie pomogły ni bież ni wędzidło.

Aż gdy przez pole przemknąwszy w zawody,
Trafił pod lasem na żywy źródł wody.
Pierzchnęły czary:—i paż w oka mgnieniu,
Zmienił się w potwór, jak obraz w marzeniu.
Zeskoczył z siodła, i kręcąc ramiony,
Wrzasnął: „stracony! stracony! stracony!“
Lecz jak bądź szybko uciekał po brzegu.
Strzała Tinlina dościgła go w biegu,
I aż po pióra zagrzezła we grzbiecie.—
Nie mógł on umrzeć: lecz żyjąc na świecie,
Czuł ból po ludzku;—więc bieżąc po niwie,
Na czem świat stoi wrzeszczał przeraźliwie.
Łucznicz, jak gdyby rażony od gromu,
Gnał wstecz co siły do zamku Branksomu.

XIII.

I już był stanął na wierzchołku góry,
Zkąd widać u stóp i rzekę i mury.
Gdy nagle z głębi lesistych rozłogów,
Usłyszał hasła zbliżania się wrogów:
Dźwięk kobz, piszczałek, i wojennych rogów,
Zmieszany z bębnów łoskotem. i czasem
Ze rżeniem koni i ludzi hałasem.
I wnet nad niższe zarośle wzniesione,
Powiały z wiatrem chorągwie czerwone;
I widać było, gdzie gąszcz rzedniejąca,
Jak broń i zbroje błyskały od słońca.

XIV.

Przednia straż naprzód, na rączych koniach.
Rozpierzehłym szykiem hasa po błoniach,
 Śledząc zasadzek i wrogów:
Za nią Kendalscy dzielni łucznicy,
Cali w zieleni, z łukiem w prawicy,
 Mierzą krok z taktem swych rogów.
Tuż po za nimi, rzędem jak ściana,
We zbrojach Dakra jazda dobrana,
 Szła z krzyżowemi sztandary:
Co niegdyś z Akry zdobytej szaniców,
Wionęły grozą w hordy pohaniców.
 Męztwem w rycerzy swęj wiary.
Zbroje na piersiach krzyżem znaczone,
Na krzyż przez piersi szarfy czerwone,
 Twarz za kratami przyłbicy;
A przed ich szykiem, gronem minstrele,
Z kobzami w ręku, grają na czele:
 „Lord Dacre, stróż naszej granicy!“ *)

XV.

Po za angielską jazdą i piechotą.
 Szedł Niemców hufiec zaciężny;
Konrad z Wolfsteinu, zuchwały i mężny,
 Krew ich frymarczył za złoto.

*) Słowa pieśni narodowej szkockiej.

Tłuszcza bez prawa, bez kraju i domu,
 Niedbała o nic, niekarna nikomu,
 Gwoli pierwszemu, co lepiej zapłaci,
 Gotowa przelać krew wroga lub braci ¹⁰⁾.
 Broni ich też inna, niż noszą Anglicy:
 W górę z ramienia tkwi rura rusznicy;
 Z bawolej skóry marszczone kaftany,
 Ściąga w pół ciała pas kłamrą spinany;
 Z lewego boku, zwieszona z pod pachy,
 Wisi u szarfy ładownica z blachy;
 Prawe kolano jest nagie, ażeby
 Łatwiej na mury iść w razie potrzeby;
 A wszyscy razem, w zwartym idąc szyku,
 Śpiewali pieśni w swym twardym języku.

XVI.

Lecz zgiełk się wzmaga — i głośniej, i śmielój,
 Brzmią trąby, surmy, i kobzy minstreli,
 Gdy na kraj pola, okutą we zbroje,
 Lord Howard z lasu wywiódł jazdę swoją:
 Straż tylną w szyku, lecz pierwszą na boje! —
 Nie jeden młody ochotnik bez trwogi,
 Szedł z nią, by złote zasłużyć ostrogi,
 I na ognistym harcując rumaku,
 Godłem swęj damy wstrząsał na szyszaku.
 Szli dwaj za dwóma, aż nad lasu brzegiem,
 Długim, podwójnym stanęli szeregiem,
 I „Święty Jerzy za Anglią!“ wkoło
 Okrzyk z ust wszystkich rozległ się wesoło.

XVII.

Oczy Anglików, jak strzały, łakomie
Utkwiły wszystkie w warownym Branksonie,
Co tak już blisko, że słuch przenikliwy
Dosłyszy każde brząknięcie ciecwy. —
Na wałach wkoło jeżą się błyszczące,
Ostrza halabard i włóczni tysiące;
Na wieżach stoją mosiężne haubice,
Gotowe ciskać grom i błyskawice;
Słupem z nadbramnych baszt, dym i popioły
Wieją z pod kotłów smażącej się smoły:
Deszcz to ognisty na nieprzyjacioły!
A od czerwonych promieni ogniska,
Śród kłębow dymu stal krwawo połyska.
Anglicy patrzą; — wtém most się odwała,
I z bram wyjeżdża rycerz, w którym zdala
Poznali wszyscy, starca Seneszała.

XVIII.

W pełnej byli zbroi, prócz hełmu, a biała
Broda poważnie na pierś mu spływała.
Niezgięty wiekiem, prosto siedział w łęku:
Wodze rumaka w lewym ściągą rękę,
I coraz bodźcem łechtając po bokach,
Zmusza go zwolna iść w ciągłych podskokach.
Na znak rozejmu, w prawicy nad głową
Trzymał do góry gałązkę wierzbową;

A za nim giermek, w bawolim kirysie.
Niósł rękawicę zwieszoną na spisie ¹¹). —
Skoro się zbliżył, wnet Angielscy wodze.
Lord Dacre i Howard, by spotkać na drodze,
Wyszli na czoło wojsk swoich, ciekawi,
Co im ów goniec z Branksomu objawi.

XIX.

„Lordowie!“ — starzec rzekł — „Lady z Branksomu,
„Pyta was przez mię: przecz i przeciw komu,
„Gwałcąc przymierze, co wiąże dwa kraje.
„Wiedziecie Niemców najemnicze zgraje,
„Kendalskie łuki i Gilslandzkie włócznie? —
„Lady wam radzi cofnąć się niezwłocznie;
„A jeśli dobra nie pomoże rada,
„Przez usta moje to wam zapowiada:
„Że niechaj tylko tłum łupu łakomy,
„Spali nam w polu choć jedno zdźbło słomy;
„Niech tylko hałas lub szczęk broni waszój,
„Jedną jaskółkę z wież naszych wystraszy:
„Jako Bóg żywy! na zbojeckiej bandzie.
„Ogniem i mieczem pomścim w Kumberlandzie!“ —

XX.

Dacre z gniewu ledwo dosłuchać go zdołał,
Lecz spokojniejszy Lord Howard zawołał:
„Cny Seneszalu! prosz twój pani samój,
„Niech raczy zstąpić do zewnętrznej bramy,

„Tam jej przez usta Herolda powiemy,
„Z czémeśmy przyszli, i z czém wrócić chcemy.“—

Seneszał wrócił, i wnet z Lady samą,
Stanął na murze, nad zewnętrzną bramą;
A wkoło klanu przedniejsi wodzowie,
Cheiwi usłyszeć co Herold opowie.—

W barwach Howarda, zbliżył się przez pole,
Wiodąc za rękę nadobne pacholę. —
O! widok matce straszniejszy od gromu!
Poznała syna, dziedzica Branksomu!—
Herold ją grzecznym witając ukłonem,
Wskazał na dziecię, i rzekł śmiałym tonem.

XXI.

„Lord Dacre i Howard, przeciw pięknej damie,
„Z boleścią serca muszą zbroić ramię;
„Ale im dłużej znosić nie przystoi,
„Widząc jak krewni i lennicy twoi,
„Wzdłuż granic naszych puszczać zagony,
„Lud nasz mordują i łupieżą plony,
„A ty, o pani! z ujmą czei imienia,
„Zbójom w swym zamku udzielasz schronienia.
„Żądają zatem, by im był wydany
„Rycerz, Wiljame Delorainem zwany,
„Na słuszną karę, jaka się domierza
„Na gwałcicielach wspólnego przymierza.
„Niedawno bowiem, jak o tém wie każdy,
„Złupił Stapleton na czele swój jazdy,

„I depcąc Bozkie i rycerskie prawa.
„Sam zabił brata Ryszarda Musgrawa.
„Gdy więc, jak widać, kobięcie i wdowie
„Trudno powściągnąć to złe: Milordowie,
„Chcę, abyś w pomoc, w zamku twego progi,
„Przyjęła dwieście angielskiej załogi.
„Inaczéj, szturmem wzięwszy jego wały,
„Pługiem zaorzą te miejsca, gdzie stały:
„A syn twój, pani, w prostych paziów rzędzie,
„Na dwór Londyński odesłany będzie.“—

XXII.

Umilkł—lecz chłopiec lejąc łzy dziecięce,
W górę ku matce wznosił drobne swe ręce,
I po imieniu zwał wiernych lenników.
By go wyrwali z przemocą Anglików.—

Serce się Lady ścisnęło boleścią.
I oko matki zaszło łzą niewieścią.
Bystro po wodzach spójrzała wokoło:
Każdy stał smutny, opuściwszy czoło.
A więc zamknąwszy na dnie mężkiej duszy,
Żal swój, co łkaniem chciał ulżyć katuszy,
Nieporuszona na pozór i śmiała,
Wyniosłym głosem tę odpowiedź dała.

XXIII.

„Idź, powiedz panom twym, co tak wspniali
„Wojnę niewiastom i dzieciom wydali;

- „Że się Deloraine, cel ich nienawiści,
„Albo przysięgą z zarzutów oczyści ¹²⁾,
„Lub na sąd Boski, zgodnie z ludzkim prawem,
„Stanie sam na sam do walki z Musgrawem. —
„Ze krwi i z męstwa Deloraine, z pierwszymi
„Równać się może lordami waszymi:
„Z ręki Duglasa wziął rycerstwa znamię,
„Gdy krew angielska wzbierała w Ankramie ¹³⁾:
„I sam Dacre, gdyby nie rączość sokola
„Konia, co wtedy unosił go z pola,
„Dacre samby widział, czém w dniu tym bez trwogi
„Deloraine złote okupił ostrogi. —
„Co do młodego dziedzica Branksonu:
„Bóg niech go strzeże! — lecz ja w jego domu,
„Ja, póki żyję, nie dopuszczę sromu.
„By przyjaciela wydać w ręce wrogów.
„Lub wrogom naszym dać wstęp do mych progów! —
„Idź więc i powiedz dumnym twoim panom,
„Że gdy się dobrym nie cofną sposobem.
„Trąby wnet nasze zabrzmia śmierć ich klanom,
„A ten nasz przekop stanie się ich grobem.“ —

XXIV.

Rzekła, i z dumą spojrziała dokoła. —
Tirlestanowi gniew iskrzy się z czoła,
Walter z Hardenu zatrąbił — i razem
Cały gmach nagle zabrzączał żelazem.
Z wież sto chorągwi rozwilo się w górze,
Tysiące mieczów błysnęło na murze,

I okrzyk w niebo wzbił się nakształt gromu:

„Święta Maryo! za Lorda Branksomu!“ —

Hasło angielskie ozwało się echem:

Jazda w tok włócznie złożyła z pośpiechem,

Łuczniczcy z trzaskiem ciężki napięli,

Zabrzmiały trąby i kobzy minstrelci

Pieśń, hasło szturmu i mordów:

Wtém—nim ostatni znak dano do boju,

Ujrzano gońca:—w kurzawie i znoju

Przypadł, i mówi do Lordów.

XXV.

„Przebóg, Lordowie! o! biada wam, biada!

„Pochód wasz wrogom odkryła snąc zdrada.

„Co tu czynicie pod temi murami,

„Twierdza przed wami, a wojna za wami?—

„W nieprzyjaciołach już się radość nieci,

„Że lew angielski dał się złowić w sieci.

„Z gór Ruberslawu, pod dzielnym Duglasem,

„Równina włóczni pokryła się lasem;

„Nieprzeliczony tłum Lorda z Maxwelu,

„Tył wam zabiera od brzegów Liddelu.

„Z Dżedwudu *), Esku, i Tewiotdal, u,

„Angus zastępy prowadzi;

„Z całego Mersu, i z niw Lauderdal, u,

„Hom ochotników gromadzi,

*) Jedwood.

„Ja jestem Anglik, wygnaniec z mej ziemi,
„Ale Anglicy są braćmi mojemu:
„Ciche schronienie mam wśród Liddesdału,
„Lecz klęsk ojezyny nie zniosę bez żalu;
„Co tchu więc stało pędziłem tu w nocy,
„By wam oznajmić o wrogów przemocy.“—

XXVI.

— „Niech przyjdą — krzyknął Dacre — „na zgubę
[swoje!
„Znamię to ojca mego i moje,
„Co niegdyś godłem zwyciężkiej nadziei
„Wiało z wiatrami na brzegach Judei,
„Wnet z wież Branksomskich wzdymając się groźnie,
„Urągać będzie z przybyłych za późno!—
„Łuczniczy! naprzód!—zdwojcie krok i meztwo!
„Kto Anglik, za mną!—śmierć albo zwycięstwo!“—

XXVII.

— „Stój!— rzekł mu Howard — „przyjm radę przyjaźni,
„Ani sądz, proszę, że mówię z bojaźni;
„Bo i któż widział, by kiedy Lew Biały *)
„Zadrzał przed wrogiem, lub zszedł z pola chwały?—
„Ale tak na szwank stawić kwiat rycerstwa,
„Naprzeciw siłom całego królestwa;

*) Herb Howardów.

„Chcieć w trzy tysiące zbić dziesięć tysięcy:
„Czyn taki byłby szaleństwem, nie więcej.
„Przetoż me zdanie jest przyjąć układy,
„Nim wieść odsieczy wzmoże duch osady.
„Musgraw swe spory niech kończy orężem:
„Jeśli zwycięży, my przezeń zwyciężem;
„Gdy się zaś szczęście odwróci od niego,
„Będzie to strata—lecz tylko jednego.
„Zresztą spokojnie, bez szkody i sromu,
„Jakośmy przyszli, wrócimy do domu.” —

XXVIII.

Nie w smak Dakrowi szły takie wyrazy,
Wstrzymał się jednak, i zmienił rozkazy.
Ale już odtąd, dawni przyjaciele
Nie stali razem na wojsk swoich czele;
I mówią ludzie, że ten powód gniewu
Był potem źródłem bratniej krwi rozlewu.

XXIX.

Herold na nowo zbliżył się pod wały,¹
I dźwięki trąby znów wodzów przyzwały.
Herold z obrzędem rycerskiego prawa,
Czynił wyzwanie w imieniu Musgrawa;
U stóp ich zbrojną rękawicę złożył.
I w takich słowach rzecz swoją wyłożył:

„Gdy Musgraw palmę zwycięstwa odbierze,
„W zakładzie u nas zostanie lord młody;
„A za doznane gwałty i łupieżę,
„Klan wasz nam wróci ubytki i szkody.
„Jeśliż Deloraine Musgrawa pokona,
„Puścimy wolno dziedzica Branksomu:
„A w każdym razie, ta i owa strona,
„Nie szkodząc drugiej, ani uszkodzona,
„Lud swój wojenny rozpuści do domu.“ —

XXX.

Nikt z wodzów blizkich posiłków nie świadom,
Każdy więc w sereu rad był tym układom.
I próżno Lady dwuznacznemi słowy
Chciała przewłóczyć lub zerwać umowy:
Bojąc się wydać z wiedzą tajnych rzeczy,
I sztuki wyższej nad rozum człowieczy,
Przez którą miała wieść pewnej odsieczy:
Przystała w końcu, że nazajutrz rano,
W polu szrankami plac oznaczyć miano,
Gdzie z Delorainem Musgraw przed wieczorem,
Stoczą bój pieszo, z szablą i toporem.

XXXI.

Wiem, że niejedni minstrele bajali,
Iż się bój taki, we zbrojach ze stali,
W szrankach odbywać zwykł konno:
Z kopia w toku, w całym pędzie koni.
I z mieczem w zapas, gdyby włócznie w dłoni
Pryśły o tarczę ochronną.

Lecz mistrz mój w pieśniach — on lepiej to wiedział ¹⁴⁾,
I jak wam mówię, tak mnie opowiedział
 Wszystkie tej walki obrzędy;
On, co tak prawa rycerskie Duglasów ¹⁵⁾,
I tak znał dzieje najdawniejszych czasów,
 Jakby sam zawsze był wszędy!
To też nie ścierpiał, by żart czy zuchwałość,
Fałsz pieśniom jego lub niedoskonałość
 Zarzucac śmiały przed światem;
I gdy raz wspólnie spełniali kielichy,
Za taki zarzut, w gniewie swojej pychy,
 Wszczął spór z Reullem współbratem.
Nad Tewiotem, w samotnej ustroni,
Spokojne echa zbudził szczęk ich broni,
 I Reull poległ w złą chwilę.
Mistrz mój, gdy ostygł gniew co go zaślepił,
Polany łzami krzew głogu zaszczeplił
 Na przeciwnika mogile.

XXXII.

Mamże wspominać pod jak krwawym ciosem
Legł sam, mistrz pieśni, z ubielonym włosem,
 Jak osądzili go ludzie? —
Próżno głos jeden współziomków boleści,
I Ousenamskich dziewic płacz niewieści,
 Błagały za nim w Dżedwudzie.
Umarł! — uczniowie jego po jednym,
Płacząc tu po nim, już poszli ku niemu;

Ja tylko jeszcze, starzec nad mogiłą,
Stoję i płacę, wspomniawszy co było;
I że już ucho moje nie usłyszy,
Zajrzanych nieraz pieśni towarzyszy;—
Bo zawiść moja zgasła razem z niemi,
A żal mi tylko został na tej ziemi.

Umilkł—i znowu łza błysła w oku,
Którą wnet skrycie otarł na boku.
Lecz księżna uczuć przenikła skrytość:
I na wpół szczerze, na wpół przez litość,
Ona i damy, co go słuchały,
Jedna przed drugą pieśń uwielbiały.

Księżna się zdała dziwem przejęta,
Że tyle rzeczy wie i pamięta,
O rodach, co już dawno wymarły.
O czynach, co się w dziejach zatarły;
O zbrojnych zamkach, gdzie las dziś wzrasta,
Albo o lasach, gdzie teraz miasta;
O zapomnianych tylu zwyczajach,
I tylu mężach, w obu tych krajach,
Co je na własnych dźwigali siłach.
A tyle wieków śpią już w mogiłach,
Że już od wieków, zwodnicza chwała
Imion ich nawet pozapomniała,
I na skroń młodszych dała czcicieli.
Wieniec, za który krew swą przeleli.
Nie jestże dziwną pieśń, co tak budzi
Z grobu przeszłości, czasy i ludzi?—

Wieszcz się uśmiechnął:— bo gdzież pochwała,
W uchu poety próżno zabrzmiała?
Ród prosto-duszny! cel ich i pycha,
Czyjś krótki uśmiech, czyjaś łza cicha!
Temu z nich każdy, zapal młodzieńca,
Temu swe mężkie siły poświęca;
I gdy wiek nawet oziębi ducha,
Jeszcze pochwała iskrę rozdmucha,
I wyobraźnia, jak zgonu bliska
Lampa. raz jeszcze kołem zabłyśka.

Wieszcz się uśmiechnął—i tak z uśmiechem,
Śpiewał, wtórując cichem strón echem.

KONIEC PIEŚNI CZWARTÉJ.

PIESN PIĄTA.

I.

Nie zwijcie płonnem marzeniem minstrela.
Jeśli wam powie, że po zgonie wieszczą
Natura płacze swojego czciciela,
I żal swój po nim widomie obwieszcza.
Że mroczne lasy i skaliste góry,
Z głębi swych pieczar wznoszą jęk ponury;
Że w kir obłoków stroją się niebiosy;
Że kwiaty nad nim sączą łzy swej rosy;
Że wiatr po lubych gajach jego wzdycha,
A szelest liści wtóruje mu zeicha;
Albo że woda wezbrana w strumieniach,
Jak gdyby łkała, brzęczy po kamieniach.

II.

Nie by w istocie, po śmierci człowieczej
Smucić się mogły nieżyjące rzeczy:

Lecz ze wiatr, woda, las, przepaść i góra,
 Niebo i ziemia, i cała natura,
 Są echem żalu tych, co zapomniani
 Na ziemi, w pieśniach żyli jeszcze dla niej,
 A z śmiercią Barda, ich pamięć u ludzi
 Kona raz drugi, i już się nie wzbudzi. —

Tkliwój dziewicy cień, która boleje
 Że czystych uczuć jej zaginę dzieje,
 Na grób śpiewaka, i z kwiatów ich wonie,
 I świeżą rosę westchnieniem owionie.
 Duch wojownika, widząc kres swój chwały,
 Którą rozumiał że wieki czcić miały,
 Ze wstydu w czarnych zawiwszy się chmurach,
 Jęczy z wiatrami po lasach i górach.
 Feudalny mocarz, poznając jak licha,
 Jak marna była potęga i pycha,
 Dla której kraje zamieniał w pustynie,
 A której z Bardem ślad nawet zaginie:
 Wyje z wściekłości po przepaściach ziemi,
 I wody w źródach wzdyma łzami swemi.
 A wszyscy w Barda lutni oniemiałej,
 Płaczą swój własnej pamięci i chwały.

III.

Ledwo co hasło cofniono bojowe.
 I obie strony stwierdziły umowę,
 Gdy z wież Branksomu, z Tewiotu brzegów,
 Ujrzano przednią straż nowych szeregów.
 Kurz tumanami kłębił się po błoni.
 I słyhać było głuchy tentent koni:

Ostrza sztandarów i włóczni tysiąca.
Jak gwiazdy w górze błyskały od słońca;
A rozwinięte chorągwie znaczyły,
Gdzie który z wodzów. i jakie wiódł siły.

IV.

Cóż nada klany zwać po imieniu,
Z jakich szły grodów, gór, albo lasów?
Dość, że na przedniej straży znamieniu
Jaśniało Krwa we Serce Duglasów ¹⁾;
Że w środku Siedem Lanc z Wedderburny ²⁾,
Dosiadło siedmiu orłów-dzianetów:
Że odwodowy hufiec poczwórny,
Wiódł Swinton, pogrom Plantagenetów! ³⁾—
Lecz któż wyliczy wszystkich rycerzy.
Imie ich klanu, godło sztandaru:
Których z niw Mersu, z Twidu wybrzeży,
Wiódł młody Hepburn, i Hom z Dunbaru ⁴⁾?—
Tłum różno-barwny szedł różnym szykiem,
Aż z gór ujrzawszy wieże Branksomu,
Zatrząsał powietrze jednym okrzykiem:
„Hom! Hom! za Branksom! naprzód Lord Homu!“—

V.

Z zamku tłum gońców, giermków i rycerzy,
Na dzielnych koniach, w godowej odzieży,
Czwałem przebiega równinę:

Klanom za pomoc dziękować uprzejmie,
Wodzom oznajmić o zaszłym rozejmie,
I ofiarować gościnę.—

Ale chcąc ucześć wodzów przyjacielskich,
Nie zapomniano i Lordów angielskich:

Seneszał, w obrzędnym stroju,
Stanął przed nimi, i w imieniu Lady,
Wzywa, by chętnym podziałem biesiady,
Stwierdzili układ pokoju.—

Lord Howard, który, jak w sztuce szermierskiej,
Nie miał równego w grzeczności rycerskiej,
Przyjął gościnność; lecz Dacre ku ochocie
Nie skory, wołał pozostać w namiocie.

VII.

Terazbyś, Księżno, spytać może rada,
Jak się przeciwne dwa wojska spotkały,
Mysząc zapewne, że trud był nie lada,
Utrzymać pokój zaledwo nastaly,
Gdy wojsko z wojskiem, na tój samej błoni,
Zawziętość w sercu, a broń mają w dłoni?—
Z mlekiem wyssana dziedziczna nienawiść,
Wzajemne krzywdy, i sąsiedzka zawiść,

Wszystko ich dzieli przez wieki;
Lecz się w tój chwili, układów świadomi,
Schodzą, witają, jak dobrzy znajomi,
Zszedłszy się w ziemi dalekiej.

Z uprzejmą twarzą, z rozjaśnionem czołem,
Wkrąg na murawie zasiadają społem,
W ufności, w zgodzie braterskiej;

Z rąk do rąk krąży napełniona fiasza,
Jeden drugiego woła i zaprasza
 Na podział uczty żołnierskiej.
Tam dwaj gdy wzajem podnieśli przyłbice,
Sąsiad sąsiada poznał o granicę,
 Śmieją się, podają dłonie;
Młodzież gra w piłkę z palantem, lub w kości ⁵⁾,
A wszędzie wrzawa i gwar wesołości
 Napełnia lasy i błonie.

VII.

A jednak wiedziecie, że gdyby w tej chwili
 Trąby do boju znak dały:
Z tych samych, którzy jak bracia bawili,
Co razem z sobą igrali i pili,
 Wrogiby wzajem powstały.
Wesołe echa po nad Tewiotem,
Nagleby zbrojnym zabrzmiały łoskotem,
 I chórem jęków i krzyków;
A sztylet, który w prawicy bezbrojnej,
Pomagał krajać na uczcie spokojnej,
 Sam piłby krew biesiadników. —
Nagły ten przechód od uczt do zapasów,
Tak bywał częsty za tych dawnych czasów,
 Że nie był dziwny nikomu ⁶⁾.
Tą razą jednak, spokojnie i zgodnie
Przeszedł dzień cały, i słońce pogodnie
 Zaszło nad zamkiem Branksomu.

VIII.

Mrok nigdzie miłej nie przerwał zabawy:
I wkrótce słupy światłości jaskrawej,
Z sal biesiadniczych, przez okna zamkowe,
Sięgając rzeki, padły na dąbrowę.
I słychać w zamku, jak coraz weselej
Brzmi gwar biesiady i pieśni minstrelki.
Którym, jak gdyby przeciąglęmi echy,
Wtórują z zewnątrz obozowe śmiechy,
Żołnierskie śpiewy, lub wybuch hałasów,
Na wiwat imion: Dakrów lub Duglasów.

IX.

Ale im ciemniej, tem ciszej i ciszej
Brzmi ruch i gwary—aż całkiem ustały.
Z wałów Branksomu nic ucho nie słyszy,
Prócz szmeru rzeki, gdy pluska o skały.
I na równinie milczenie dokoła:
Prócz że gdzie niegdzie straż hasło zawoła;
Prócz że z tchem wiatru, z dalekiego boru,
Kiedy niekiedy zabrzmie szczepek toporu:
Gdzie robotnicy, wysłani z wieczoru,
Całą noc drzewo sposobią do szranek,
By stanąć mogły na jutrzejszy ranek.

X.

Anna nie bacząc na groźny wzrok Lady,
Powstawszy weześnie od stołu biesiady,

Odeszła do swych pokoi;
 Ani widziała, ile tkliwych oczu,
 I ile westchnień, tajonych w uboczu,
 Szło za nią na próg podwoi.
 Nie jeden bowiem sprzymierzeniec młody,
 W sercu jej słodkiej pożądał nagrody,
 Za wierną przyjaźń dla domu;
 Nie świadom o tym, co jak w myślach dziennych,
 Sam tylko teraz w jej marzeniach sennych,
 Zajmował Annę z Branksomu. —
 Marzenia były ciężkie i zwickłane:
 Więc uprzedzając świtanie rumiane,
 Wstała, szukając im przerwy.
 Z tyluset, którzy tu wczoraj zasnęli,
 I z przyjacieli, i z nieprzyjacieli,
 Najlepsza, wstała najpierwej!

XI.

Wstała, i patrzy na dziedziniec próżny,
 Który zalegał cień wieży narożnej,
 I na dalekie rozłogi.
 Wszystko w śnie twardym i ciszy ponurzej,
 Gmach i obozy:—a wtem się o mury
 Odbił brzęk zbrojnej ostrogi.
 Jezus Marya! sen-że to czy jawa? —
 Oddech jej w ustach stłumiła obawa,
 I serce w piersiach ustało.
 To on! Lord K r a n s t o n! jak gdyby w swym domu,
 Stąpa sam jeden w dziedzińcach Branksomu,
 Stąpa spokojnie i śmiało!—

Mogłaż go duma lub ufność tak złudzić?
Gdy dość jednemu paziowi się zbudzić,
Dość by straż słowo wyrzekła :
Za wszystkie perły Królowej Maryjjej,
Za wszystkie droższe od pereł, ach! łyzy jej.
Śmieręby się jego nie zwlekła.

XII.

Lecz Kranston pewien był swoich zamiarów:
Karzeł albowiem nauczył go czarów,
Jak przybrać na się kształt cudzy:
I gdy przechodził przez bramę Branksomu,
Znanego wszystkim przyjaciela domu
Widział w nim strażnik i słudzy. —
Ale jakiegóż potęga uroku
Zaćmi przenikłość w kochającym oku,
Przecucie w duszy młodzieńczej? —
Anna poznała — lecz drżaca i blada.
Nie wie co czynić; — i nim przyszła rada,
Lord Kranston u nóg jej klęczy.

XIII.

Nie raz myślałem, jaki cel prawdziwy
Mógł mieć w istocie ów karzeł złośliwy,
Gdy to ułatwiał spotkanie? —
Miłość szczęśliwa a czysta zarazem,
Nazbyt jest nieba na ziemi obrazem,
By znaleźć pomoc w szatanie.

Wpadam więc zawsze na ten domysł, czyli
Nie myślał raczej, że w uniesień chwili,

Namiętność popechnie do grzechu:

A wtedy widząc jej łzy i sromotę,

I jego rozpacz. i żal, i zgryzotę.

Miałby dość przyczyn do śmiechu.—

Lecz podle duchy pojąć nie są w stanie.

Co jest prawdziwe, szlachetne kochanie:

Drogi dar Niebios, który przed innemi

Bóg zesłał ludziom na osłodę ziemi.

Nie jest to wietrzny ogień wyobraźni,

Co póty gore, dopóki się drażni:

Nie z ziemskiej żądzny swęj mocy nabiera,

Nie przez nią żyje, i nie z nią umiera.

Lecz jest to związek ducha z duchem, który,

Spaja się tajnym ogniwem natury,

I łączy węzłem niezrywnęj jedności.

Dwa serca w życiu, dwie dusze w wieczności!—

—Ale zostawmy szczęśliwych koehanków,

A przejdźmy, gdzie się tłum kupi do szranków.

XIV.

Trąby z obozów zabrzmiały po łanach,

Wojska się ze snu porwały ochoczo;

Hufce po hufcach, i klany po klanach,

Jeden przed drugim ku szrankom się tłoczą;

Włócznie się jeżą nad głowami tłuszczy,

Jak nagie sosny w wypalanej puszczy.

A wszystkich oczy zwrócone ku drodze,

Zkąd zapaśnicy i przedniejsi wodze

Z zamku przybędą za chwilę;
A każdy tego lub owego sławi,
Wróży mu tryumf, i zakłady stawi
Na jego męztwie i sile.

XV.

W zamku tymczasem toczyły się spory.
Walter z Hardenu i Jan z Tirlestanu,
Za Deloraina, co jeszcze był chory,
Obaj chcą bronić czei jego i klanu.
Obaj uparci:—już jeden i drugi
Liczy swe prawa, wspomina zasługi,
Już gniew zaiskrzył w ich oku;
Słowo—a z sporu przejść mogą do zwady!
Próżne jednania przyjaciół i Lady:—
Gdy wtém—o! dziwny widoku!
On sam, Deloraine, już w zbroję odziany,
Zdrów, jakby nigdy nie odebrał rany,
Wszedł—sam chce bronić swęj chwały.
Lady zdumiała nad skutkiem swych czarów.
Między wodzami znikł powód do swarów,
I trąby wyjścia znak dały.

XVI.

Lady jechała na czele orszaku.
Lord Howard pieszo szedł przy jej rumaku,
Ręką trzymając za wodze;
Z częstych uśmiechów i skinienia głowy,
Znać, że uprzejme i wdzięczne rozmowy
Wiedli nawzajem po drodze.

Lord zamiast zbroi godowe miał szaty:
Brabanekie tkania i perskie bławaty
 Zdobiły kaftan bawoli;
Na zwierzchnim płaszczu haft połyskał drogi,
Złoty miał łańcuch, i złote ostrogi,
 I kołpak z polskich soboli.
Miecz Toledoński, formy starożytniej,
Wisiał w szkarłatnej pochwie aksamitnej,
 U pasa cudnej roboty.
Wassale widząc ten strój od przepychu,
Jeden drugiemu szeptali po cichu
 Dawniejsze Lorda zaloty.

XVII.

Tuż po za Lady, krokami wolnemi
Stąpał koń Anny;—strój długi do ziemi
 Igrał z tchem wiatrów nieśmiałych;
Twarz obwiewała przejrzysta zasłona,
Włos utrefiony spadał na ramiona,
 Ujęty wieńcem z róż białych.
Gdyby nie Douglas idący koło niej,
Cugłów utrzymać nie mogłaby w dłoni,
 Tak drżała w sobie i w ręku.
Douglas rozumiał, że blizki bój krwawy
Trwoży dziewicę: i koił obawy,
 Zlekka wstrzymując ją w łęku.
Ale prawdziwa przyczyna katuszy
Nieodgadniona została w jej duszy,

I znać ją całkiem ośwładła:
Gdy wszedłszy ledwo na wysoki ganek,
Pod baldachimem wzniesiony u szranek,
Miejsce przy matce zasiadła.

XVIII.

Z boku, w obliczu obustronnych szyków,
Stał młody Buklej, pod strażą Anglików,
I cały w oku, z ciekawym obliczkiem.
Znać, że prócz bitwy nie myślał o niczym,
W szrankach Hom z Dakrem, na koniach, wezbroi,
Baczenie, jak sędziom potyczki przystoi,
Plac rozmierzają od końca do końca,
Dzieląc korzyści powietrza i słońca.
I z ich rozkazu woźny, przy trąb dźwięku,
Głosi, by podczas walki zapaśników,
Nikt wzrokiem, ręką, ani niczym w rękę,
Nie dawał znaków, nie wydawał krzyków,
Pod karą śmierci z prawa i zwyczajów.
Skończył—i cichość nastąpiła dokoła;
A Heroldowie obu wojsk i krajów
Wyszli na środek, i każdy tak woła.

XIX.

HEROLD ANGIELSKI.

„Tu stoi Ryszard Musgraw, rycerz prawy,
„Mąż dzielny, z zacnej, wolnej krwi szlacheckiej;

„I Deloraina, za mord brata krwawy,
„Za łupież podczas napaści zbojeckiej,
„Ogłasza zbójcą bez czci i bez sławy,
„Zdrajcą przymierza i zgody sąsiedzkiej.
„A co rzekł, mieczem poprze w każdej porze:
„Tak mu dopomóż sprawiedliwy Boże!“—

XX.

HEROLD SZKOCKI.

—„Tu stoi Wiljam Deloraine, mąż dzielny,
„Rycerz i wolny szlachcic;—i powiada:
Ze Ryszard Musgraw jest kłamca bezczelny,
„Ze żadne podłe morderstwo i zdrada
„Nie plamią jego czci nieskazitelnej;
„I niechaj potwarz na potwarce spada!
„A co rzekł, mieczem poprze w każdej porze:
„Tak mu dopomóż sprawiedliwy Boże!“—

LORD DACRE.

—„Bóg niech rozstrzyga! Do broni, rycerze!
„Trębacze! hasło!“—

LORD HOM.

—„Bóg niech prawdy strzeże!“—

Rzekł—i wnet echa po nad Tewiotem,
Trąb przeraźliwych i broni łoskotem
Zabrzmiały wszystkie zarazem:

I znać ją całkiem o władła:
Gdy wszedłszy ledwo na wysoki ganek,
Pod baldachimem wzniesiony u szranek,
Miejsce przy matce zasiadła.

XVIII.

Z boku, w obliczu obustronnych szyków,
Stał młody Buklej, pod strażą Anglików,
I cały w oku, z ciekawem obliczłem.
Znać, że prócz bitwy nie myślał o niczém,
W szrankach Hom z Dakrem, na koniach, wezbroj,
Baczenie, jak sędziom potyczki przystoi,
Plac rozmierzają od końca do końca,
Dzieląc korzyści powietrza i słońca.
I z ich rozkazu woźny, przy trąb dźwięku,
Głosi, by podczas walki zapaśników,
Nikt wzrokiem, ręką, ani niczém w ręku,
Nie dawał znaków, nie wydawał krzyków,
Pod karą śmierci z prawa i zwyczajów.
Skończył—i cichość nastąpiła dokoła;
A Heroldowie obu wojsk i krajów
Wyszli na środek, i każdy tak woła.

XIX.

HEROLD ANGIELSKI.

„Tu stoi Ryszard Musgraw, rycerz prawy,
„Mąż dzielny, z zaeniej, wolnej krwi szlacheckiej;

„I Deloraina, za mord brata krwawy,
„Za łupież podczas napaści zbojeckiej,
„Ogłasza zbójcą bez czei i bez sławy,
„Zdrajcą przymierza i zgody sąsiedzkiej.
„A co rzekł, mieczem poprze w każdej porze:
„Tak mu dopomóż sprawiedliwy Boże!“—

XX.

HEROLD SZKOCKI.

—„Tu stoi Wiljam Deloraine, mąż dzielny,
„Rycerz i wolny szlachcic;—i powiada:
Ze Ryszard Musgraw jest kłamca bezczelny,
„Że żadne podłe morderstwo i zdrada
„Nie plamią jego czei nieskazitelnęj;
„I niechaj potwarz na potwarzę spada!
„A co rzekł, mieczem poprze w każdej porze:
„Tak mu dopomóż sprawiedliwy Boże!“—

LORD DACRE.

—„Bóg niech rozstrzyga! Do broni, rycerze!
„Trębacze! hasło!“—

LORD HOM.

—„Bóg niech prawdy strzeże!“—

Rzekł—i wnet echa po nad Tewiotem,
Trąb przeraźliwych i broni łoskotem
Zabrzmiały wszystkie zarazem:

Gdy się śród szranek dwaj współzawodnicy,
Z zapalem w sereu i gniewem w źrenicy.

Starli—żelazo z żelazem.

XXI.

Nie przed damami śpiewać przystoi,
Jak ostrza siekier grzęzły we zbroi,
Jak po nich krwawe płynęły strugi:
Bo siła równa i bój był długi.
Lecz gdybym śpiewał wobec rycerzy,
Mógłbym opisać wszystko najszczerzej:—
Bom i ja widział starcie puklerzy!
Bom i ja widział, jak się łamały
Włócznie o zbroje, i jak bryzgały
 Krwia ludzką końskie kopyty!
A przecież nigdy nie cofnął kroku,
I nieraz ze mną wróg, oko w oku.
 Zwarł się, i pierzchnął odbity.

XXII.

Stało się, stało!—hełm przeszła siekiera,
Zachwiał się, we krwi uśliznął na trawie,
Padł!—próżno jeszcze ostatek sił zbiera —
Już ci nie powstać Ryszardzie Musgrawie!
Krew pluszcze z rany:—przyskoczyli swoi,
Przecieli węzły u hełmu i zbroi,
Cheą podnieść z ziemi—daremne staranie!
Twarz coraz bledsza:—śpiesz, śpiesz kapelanie!

Niech szczerą spowiedź i serdeczną skrucha,
W drogę wieczności usposobią ducha!

XXIII.

Sługa pokoju bieży na plac bitwy,
Nad konającym odmawiać modlitwy.
Z wiatrem w pośpiechu ulata włos biały,
Nagie się stopy krwią zafarbowwały,
Gdy miejsce walki przebywał;
Ukląkł, i bacznie nastawiając ucha,
Niezrozumiałych słów spowiedzi słucha,
Którą jęk często przerywał.
Słucha—i w górze przed jego oczyma,
Godło mąk ludzkich i zbawienia trzyma,
I budzi żalność za grzechy;
Każe zapomnieć nienawiści wroga,
Uczy jak ufać w miłosierdziu Boga,
I krzepi słowem pociechy.
Umierający wznosił jeszcze powieki,
Oczy w krzyż wlepił—i zamknął na wieki.

XXIV.

Jakby wysilon spracowaniem bitwy,
Lub jakby z mnichem odmawiał modlitwy,
Zwycięzca stoi jak wryty;
Szyszaku nawet nie zdejmuje z czoła,
Głuchy na okrzyk, co brzmi dookoła,
Zimny na chwały zaszczyty.

Wtém nowe krzyki podziwu i trwogi,
Wzniosły się razem od zamkowej drogi,
 Między Szkoekimi widzami:
Tłum się rozpierzcha:—człowiek, czy widziadło?
Wpół nagi, z usty i twarzą wybladłą.
 Z rozczochranemi włosami:
Bieży—przeskoczył zagrodę—i oczy
Wpół obłąkane na około toczy...
 Cóż to jest? jawa czy sen?—
Gwar przerażenia dokoła się szerzy:
Patrzają wszyscy, nikt oczom nie wierzy:—
 To Wiljam de Deloraine!—
Lady się szybko porwała z siedzenia.
Sędziowie szranek skoczyli z strzemia.
 „Ktoś ty jest?“ razem spytali.
„Coś Deloraina wziął postać i lice.
„I w imię jego przyjął rękawicę?“—
Zwycięzca milcząc odsłonił przyłbicę—
 Lord Kranston!—mleczą zdumiali.
On rzekł: „walczyłem w obronie dziecięcia!“—
I syna Lady przywiódł w jej objęcia.

XXV.

Przemogło dumę uczucie matczyne,
Całując łzami oblała dziecinę:
Bo i w śród boju, jak bądź sobą władła,
Widziano nieraz jak drżała i bladła.
Lecz na Kranstona nie zwróciła wzroku,
Choć klęcząc u stóp snaś czekał wyroku.

Długoby mówić, co za nim w tej chwili
Hom, Duglas, Howard, i drudzy mówili,
Prosząc i radząc, by wspólne niechęci
Rzucić nawzajem na wiatr niepamięci,
I by wzgląd słuszny na miłość i mężtwo,
Zjednał im łaskę i błogosławieństwo.

XXVI.

Lady spojrzała na rzekę i góry,
Przypominając ich duchów wyrocznie;
I na Kranstona wznosząc wzrok ponury:
„Bóg, nie tyś przemógł! — Niebo chce widocznie
„Wrócić nam pokój i zgodę.
„Obyż się całkiem ziścił wyrok Boży!
„Przed wolą Jego pycha się ukorzy,
„Miłość mieć będzie swobodę.“ —
Rzekłszy, dłoń Anny, co jak listek drżała,
Wzięła, i w ręce Kranstona oddała:
„Oto masz twoją nagrodę!
„Bądź zawsze wierny dla mnie i dla moich,
„Jak ja być pragnę dla ciebie i twoich:
„I niech Bóg czuwa nad wami!
„Bo dzisiaj jeszcze jest wasze wesele
„A wszyscy nasi zacni przyjaciele
„Zechcą podzielić je z nami.“ —

XXVII.

W drodze do zamku, Lady przez połowę
Pojęła przeszłych wypadków osnowę,

Długą z Kranstonem prowadząc rozmowę:
O jego karle, gdzie i jak go zoczył;
O bitwie, którą z Delorainem stoczył;
O księdze, którą paż zabrał mu skrycie;
I jak przez wziętych z niej nauk użycie,
Dziś go do zamku wprowadził o świcie.
Jak ukradł potem Deloraina zbroję,
W którą się Kranston przyodział na boję,
Za brata Anny wążąc życie swoje.—
Co było więcej—ukrył w tajemnicy,
I konia zwolna zwrócił ku dziewicy.
Lady z swęj sztuki nie szukała chwały,
Ani ją śmiała okazać w dzień biały;
Lecz w myśli swojej, nim minie pół nocy,
Przysięgła użyć wszelkiego sposobu,
By dać karłowi uczuć gniew swęj mocy,
I księgę nazad odesłać do grobu.

XXVIII.

Na cóż się przyda powtarzać do słowa,
O czém szła tkliwa kochanków rozmowa:
Jak Niebu dzięki czynili i śluby,
Że ich tak cudem zbawiło od zguby;
Jak Anna, jeszcze bledniejąc z przestrichu,
Opowiadała, co czuła w tęg chwili,
Gdy go dziś rano ujrzała w swym gmachu,
I gdy patrzała, jak w szrankach walczyli?—
Na co odkrywać serc ich tajemnice,
Wzruszeń, uniesień, szczęścia i wesela?...

Same to kiedyś poznacie, dziewice!
Gdy i wam wasza zaświta niedziela.

XXIX.

Deloraine jeszcze pozostał śród szranek.
Ledwo go ze snu obudził poranek,
Gdy z trwogą i przerażeniem,
Zewsząd oznajmić przybiegli mu swoi,
Że się ktoś w jego postaci i zbroi,
Zjawił pod jego imieniem,
I walczy w szrankach.—Na te straszne wieści,
Deloraine z gniewu zapomniał boleści:
I tak jak leżał w chorobie,
Pędził—i wszystkich przestachu nabawił:
Myśleli bowiem, że szatan się zjawił
W żywego człeka osobie ¹⁾. —
Z razu z nowego nie rad sprzymierzeńca,
Widząc w nim jednak Anny oblubieńca,
Rękę mu podał serdecznie;
Bo jak bądź dziki, zawziętej urazy
Nie chował nigdy za rany i razy,
Byle zadane walecznie.
Nie skory nawet był do krwi rozlewu:
Chyba w potyczce, lub w zapale gniewu,
Lub mszcząc się śmierci krewnego.
I teraz właśnie, nad martwym Musgrawem,
Patrząc nań okiem wpół gniewnym, wpół łzawym.
Tak zcicha mówił do niego.

XXX.

„Toż i na ciebie, Ryszardzie Musgrawie,
„Przyszła godzina, żeś stanął przed Bogiem!
„Równieśmy sobie dokuczyli prawie,
„Tyś mnie, jam tobie był śmiertelnym wrogiem.
„Ja tobie brata, a ty mnie siostrzeńca
„Zabiłeś mieczem; i gdym wpadł w niewolę,
„Tyś tysiąc marków wziął za okup jeńca,
„I miesiąc w wieży przetrzymał na dole.
„Przysiągłem tobie nienawiść do grobu,
„Ścigałem wszędzie ogniem i żelazem,
„Ścigałbym zawsze, póki by z nas obu
„Nie poległ jeden, albo oba razem.
„Lecz już to przeszło!— odpoczywaj z Bogiem!
„Nikt szlachetniejszym nie może być wrogiem;
„Nikt wśród gór waszych i naszych rozłogów,
„Nie ścigał dzielniej jeleni i wrogów!—
„Cud było patrzeć, gdyś konno za psami,
„Ślad w ślad je głosem poduszczał za nami ⁸⁾,
„A dźwięk twój trąbki, na każdym zawrócie,
„Najśmielszym skrzydeł dodawał w odwrócie!—
„Dałbym połowę mych lasów i błoni,
„Gdybyś żył jeszcze—lub poległ z mej dłoni!“

XXXI.

Rzekł, i stał jeszcze:—aż Lord Dacre z namiotu,
Wojsku swojemu dał znak do odwrótu.—

W twarzach rycerzy tchnął smutek głęboki,
Gdy brali z ziemi towarzysza zwłoki,
I przy rozwitych nad niemi znamionach,
Na tarczy w kolej nieśli na ramionach.

Przodem minstrelki słyhać śpiew pogrobny,
Z tyłu kapłani, w odzieży żałobnej,
Nóca *Requiem* i *Ave Maria*,
A dym kadzideł ku niebu się wzbija.
Po bokach jeźdźcy, krokami wolnemi,
Jadą, ostrz włóczni schyliwszy ku ziemi.—
I tak go nieśli śród swoich szeregów,
Skrós Liddesdału, do Lewenu brzegów,
I w Holm-Koltramskiej świątyni dalekiej,
Obok z przodkami złożyli na wieki.

Śpiew zmilkł—lecz jeszcze stron dźwięk marsowy
Przedłuża, zda się, marsz pogrzebowy.
To brzmi głośniejszém, to cichszém echem,
Jakby wiał zdala z wiatru oddechem;
To się rozlega, jakby na górach,
To głuchnie, jakby w dołach i borach;
To słyhać, zda się, pieśni minstrelki,
To jakby cichy jęk przyjacieli;
Aż smutną nótę psalmu kapłanów,
Skończył poważném brzmieniem organów.

Gdy muzyk spoczął—księżna go bada:
Czemu, gdy arfą tak cudnie włada,
Woli kraj, w którym fanatyzm dziki
Wyklął jak zbrodnię urok muzyki ⁹⁾,

I gdzie prócz tego ubóstwo ludu,
Nie ma czém godnie nagrodzić trudu;
Gdy na Południu *) każdy ochoczy
Wspierałby mistrza arfy uroczej?—

Starzec, jakkolwiek miłą mu była
Arfa, co resztę dni mu słodziła,
Nie lubił jednak, gdy jej zalety
Ceniono wyżej niż rym poety;
Mniej znosił jeszcze, gdy kto kraj inny
Kładł wyżej jego ziemi rodzinnęj;
Więc dumę, którą poczuł w swém łonie,
Tak wydał w pieśni słowach i tonie.

*) W Anglii.

KONIEC PIEŚNI PIĄTEJ.

PIEŚŃ SZÓSTA.

I.

Jest-że gdzie człowiek, sąż gdzie samoluby,
Co nigdy w sercu, nigdy w myślach swoich,
Nie rzekli z czuciem miłości i chluby:
„To jest ojczyzna, to kraj ojców moich!“
Którychby łzami nie zaszły powieki,
Gdy wspomną o nim w pielgrzymce dalekiej?
Którychby serce nie wrzało płomieniem,
Gdy go znów własnem obaczą spojrzeniem?—

O! gdy na świecie jest gdzie taki który:
Patrzcie nań, jakby na potwór natury!
I niechby błyszczał choć w mitrze książęcej,
Niechby miał w skrzyniach tysiące tysięcy:
Mimo tych blasków, tytułów, i złota,
Dział jego będzie: wzgarda za żywota,

I śmierć podwójna—gdy z ciałem pospołu,
I pamięć jego zarzucą do dołu,
Bez czci, bez żalu, bez pieśni nagrobnych,
Na przykład kaźni do niego podobnych!

II.

O Kaledonjo! posępna i dzika,
Piastrunko marzeń wieszczą-samotnika!
Ziemio skał mrocznych i lasów zielonych,
Przejrzystych jezior i rzek zapienionych,
Ziemio mych ojców!—jakażby potęga
Zerwać zdołała łańcuch co nas sprzęga,
Dziś, gdy odwieczne tve drzewa i skały
Jedne już tylko na ziemi zostały,
W których mi jeszcze żyje przeszłość wspólna,
Gdym ja szczęśliwy, a tyś była wolna!
I których moją nie znudzę żałobą,
Nie zdziwię łzami,—nad sobą i tobą?

O! wy Yarrowu lesiste rozłogi!
Choćby nikt przez was nie wskazał mi drogi;
O! wy Ettriku rozłożyste gaje!
Choć już w was dzisiaj nikt mię nie poznaje;
O! Tewiocie! choć na twoim brzegu
Darń jest mi tylko łóżem do noclegu;
Nie pójdę od was, cudzej żebrać strzechy,
Cudzej pomocy, ni cudzej pociechy!
Choćbym zbłąkany zaginać miał z głodu,
Choćby krew skrzepła od nocnego chłodu:

Znajdą się przecież, co rękami swemi
Rzucą na oczy garść rodzinnęj ziemi,
W której odpocznę z przyjaciółmi memi! —

III.

Nie tak wzgardzeni, jak dziś ja, minstrele,
Przybyli zewsząd na Anny wesele;
Z blizka i z dala przybyli wezwani.
Wojny i biesiad weseli kapłani! —

Żadne się bez nich nie działy obchody:
Z godów na bitwy, i z bitew na gody,
Szli po kolei, i zmieniając notę,
Krzepili męztwo, rzeźwili ochotę. —
Przed chwilą jeszcze na czele swych klanów,
Jątrzyli każdy gniew swych współziemianów;
A oto wspólnie wobec pary młodej,
Sławiają wdzięk cichej miłości i zgody.
Jedni na kobzach, ci na arfach grają,
Młodszy tańczą, sędziwsi śpiewają,
Aż się ich echem mury rozlegają.

IV.

Długoby było wyliczać wam z rzędu,
Wszystkie przepychy ślubnego obrzędu:
Jak się w zamkowej zebrali kaplicy,
Damy, Rycerze, Szkoci i Anglicy;
Jakie na szatach drogie aksamity,
Atłasy, hafty, lub złotogłów lity;
Jakie na głowach pióra albo kity,

Ze strusich, czaplich, albo rajskich skrzydeł,
 Pływały w górze, w mgle dymu kadzideł.
 Jak po ciosowych kamieniach podłogi,
 Brzęczały miecze i złote ostrogi,
 Gdy czyniąc miejsce przechodzącej parze,
 Każdy w ślad za nią chciał biedz przed ołtarze.
 Lub jak Lord Kranston płomienne źrenice
 Zatapiał z dumą w narzeczonej lice;
 Lub jak jej uśmiech, rumieniec lub bladeść,
 Zdradzały w kolej: wstyd, bojaźń i radość! —

V.

Byli, co potem głosili, że Lady,
 Zajęta wrzкомо przyborem biesiady,
 W rzeczy zaś nie śmiać stanąć przed ołtarze,
 Nie była razem;—to fałsz i potwarze!
 Lady się wcale nie miała powodów
 Obawiać świętych ni miejsc, ni obchodów.
 Bo nie przez zgubną moc Magii czarnej,
 Lecz przez rachubę liczby planetarnej ¹⁾,
 Wiedziała tylko sposoby, przez które
 Mogła zniewalać Duchy i Naturę.
 Mówię co prawda—choć zgoła nie chwaleę,
 Że się w te rzeczy wdawała zuchwale.
 Lecz że w kaplicy była—ręcę za to.

Okryta czarną aksamitną szatą,
 Na głowie miała, ze strusiami pióry,
 Tok aksamitny, jaskrawej purpury,

Szyty rzędami pereł, a u krajów,
 Obramowany pasem gronostajów.
 Na pięści sokół, w szkarłatnym kapturku,
 Siedział, trzymany na jedwabnym sznurku ²⁾.

VI.

Obrzęd skończony:—gromada wesoła
 Parami nazad wracała z kościoła.
 W sali podłużnej, sklepionej w arkady,
 Stał zastawiony stół świetnej biesiady.
 Marszałek, podług wieku i godności,
 Laską swą miejsca wskazywał dla gości;
 Młodzi paziowie, z nożami ze stali,
 Na znak krajania po rogach czekali.

Nad czapłą, głuszcem, bażanten, zórawiem,
 I w samym środku wznoszącym się pawiem,
 Z złoconym dziobem i odzianym w pióra ³⁾,
 I nad łabędziem z Mary i jeziora ⁴⁾:
 Nad głową dzika z Kaledońskich borów,
 Śród chorągiewek różnych barw i wzorów ⁵⁾;
 Nad żubrem, sarną, i inną zwierzyną,
 Książdz błogosławił krzyżem i łaciną. —

Wtenczas to z gwarem i wrzawą u stołu,
 Zgiełk, hałas, łoskot zabrzmiały pospołu,
 Zewnątrz i wewnątrz, i z góry i z dołu!
 Bo tuż przy oknach, na zewnętrznym ganku,
 Trąby i kotły grzmią wciąż bez ustanku;
 Starzy wojaacy, na przekór ich echu,
 Podnoszą coraz ton głosu i śmiechu:

Młodzi t \acute{e} m śmielsi, że nikt ich nie s \acute{l} ucha,
Młodym dziewicom szepta \acute{y} do ucha.
Sokoły w g \acute{o} rze, pod sklepieniem gmachu,
Słysz \acute{a} c t \acute{e} wrzaw \acute{e} i krac \acute{z} ąc z przest \acute{r} achu,
Brz \acute{e} cz \acute{a} dzw \acute{o} nkami i skrzydłami bija,
Wt \acute{o} ruj \acute{a} c chartom, co skoml \acute{a} i wyj \acute{a} .
Tymczasem Reńskie i Burgundzkie wino,
Z flasz w roztruchany potokami p \acute{l} yn \acute{a} ;
Jeden drugiemu ochoty dodawa:
Wsz \acute{e} dzie śmiech, żarty, pijatyka, wrzawa.

VII.

Karzeł K r a n s t o n a, jak żadnej zr \acute{e} cności
Nie mijał nigdy do psoty i złości,
Widz \acute{a} c w t \acute{e} j chwili pijan \acute{a} ochot \acute{e} ,
Rozpoczął swoj \acute{e} szatańską robot \acute{e} .
I obiegaj \acute{a} c w kr \acute{a} g stołu biesiady,
To j \acute{a} trzył żarty, to poduszczał zwady:
Aż wr \acute{e} s \acute{c} ie Konrad z W o l f s z t e i n u, z natury
Skory do gniewu i zawsze ponury,
Dziś jeszcze bardziej, że mu w nocy z błonia
Skradł ktoś w obozie najlepszego konia:
Słowo za słowo, uniósł się do tyła,
Że r \acute{e} kawic \acute{a} uderzył H u n t h i l a,
Rycerza z dumnych Ruterfordów domu:
Na słowo karła, co mu pokryjomu
Szepnął, że Hunthil wi \acute{e} sprawców kradzieży.—
H o m, D u g l a s, H o w a r d, i inni z rycerzy.

Skoczyli zaraz, by w pierwszym zarodzie
 I koniec krwawej położyć niezgodzie.
 Hunthil nie nie rzekł, lecz z twarzą surową
 Zgryzł rękawicę, i potrząsnął głową ⁶⁾. —
 Miesiąc nie minął — a już jak wieść niesie,
 Ciało Konrada znaleziono w lesie,
 Skrzeple we własnej krwi, i już bez broni. —
 Nikt nie mógł dociec, jak, z czyjej legł dłoni,
 Lecz słyhać było z powieści sąsiedzkiej,
 Że Hunthil odtąd miecz nosił niemiecki.

VIII.

Karzeł się bojąc, aby oko Lady
 Złośliwej jego nie dostrzegło zdrady,
 Wemknął się, skrycie opuściwszy salę,
 Gdzie godowali giermki i wassale,
 Niemniej wesoło, hucznie i wspaniale.

Watt Tinlinn grając gospodarza rolę,
 Uprzejmie gości częstował przy stole,
 I pił, wśród gęstych i głośnych okrzyków,
 Zdrowie Howarda i mężnych Anglików.
 Red Roland, wzajem za gościnność domu,
 Wzniósł toast Szkotów i Lady Branksomu.
 A każdą razą, z wielkich dzbanów, w kolej,
 Szumiało piwo, płynące jak olej.
 Wszyscy twierdzili, że równiej biesiady
 Nie było w zamku od przenosin Lady.

IX.

Karzeł poznawszy łuczника, któremu
 Poprzysiągł zemstę od wczorajszej doby,
 I widząc teraz że pora po temu,
 Jął mu dokuczać różnemi sposoby.
 A naprzód w słowach dojadł do żywego:
 Mówiąc, jak Armstrong bawił żonę jego;
 Jam sam z pod Solway uciekł z pola bitwy,
 I gnał co siły, i trzepał modlitwy.
 Potem się czając, i choć nie bez strachu
 Chroniąc się ręki potężnej zamachu:
 To go uszczypnął wpoiwszy paznokieć,
 To oblał piwem trąciwszy pod łokieć,
 To mu z pod ręki skradł talerz z posiłkiem;
 Aż pod stół wręście wcisnąwszy się chyłkiem,
 Ostrem żelezcem, snać w jądzie zmaczanem,
 Nogę mu na wskrós przebił pod kolanem:
 Bo mimo leków różnego sposobu,
 Ból ztąd i blizna zostały do grobu.—
 Porwał się Tinlinn zgrzytając zębami,
 I stół przewrócił do góry nogami.
 Ściany się dzikim zatrzęsły hałasem:
 Każdy kłął, krzyczał—a karzeł tymczasem
 Wrócił do sali, i w kąt utajony,
 Mruczał: „stracony! stracony! stracony!“

X.

Lady by zabiedz wznawianiu się kłótni,
 Przyzwała bardów i mistrzów na lutni.

Albert Groem, starzec, z powagą w obliczu,
Bard klanu swego, co na Pograniezu
Sam pan swój tylko, na swe hojne stoły
Brał równie szkockie jak angielskie woły ⁷⁾:
Powstał, i arfę trzymając na łonie,
Nócił pieśń prostą w układzie i tonie.

XI.

ALBERT GROEM.

„Była Angielka cudnej urody,
(Gdzie Karlil błyszczy od słońca w lecie);
Czułe jej serce Szkot zyskał młody,
Bo miłość wszystkiem rządzi na świecie.

„Jasno dzień ślubu wschodził ich oku,
(Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Lecz z nim ich szczęście zgasło o zmroku,
Choć miłość wszystkiem rządzi na świecie.

„Ojciec ją darzył bogatym strojem,
(Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Brat podał tylko czarę z napojem,
Gniewny, że miłość rządzi na świecie.

„Brat jej zazdrościł bogactw i złota,
(Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Nie chciał by posag szedł w ręce Szkota,
By miłość wszystkiem władła na świecie.

„Wypiła kroplę—i twarz jęj zbladła;
(Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
U nóg kochanka bez życia padła,
Jak dlań żyć tylko chciała na świecie.

„Kochanek mieczem przebił jęj brata.
(Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Wszystkim należy taka zapłata,
Co szczerą miłość dzielą na świecie.

„Potem z rozpaczy, próżen nadziei,
(Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Wziął krzyż, i walcząc zginął w Judei,
Żyć bez nięj dłużej nie chcąc na świecie.

„O wy! co kochać umiecie szczerze,
(Karlil się błyszczy od słońca w lecie);
Z westchnieniem za tych zmówcie pacierze,
Co dla miłości giną na świecie!“ —

XII.

Gdy Albert skończył skromną pieśń swych krajów,
Powstał bard Anglik, bratniego języka,
Niegdyś z swych ballad, sonetów i lajów,
Słynny szeroko na dworze Henryka.
Tam twoję złotą arfę, Fitztrawerze!
Wielbiły damy, lubili rycerze,
I Surrey—Surrey! niestety!
Komuż jest obcą cześć tego imienia?...
Rycerz bez skazy, poeta z natchnienia,
Kochanek z sercem poety ⁸⁾!

XIII.

Z nim razem błędząc po dalekich krajach,
Nieraz gdy gwiazdy zabłyśły na niebie,
Obaj w mirtowych lub w oliwnych gajach,
Pieśniami wzajem pocieszali siebie.
A tak był wdzięczny chór zlanych ich głosów,
Że nieraz wieśniak hiszpański lub włoski,
Brał je za echo, co płynąc z niebiosów,
Nad grobem Świętych brzmi hymn chwały Boskiej:
Choć treść obudwu ich pieśni jedyna,
Była Surreja luba, Geraldyna.

XIV.

O Fitztrawerze! któż znając twą duszę,
Wysłowić zdoła rozpacz twego serca,
Gdy przyjaciela, na śmierć i katusze
Skazał bezbożny Tudor przemieszera?—
Gardząc tyrana łaskami i gniewem,
Głos barda mściwym odezwał się śpiewem;
I opuściwszy blask miasta i dworu,
On sam, z zielonych ogrodów Windsoru,
Szedł szukać ulgi w żalach swoich rzewnych,
W pośród Surreja przyjaciół i krewnych.
I dziś przy wodzu rodziny Howardów,
Był druhem jego, i przewodzcą bardów.

XV.

FITZTRAWER.

„Było to na Zaduszny Dzień;—serce Surreja
Drżało gwałtownie:—północ wybiły zegary.
W sercu jego z bojaźnią walczyła nadzieja:
Mistrz Kornelius, mędrzec, obiecał przez czary,
Choć go z kochanką morza dzieliły obszary,
Ukazać mu jęj postać, i dać poznać razem,
Czy mu wiernie raz danęj dochowuje wiary.—
Surrey ufał—lecz poszedł za mistrza rozkazem,
By wzrok i serce lubym nasycić obrazem.

XVI.

„Ciemna była komnata, osklepiona gładem,
Gdzie czarodziej rycerza wiódł z licem wybladłym.
Jedna tylko gromnica, z mistycznym wyrazem,
Na ołtarzu, okrytym kiru prześcieradłem,
Tłąc się blado przed mrocznym, wysokim zwiercia-
[dłem.
Rzucała blask na czarne dwóch tablic marmury:
Talizmany, z tajemnym wschodniem abecadłem:
Na magiczne narzędzia, koła i figury,
Śród których z laską w ręku stanął mistrz ponury.

XVII.

„Nagle w głębi zwierciadła, jakby białe chmury,
Jak mgły wznoszą się z dołu, spływają się z boków;

Skróś niech światło, jak gwiazda spadająca z góry,
Błysło w środku—i laską skinął mistrz uroków.
We szkłe, jak z pod zasłony rozwianych obłoków,
Widać pańską komnatę:—w oknach blask księżyca,
Wpadając słupem, walczy z éną wieczornych mroków;
W głębi lampa złocistą alkową oświeca,¹
Na rzędach kolumn;—resztę okrywa ciemnica.

XVIII.

„Wszystko piękne—lecz stokroć piękniejsza dziewica,
Na łożu z perskiej tkani, jakby wpół uśpiona,
Duma:—na śnieżnej dłoni smutne wsparła lica,
Włos niedbale rzucony spływa na ramiona,
I na tunikę białą;—przed nią rozłożona
Księga w drogiej oprawie;—w niej zda się przyczyna
Ciężkich westchnień, co gwałtem wznoszą się z jéj
[łona:—
To księga pism Surreja!—to jego jedyna,
Wiernie po nim tęskniąca, piękna Geraldina!

XIX.

„Surrey chciał biedz: — wtém obraz cofać się za-
[czyną,
Jak gdyby się zatapiał w przezrocza otchłanie,
I znowu tło zwierciadła mgła powlokła sina.—
Tak złość twoja i zawiść, bezbożny tyranie!
Zaćmiły dni Surreja!—Niebo niech ci za nie
Odpłaci!—kara jego na twych synów syny,
Przeklęstwo niechaj spadnie na twe panowanie:

Za twe łożę zbroczone krwią ofiar bez winy,
Za morderstwo Surreja, i łąy Geraldiny! —

XX.

Zgodne oklaski Anglików i Szkotów,
Zabrzmiały echem piorunnych łoskotów;
Bo wszystkim wspólna nienawiść Henryka,
Jako tyrana i wiary zmiennika. —

Wtém z grona bardów powstał Harold młody,
Bard Lorda Saint Clair, co bawiąc z przygody
Gościem na uczcie u barona Homu,
Z nim razem przybył na odsiecz Branksomu.

Harold się rodził, gdzie jakby w okowy,
Między Orkadzkie ujęty ostrowy,
Ocean, wiecznie burzące się wały
Pieniać się z rykiem roztrąca o skały.
Gdzie ród Saint-Clairów, potężny przez wieki ³⁾,
Rozciągał berło władzy i opieki,
I gdzie dziś jeszcze sterczące na skale,
Pokonywając czas, wichry i fale,
Gruzy ich zamku jaśniejają wspaniale.
Tam Harold pnąc się na skaliste wzgórza,
Po dniach i nocach. nad brzegami morza,
Dumał, lub okiem ścigając za łodzią,
Drżał, gdy się z wzdętą łamała powodzią,
A fal i wichru wściekłość rozdąsana,
Były rozkoszą wieszczego młodziana,

XXI.

I wiele wzniosłej, uroczej osnowy,
Miały dla barda te dzikie ostrowy!

Tu niegdyś w czasach zamaryłych dla gminu,
 Grzmieli orężem synowie Lochlinu;
 Ztąd brzmiała echem wieków powtarzana,
 Trąba Fingala, i pieśń Ossyana.
 Tu na skrzydlatych Oceanu Smokach ¹⁰⁾,
 Królowie Morza, w mgły nocnej obłokach,
 Sroźsi niż burza i ocean razem,
 Szli szukać łupu, z ogniem i żelazem! —
 Niejedna dotąd zapadła dolina
 Pomni hymn Skaldów na chwałę Odina;
 Niejeden w runach kurhan tajemniczy,
 Spływał krwią ofiar bałwochwalczej dziezy;
 Niejedna saga, żyjąca w podaniu,
 Przewodniczyła Harolda dumaniu.
 Aż napojony duchem ich powieści,
 Mglistej, posępnej, cudotwornej treści,
 Przybył do zamku Roslinu, gdzie wonne,
 Zielone smugi, i pola przestronne,
 Miłszym wzrok jego czarując obrazem,
 Pieśń łagodniejszą natchnęły zarazem.
 Zawsze się jednak z rzewnemi jej nōty,
 Łączył ton dawny ponurej tęsknoty.

XXII.

H A R O L D.

„Słuchajcie, słuchajcie! nie głośniejszej powieści
 Dzieł sławnych, rycerskich minstrel:
 Lecz tęsknej, jak ciche westchnienie boleści,
 Której godzien jest los Roza belli.

„Patrz, starcze sterniku! jak nieba się chmurzą!

„Patrz młoda, nadobna ty pani!—

„Przyjm w zamku nadbrzeżnym gościnę przed burzą!

„Sterniku, zwiń żagle w przystani!

„Na głębiach już fala pianami się bieli;

„W poświstach dziś wichru o świcie,

„Rybacy słyszeli, krzyk Ducha topieli,

„Co blizkie zwiastuje rozbicie.

„I nasi wieszczbiarze od wczoraj już wróżą

„Śmierć komuś w bezdennej otchłani.

„Więc, piękna dziewico! wyjdź na brzeg przed burzą!

„Sterniku, zwiń żagle w przystani!“—

— „Nie przeto, że młody Lord Lindsay w Roslinie

„Z orszakiem dziś bawi od rana:

„Lecz śpieszę, że we łzach o każdej godzinie

„Wygląda mię matka stroskana.

„Nie przeto, że jutro turnieje w Roslinie,

„I że Lindsay lubi turnieje:

„Lecz ojciec mój smaku nie będzie czuł w winie,

„Gdy nie ja mu kielich naleję.“—

I nawa szła dalej, wbrew wichru i fali,

Po ryczącej morza topieli:

Tak na nic niepomienna, tak niezem niezłomna

Była młoda chęć Rozabelli.

„Nad zamkiem Roslinem dnia tego z wieczoru,
Blask dziwny wśród niebios obwodu,
Zajaśniał—jaśniejszy niż blask meteoru,
Czerwieńszy niż księżyc u wschodu.

„I pałał noc całą, nad zamkiem i skałą,
Nad głębią wąwozu i jaru;
Z okolic Drydena, i z skał Hawthorndenu,
Widziano jak łunę pożaru.

„I w zamku się wszystko zdawało w płomieniach,
Dziedziniec, i baszty, i wieże;
I kościół, gdzie w dawnych grobowych sklepieniach,
Śpią dawni Roslinu rycerze.

„I w środku kościoła, jak ogniem dokoła
Iskrzył ołtarz, i strop, i kolumny:
I w grobach rycerzy, blask bił od pancerzy,
Leżących we zbrojach, bez trumny ¹¹⁾.

„Pan zamku i pani, i goście zebrani,
Noc w modłach spędzili w Roslinie:
Bo rzecz to nie nowa, że jasność takowa
Śmierć wróży w Saint-Clairów rodzinie.

*

„Dwudziestu baronów z Saint-Clairów rodziny,
Śpi w grobach zamkowej kaplicy;
Lecz otchłań głębin, i całun wód siny,
Są grobem nieszczęsnej dziewicy!

„Każdego z baronów, dźwięk pieśni i dzwonów
 Prowadził do wiecznej pościeli;
 Lecz świst huraganu. i ryk oceanu,
 Głosił tylko zgon Rozabelli!“—

XXIII.

Piosnka Harolda tak zajęła gości,
 Że nikt nie zważał niezwykłej ciemności,
 Co zwolna gmachu osiadła sklepienie.
 Nie zmrok to jeszcze, nie słońca zaćmienie,
 Nie mgła:—a jednak tak gruba pomroka,
 Że obok blizcy stracili się z oka,
 Że nikt swęj ręki nie dojrzał u czoła.—
 Cisza przestrachu obesła dokoła,
 I w sercu Lady wzbudziła się skrucha:
 Poczowała przemoc silniejszego ducha!
 Karzeł na ziemię padł, i przerażony
 Jęczał: „znajdziony! znajdziony! znajdziony!“—

XXIV. .

A wtém skróś stropu, z piorunowym trzaskiem,
 Strzał błyskawicy, gzygzakowym blaskiem,
 Rozdarł ciemności;—wszystko w oka mgnieniu
 Zdało się w iskrach i krwawém płomieniu.
 Błysły na stole srebrzyste talerze,
 Błysły na ścianach wiszące puklerze;

Wszystko co było, od góry do dołu,
Zalśniło ogniem i zgasło pospołu.
Piorun przeleciał wzdłuż po nad wszystkiemi,
I padł—gdzie karzeł, z jękami głuchemi,
Gryzł wściekle ręce, i wił się po ziemi.

Każdy, jak siedział, skamieniał z przestachu.
Gęsty dym siarki rozszedł się po gmachu,
Blask z okien oblał doliny i wzgórze,
Łoskot się rozległ od morza do morza;
W zamku Karlilu, na wałach Berwiku,
Straż z bronią w ręku wybiegła do szyku.
Aż gdy się wręście wszystko uciszyło,
Pierzeły ciemności—lecz Karła nie było.

XXV.

Wielu słyszało głos w sali Branksomu,
Wielu, przy świetle błyskawicy gromu,
Widziało widok nie ziemskiej natury.
Głos ten straszliwy zawołał jak z góry:
„Sam tu, Gylbinie!“—a gdzie karzeł w trwodze
Jęczał, i piorun spadł nań na podłozie:
Śród kłębow dymu, wiejących po gmachu,
Jedni widzieli, jakby dłoń w zamachu,
Drudzy kraj szaty; innym się zdawało
Widzieć twarz ludzką, z długą brodą białą.
A każdy niemy, bez tchu i bez ruchu,
Drząc bił się w piersi i korzył się w duchu.
Ale nikt nie był jak Deloraine, który,
Tak śmiały niegdyś z wprawy i z natury,

Teraz, jakgdyby sam rażony gromem,
 Z zjeżonym włosom, z okiem nieruchomém,
 Z ustami naścież, i twarzą wybladłą,
 Stał jak ten, który obaczył widziadło,
 I czyj się rozum z przestrichu obłąkał.
 Aż zapytany, przerywanym głosem,
 Słowo po słowie zaledwo wyjąkał:
 Że widział starca z ubielonym włosom,
 W pielgrzymim stroju, bez żadnego znaku,
 I w pasie w złote godła zodyaku;
 I choć nie mówił zkad mógł sądzić o tém,
 Przysiągł, że starzec był Michałem Skottem.

XXVI.

Słuchali wszyscy blednąc z przerażenia,
 Ale nikt nie śmiał przerywać milczenia.
 Aż powstał z miejsca Duglas znamienity,
 I bogobojnych obyczajem czasów,
 Uczynił *votum* do Świętej Brygitty,
 Patronki domu i rodu Duglasów:
 Że nie wracając do domu, z obozu
 Wprost na pielgrzymkę pójdzie do Melrozu,
 I mszę zakupi za Michała duszę.
 Wnet wszyscy inni, w pokorze i skrusze,
 Czyniąc znak krzyża i wstając od stołu,
 Każdy z osobna, i wszyscy pospołu,
 Brali na świadki swych świętych Patronów,

Ze razem pieszą pielgrzymkę odprawią,
 I przy odgłosie organów i dzwonów,
 Obrzęd żałobny za Michała sprawią.
 Lady tymczasem, z uchyleniem czoła,
 Czyniąc akt wewnętrznej pokory i skruchy,
 Przysięgła w imię Boga i Kościoła,
 Zerwać na zawsze z czarami i duchy.

XXVII.

Mamże wam dalej śpiewać o weselu,
 Co tak przerwane, po dniach ledwo wielu
 Święcono znowu, z książęcym przepychem,
 Tańcem, pieśniami, arfą i kielichem?—
 Ja tam nie byłem, ale ci co byli,
 Długo w swych pieśniach weselnego tonu,
 Sławili zgodnie i błogosławili
 Kwiat Tewiotu i Lorda Kranstonu.—
 Właściwsze dla mnie są posępne noty,
 Które pielgrzymom brząkali minstrele.
 Gdy nócąc hymny i psalmy pokuty,
 Szli do Melrozu, z Duglasem na czele.

XXVIII.

Z rękami na krzyż, włosieniem odziani,
 Boso, powrozem grubym przepasani,
 Szli zwolna jeden za drugim.
 Prócz echa psalmów, ni gwaru, ni śmiechu,
 Ni słów, ni kroków, ni prawie oddechu,
 Nie słychać w rzędzie ich długim.

Rycerska śmiałość i książęca pycha
Znikły z ich czoła: a pokora cicha
 Wzrok ich schyliła ku ziemi.
Szli, i nikt chwili nie wychnął ze znoju,
Nikt źdźbła pokarmu, nikt kropli napoju
 Nie dotknął usty śpiekłem.
I do kościoła, o północy głuchej,
Weszli, posepni, milczący jak duchy,
 W białych kapticach, wybladli;
I przed wielkiego ołtarza stopniami,
Jeden za drugim, jak stali parami,
 Twarzą na ziemię upadli.
Nad nimi dawnych znamiona rycerzy,
W grobach pod nimi proch ich ojców leży;
W lampach z ołtarza jaśnieje krzyż Zbawcy,
A w świetle jego, Święci i Wyznawcy,
Jak w blasku chwały wiekuistej, biali,
W ściennych framugach nieruchomi stali.

XXIX.

A wtém z ubocza, naprzeciw ołtarzy,
Z głębi dalekich, mrocznych kurytarzy,
 Po dwóch, szeregiem, z klasztoru:
Przy dzwonów, dzwonków, i kadzielnic brzęku,
Z krzyżem na czele, z gromnicami w rękę,¹
 Kapłani idą do choru.
Na białych komżach ich czarne kaptury,
Krok ledwo znaczny, ton śpiewu ponury,

Twarz światłem gromnic pobladła:
Rzekłbyś, że ciemne otwarły się groby,
I że po sobie obrządek żałoby
Same sprawują widziadła.—
Opat w tyarze, z pastorałem w dłoni,
W mgłę przezroczystej dymiących się woni,
Po ukończonych modlitwach,
Błogosławieństwem powitał rycerze:
By niezachwiani w jedności i wierze,
Niezlomni byli na bitwach!—
Równy ze świtem, śpiewaną mszą świętą
Wielki, żałobny obrzęd rozpoczęto
Za duszę Michała Skotta.
Z wieży kościelnej wciąż bito we dzwony,
Księża śpiewali msze i antyfony,
Aż echem sklepień ponuro wtórzoney
Śpiew pogrzebowy i nota:
„DIES IRAE, DIES ILLA,
„SOLVET SAECLUM IN FAVILLA,“
Zabrzmiały z dźwiękiem poważnych organów.
I gdy się godzi, świętymi ich słowa
Skończyć pieśń ziemskiej i błahęj osnowy,
Te były słowa kapłanów:

XXX.

HYMN ZA UMARŁYCH.

„Straszny dzień sądu Twojego, Panie!
Gdy się otworzą grobów otchłanie,

Gdy wszelkie ciało z martwych powstanie,
Któż gniew twój wtedy wytrzyma, Panie?

„Gdy jak pargamin spalone zwoje,
Niebiosą zwiną błękity swoje,
Gdy ziemia z jękiem pęknie na dwoje:
Przy czymże grzesznik ja się ostoję?

„Lecz Tyś jest Bogiem, Ty Ojcem, Panie!
W tobiem ja złożył moje ufanie:
Ty racz nademną mieć zlitowanie,
W straszny dzień sądu Twojego, Panie!“ —

Bard skończył powieść;—lecz czyliż znowu,
Gajem Ettriku, brzegiem Yarrowu,
Poszedł, jak przedtém, pod gołém niebem
Spać, i żebrany karmić się chlebem?—
Nie!—tuż przy bramie zamku Newerku,
W gajowym cieniu dębu i świerku,
Wzuiosła się barda ustroń wesoła.
Skromna lepianka:—ale dokoła
Kwitł bujny sadek, grodzony głogiem,
Siedzenie z darni było przed progiem,
W środku kominek — przed którym codzień,
Nie jeden zwykle grzał się przychodzić,
Lub gospodarza chętnej rozmowy
Słuchał, zasiadłszy w wieczór zimowy.—
Bowiem udzielać innym gospody,
Którój sam żebrać musiał był wprzódy,

Była to starca rozkosz jedyna.
 I nieraz wtedy kieliszek wina.
 Nieraz zmieszany ze łzą wdzięczności,
 Za zdrowie księżnej przepił do gości.

Tak przechodziła zima; — lecz z wiosną.
 Gdy gaj brzmiał ptasząt wrzawą radośną:
 Gdy smug Harhedu, Bowhillu wzgórza,
 Krasiały kwiaty, wieńczyły zboża,
 A szum wód rwących lodu okowy,
 Łączył się z szumem Blandro dąbrowy:
 Wtenczas na pięknych brzegach Yarrowu,
 Duch wieszczy w stareu ożywał znowu:
 Wtedy znów śpiewał rycerskie dzieje.
 Wesołe uczy, świetne turnieje,
 Miłość, zabawy, łowy i bitwy,
 Lub swój ojcowski żal i modlitwy.

Przechodnie stając w milczeniu głuchém,
 Echa słów cheiwém łowili uchem;
 Starcy słuchając wspomnień przeszłości:
 Rzeźwieli w sercu ogniem młodości:
 Młodzi rzucając płocze zabawy.
 Ssali z nich żądę podobnej sławy;
 A wszyscy zewsząd ze czią bieżeli,
 W dom Ostatniego z Szkoekich Minstreli.

PRZYPISY AUTORA.

PIEŚŃ PIERWSZA.

1. Str. 8 w. 1. Ustał w Branksom gwar biesiady.

Za panowania Jakóba I króla Szkocyi, sir Wiliam Scott z Buccleuch, naczelnik klanu tegoż imienia, nabył baronią Branksom, wraz z zamkiem, położonym nad rzeką Tewiotem, który stał się odtąd głównym siedliskiem możnej tej i potężnej w swoim czasie rodziny. Ustawiczne napadnięcia ze strony pogranicznych Anglików i wojenny charakter panów Branksomu, używających ochoczo prawa odwetu, uczyniły zamek ten jednym z najważniejszych punktów na Pograniczu między Anglią i Szkocyą, i stały się powodem do ciągłych a silnych środków ostrożności, opisanych w tekście. Następcy sir Wiliama rozszerzyli go i wzmocnili; lecz w r. 1571 królowa angielska Elżbieta, rozgniewana na rodzinę Buklejów, za kilkakrotne łupieżę jej granic i za sprzyjanie królowej Maryi Sztuart, wysłała przeciw nim znaczne wojsko, które zburzyło zamek i spustoszyło baronią Brankso-
mu. Sir Walter Skott, będący naówczas jej właścicielem, odbudował natychmiast zamek, który potem wdowa po nim, Małgorzata z domu Duglasów, mocnemi zewnątrz murami obwarować kazała.—Dziś zamek ten leży w ruinach, prócz czworokątnej wieży narożnej, zadziwiającej grubością swych murów.

2. Str. 11 w. 4. Rok ledwo upłynął,
Jak Lord Walter zginął.

Sir Walter Scott, nastąpił po swoim dziadku Dawidzie w r. 1492. Śmierć jego była skutkiem krwawych niezgod,

wynikłych między klanami: Skottów i Karrów, albo Kerrów. Dla zrozumienia wielu miejsc w tekście, musimy wejść w bliższe szczegóły tego wypadku.—W r. 1526, hrabia Angus, z domu Duglasów, wraz z innymi członkami tej przemożnej rodziny, korzystając z nieletności króla Jakóba V., rządili krajem jak chcieli, i nikt im oprzeć się nie śmiał. Król wszakże, jakkolwiek nieletni, niecierpliwie znosił ich jarzmo, i szukał wszelkich sposobów, aby się mógł z niego wyzwolić. Napisał więc własną ręką tajemny list do lorda Buccleuch, prosząc go, aby zebrawszy krewnych swych i przyjaciół, i wszystkie jakie będzie mógł siły, pośpieszył z nimi do Melrozu, gdzie król w towarzystwie Duglasów, w powrocie z Dzedburgu do stolicy, miał się zatrzymać na nocleg, i aby go z rąk Duglasów wyzwolił. Tymczasem na powitanie króla, przybyli tamże ze swoim ludem naczelnicy liczne i potężnego klanu Karrów, lordowie: Hume, Cesford i Fernyhirst, którzy zaledwo nazajutrz oddalili się do domów, gdy ujrzano z drugiej strony nadciągające wojsko Bukleja. Duglasowie domyślając się jego zamiarów, wywiedli przeciw niemu straż królewską i cały zbrojny swój orszak. W bliskości wzgórza Halidon-Hill, przyszło do krwawej z obu stron bitwy; zwycięstwo długo było niepewne; aż nakoniec uwiadomieni o tem przez gońca Karrowie, wrócili z drogi, i uderzywszy na tylną straż Bukleja, wojsko jego do ucieczki zmusili. Nie przestając na tem lord Cesford, puścił się w pogoń za pierzchającymi, mordując bez litości kto mu tylko wpadł w ręce; aż sam nareszcie, przez jednego z domowników Bukleja, włócznią zabity został. Odtąd oba te klany zaprzysięgły sobie wieczną nienawiść, która po wielekroć w następnych latach była hasłem domowych między nimi wojen. Za najglówniejszy ich wypadek można uważać śmierć samego Sir Waltera Skotta, zabitego przez Karrów na ulicach Edynburga w r. 1552, o czem właśnie jest mowa w tekście.

3. Str. 11 w. 19. Prózno razem w pielgrzymim stroju,
Do miejsc cudownych szli wszędy.

Pomiędzy wielu innemi środkami, jakich używano dla przywrócenia zgody między klanem Skottów i Karrów, wo-

dzowie obu zawarli między sobą układ, mocą którego obo-
wiązali się odbyć razem cztery pielgrzymki do miejsc
cudownych w Szkocyi, dla odprawienia wspólnych modłów
za dusze poległych. Środek ten atoli nie wydał pożąda-
nych owoców: gdyż wojna pomiędzy nimi wkrótce znów,
z większą jeszcze niż przedtém zaojętością wybuchła.

4. Str. 13 w. 5. Lord Kranston jej oblubieniec.
Cessfordów był pokrewieniec.

Familia Kranstonów była jedną ze znakomitszych na Po-
graniczu. Stolicą jej był zamek Crailing, nad Tewiotem.
Kranstonowie, przez pokrewieństwo z Karrami, długo byli
w wojnie z klanem Skottów, aż nakoniec około r. 1557 je-
den z nich pojął córkę Lady Branksomu, która kilku laty
przedtém trzymała w oblężeniu jego zamek i czyhała na
jego życie.

5. Str. 13 w. 12. Ojciec jej mędrzec głęboki,
Szczep możnych Bethunów domu.

Rodzina Bethunów albo Beatownów, pochodząca z Fran-
cyi, miała swe posiadłości w hrabstwie Fife, i wydała wie-
lu znakomitych ludzi: między innymi kardynała Bethune,
i dwóch arcybiskupów Glasgowskich. Z niej pochodziła
Joanna Bethune, małżonka zamordowanego Sir Waltera
Skotta, niewiasta pełna odwagi i nauki, tak, że przesądne
umysły przypisywały jej znajomość sztuki czarnoksiężkiej.

6. Str. 13 w. 22. Ni przed nim, ni za nim cieniu
Od ciała jego nie było.

Podług tradycyi gminnej, cień czarnoksiężnika był nieza-
ależnym od słońca. Dawny pisarz Glycas, pisze o jednym
z nich, Symonie Magu, iż ten rozkazał swemu cieniowi, aby
zawsze tylko siedł przed nim, i przez to wzbudził mniema-
nie u ludu, iż to był duch, który mu wszędzie towarzyszy.
Jest jeszcze inne podanie w tym względzie. Podług niego,
skoro uczniowie sztuki czarnoksiężkiej uczynią w niej pe-
wne postępy, muszą przebiegać wszyscy razem przez ciem-

oq, podziemną salę, gdzie djabeł pędzi za nimi, i chwytą tego, który jest ostatnim; chyba że i ten będzie zmykał tak prędko, że wpadnie do drzwi pierwej nim go djabeł dogoni; a wtedy cień tylko jego zostaje się w ręku szatana. W takim razie ciało czarnoksiężnika nie będzie już rzucało cieniu, ci zaś, którzy tym sposobem cień swój stracili, uważani są zawsze za największych Magów.

7. Str. 13 w. 26. Że na jej straszne zaklęcia,
Nadziemskie drżały widziadła.

Wiara w duchy pośrednie między niebem a ziemią, mieszkające w powietrzu lub w wodzie, jest dość powszechną między ludem szkockim, który przyznaje im moc wzbudzania wicherów, powodzi i tym podobnych fenomenów, których przyczyny pojąć i wytłómaczyć nie umie. Sądzi także, że się mieszają często do spraw ludzkich, niekiedy w celu szkodzenia, niekiedy chcąc im dopomódz. Wiele tego rodzaju wypadków znajduje się w pieśniach i podaniach gminnych. Wspominam o tem, aby usprawiedliwić wprowadzoną w tekście rozmowę Duchów Rzeki i Góry.

8. Str. 18 w. 13. Zmylił najlepsze Percego ogary.

Królowie i bohaterowie Szkocyi, równie jak pograniczni rabusie, musieli nieraz uchodzić przed pogonią psów, wprawionych do tego rodzaju łowów. Robert Bruce, między innymi, wiele razy był przez nie ścigany, i raz swe ocalenie winien był tylko przytomności umysłu, z jaką rzucił się w pław do rzeki, i za pomocą wiszącej nad wodą gałęzi, wdrapał się potem na drzewo: przez co zatarł swe ślady i uszedł ścigającej pogoni. Utrzymywano, że jedynym sposobem zbitia z tropu takich ogarów, było rozlanie krwi na ich drodze, której zapach miał węż ich osłabiać. Mniemanie to kosztowało życie nie jednemu jeńcowi.

9. Str. 21 w. 7. Zkąd głośny w pieśniach zbójca prze-
[możny,
Czyhał przed laty na łup podnożny.

Mała wieżyczka na malowniczym szczycie góry Minto, zowie się dotąd *łożem Barnhilla*, i miała być siedliskiem zbójcy tego imienia, który całą okolicę postrachem napełniał.

10. Str. 22 w. 10. Halidon-Hillu obaczył wzgórze.

Halidon był starożytnym siedliskiem Karrów z Cessfordu. Pole bitwy lorda Duglasa z Buklejem, zowie się dotąd *Polem Potyczki*. Ob. notę 2.

PIEŚŃ DRUGA.

1. Str. 25 w. 1. Kto dziś Melrozu chcesz zwiedzać ruiny.

Starożytny i piękny klasztor Melrozu, założony był przez króla Dawida I., który z powodu swej pobożności i hojności w zakładaniu kościołów i klasztorów, uważany był za świętego. Same jego ruiny przedstawiają dziś jeszcze najpiękniejszy wzór architektury i rzeźby gotyckiej; kwiaty, liście i całe krzewy, rzniete są z taką delikatnością i dokładnością rysunku, że trudno jest pojąć, aby tak trwałe kamień, z jakiego cały gmach był zbudowany, mógł być tak doskonale wyrobiony dłotem. Kościół i klasztor poświęcony był Najświętszej Maryi Pannie; księża zaś należeli do zakonu Cystersów.

2. Str. 28 w. 26. A stopą glazy deptali grobowe.

Korytarze lub zewnętrzne krużganki w dawnych klasztorach szkockich służyły często za miejsce pogrzebu dla księży.

3. Str. 30 w. 12. Na groby wasze, wodzu Otterburny,
I Liddesdalski mocarzu!

Jakób i Wiliam Duglasowie. Pierwszy zwyciężył Anglików i poległ sam w stanowczej bitwie pod Otterburną w r.

1388. Drugi, najwaleczniejszy rycerz w Liddesdału, żył za czasów króla Dawida II. Pamięć wielce chwalebnych czynów skaził morderstwem przyjaciela i towarzysza broni, Sir Aleksandra Ramsay, z którym ubiegał się o urząd Szczyffa w swoim hrabstwie; albowiem, gdy go król Ramsajowi powierzył, Douglas wiedziony zemstą, napadł nań, gdy w Hawiku sprawiedliwość domierzał, i zawiódłszy do swego zamku, w więzieniu głodem zamorzył. Rząd w Szkocyi był naówczas tak słaby, a raczej Douglas tak potężny, że król, nie mając siły ukarać, mianował go następcą Ramsaya. Wkrótce jednak potem Sir Wiliam zamordowany został na łowach, przez krewnego swojego, mszczącego się, jak powiadają, za śmierć Ramsaya, który był jego przyjacielem.

4. Str. 31 w. 12. Był to grób króla szkockiego.

W kościele Melrozu znajduje się dotąd wielki marmurowy kamień, pokrywający, jak mówią, grób Aleksandra II, jednego z najdawniejszych królów Szkocyi.

5. Str. 31 w. 21. Tam, w Salamance, zdarzenie mi dało Napotkać Michała Skotta.

Michał Skott z Balwearie, żył rzeczywiście w wieku XIII. Był to człowiek wielkiej nauki, którą po większej części nabył w obcych krajach. Pisał komentarze do Arystotelesa i wiele traktatów o fizyce, z których widać, że się dużo zajmował astrologią, alchemią, fizyognomistyką i chiromancyą, co zapewne było przyczyną, iż między współziomkami za czarnoksiężnika uchodził. D a n t e nawet wspomina o nim w *Boskiej Komety*, jako o sławnym czarnoksiężniku. Historycy szkoccy, a między innymi Lessly, mówią o nim jako o najuczeńszym w Szkocyi, w owym czasie, człowieku. W powieściach i podaniach ludu imię jego niemniej jest sławne. W południowej Szkocyi, każde dzieło, które wymagało wiele pracy, a którego początek ginie w dalekiej starożytności, przypisywane jest zwykle *Staremu Michałowi*, Wallasowi, lub djabłu. Niewiadomo z pewnością, gdzie jest pogrzebiony, jedni twierdzą, że w Holm-Koltramie, w hrabstwie Northumberland; drudzy, że w opactwie Melrozu; lecz wszyscy

zgadza ją się na to, że czarnoksiężkie jego pisma i księgi pogrzebane są z nim razem, lub zachowane w klasztorze gdzie umarł; ale że nikt ich bez niebezpieczeństwa otworzyć nie może, z powodu zawartych w nich inwokacyi złych duchów. Zabobonność panująca w Hiszpanii, i pozostałe tam szczątki umiejętności arabskich, czyniły ten kraj w opinii gminu ulubionem siedliskiem czarnoksiężników. W Toledo, Sewilli i Salamance były publiczne szkoły do wykładu magii, to jest nauk, uważanych za mające związek z jej tajemnicami. W tém ostatniem mieście, nauki te wykładały się w głębokiej jaskini, którą potem Izabella, żona króla Ferdynanda, zamurować kazała.

6. Str. 32 w. 3. Z wież same dzwony na trwogę dzwoniły,
I wieże drżały w Paryżu.

Z pomiędzy wielu tradycyi o Michale Skocie, umieszczamy tu jedną, jako mającą związek ze słowami tekstu: „Jednego razu poruczono mu poselstwo do Francyi, w celu wyjednania u tamecznego króla zadosyć uczynienia za wielokrotne rozboje morskie, przez poddanych jego domierzanego na Szkotach. Nowy poseł, zamiast przyspasabiać się jak zwykle do podróży, zamknął się w swoim gabinecie, otworzył czarnoksiężką swą księgę, i wywoławszy djabła, w postaci czarnego konia, rozkazał mu zanieść siebie do Paryża. Gdy przelatowali nad morzem, chytry djabeł zapytał go: „Co szepcą stare baby w Szkocyi, gdy się kładą do łóżka?“— Mistrz mniéj doświadczony odpowiedziałby może: *Pater noster* lub *Ave Maria*; co dałoby moc i prawo djabłu, rzucić go natychmiast do morza; lecz Michał krzyknął nań głosem groźnym: „A tobie co do tego? pełń co ja tobie każę!“— i czart posłuszny niósł go dalej w mileczeniu. Przybywszy do Paryża, przywiązał swego konia u bramy pałacu, a sam szedł śmiało do króla i sprawił się ze swego poselstwa. Łatwo jest pojąć, że poseł przybywszy w takiem *incognito*, i tak nieszanujący form dyplomatycznych, nie mógł znaleźć dobrego przyjęcia; i już król zabierał się do dania mu odmownej i pogardliwej odpowiedzi, gdy Michał prosił go jeszcze aby się wstrzymał na chwilę, aż koń jego trzy razy nogą w ziemię uderzy. Za pierwszym uderzeniem zatrzęsły się

wszystkie dzwonnice i wszystkie dzwony zadzwoniły same; za drugim, trzy największe wieże w zamku królewskim runęły; i już straszliwy rumak podnosił nogę do góry, aby raz trzeci uderzyć, gdy przestraszony król przystał na wymagania Michała, byle się prędzej pozbyć takowego gościa. Pomimo wszakże tej mądrości i tej potęgi, Michał Skott, równie jak sławny jego poprzednik Merlin, dał się uwieść podstępom i padł ofiarą zdrady niewieściej. Żona jego, czy też kochanka, wyłudziła od niego tajemnicę, iż sztuka jego zaslania go od wszystkich niebezpieczeństw, prócz jednego, jakimby dlań było spożycie bulionu, ciągniętego z mięsa nieplodnej świni, który byłby dla niego najzjadliwszą trucizną. Zdrajczyni przyrządziła mu wkrótce wymienioną potrawę, poczem mędrzec umarł natychmiast, mając jednakże dość czasu, do skarania wprzód śmiercią niewiernej swęj powierniczki.

7. Str. 32 w. 7. Co szczyt Ejldonn rozszezepał na troje,
I przez Twid rzucił most z głazu.

Jednego razu Michał Skott był w wielkim kłopotcie, z powodu djabła, któremu musiał zawsze dawać coś do czynienia. Kazał mu więc zbudować most kamienny na Twidzie, co djabeł w ciągu jednej nocy uskutečnił. Następnie zalecił mu, aby podzielił na trzy części górę Ejldon, jeden tylko naówczas mającą wierzchołek. Djabeł za noc wszystko wykonał. Nakoniec czarnoksiężnik zwyciężył niezmordowanego szatana, rozkazawszy mu wię liny kotwiczne z piasku morskiego.

8. Str. 34 w. 9. Cudowna lampa wewnątrz jego gore,
Której blask duchy odraża.

Jan Posta, i inni autorowie piszący o magii naturalnej, mówią wiele o wiecznych lampach, znajdujących jakoby w grobowcu Tulioli, córki Cicerona. Lampy te miały być dziełem czarów, a knot ich był z amiantu.

9. Str. 36 w. 26. Że martwy zmarszczył się srogo.

Wiljam Deloraine mógłby znaleźć potwierdzenie swego zdania, w gminnych powieściach hiszpańskich, o sławnym Cydzie Rodrygu. Gdy ciało tego wielkiego bohatera leżało na paradnych marach, obok wielkiego ołtarza, w katedralnym kościele w Toledo, gdzie było wystawione przez lat dziesięć; żyd jeden przez urągowisko chciał je pociągnąć za brodę. Lecz zaledwie dotknął ręką zwisających wąsów, gdy umarły porwał się nagle, i miecz z pochwy do połowy wydobył. Żyd przelękniony uciekł, i skutkiem zbawionego przestachu, przyjął potem wiarę chrześcijańską.

10. Str. 41 w. 14. Karzeł barona trzymał jego konia.

Pomysł karła Lorda Kranstona, wzięty jest z podania gminnego o niejakim Gilpinie i Horner, który się był zjawiał i przebywał czas jakiś pomiędzy góralami na pograniczu Szkoekiem. Osoba mieszkająca w pobliżu tamtych okolic, udzieliła mi w tym względzie następujące szczegóły: „Dwóch ludzi późnym wieczorem prowadziło konie na paszę gdy usłyszeli nagle w zaroślach głos wykrzykujący te tylko słowa: „stracony! stracony! stracony!“ — „Co tam u diabła straconego?“—zawołał jeden z wieśniaków—i w tejże chwili ukazała się przed nimi istota, mająca wprawdzie kształt ludzki, ale zadziwiającej małości, i potworna w postawie i rysach. Obaj wieśniacy uciekali jak mogli, tém bardziej, że straszidło pędziło tuż za nimi; gdy zaś jeden z nich upadł, przeskoczyło przez niego, i prędzej od ich samych stanęło i rozgościło się w ich domu. Jak długo potem w nim przebywało, z pewnością powiedzieć nie mogę, ale jednakże dość długo. Było to stworzenie ze krwi i z ciała, bo jadło, piło, i nadewszystko lubiło mleko, nie żałując go sobie, skoro mogło dostać. Charakter jego zdawał się być złośliwy, albowiem lubiło bić i męczyć dzieci. Oburzony tém dnia jednego gospodarz, tak je mocno uderzył pałąk po głowie, iż wszyscy myśleli, że zabił. Karzeł upadł, ale wnet powstał na nogi, mówiąc tylko: „No, gospodarzu, ależ bijesz mocno!“—Jednego wieczora, gdy kobiety zajęte były dojeniem krów, a karzeł bawił się tamże z dziećmi, usły-

szano mocny i przenikliwy głos, wołający trzy razy: „Gilpin Horner!“ Karzeł porwał się i zawołał: „To ja! trzeba iść! — i to wyrzekłszy zniknął, i już go odtąd nie widziano więcej.“—Z innego poważnego źródła wiem jeszcze tę okoliczność, że karzeł oprócz wyrazu: *stracony*, który ciągle powtarzał, wspominał też czasem imię jakiegoś Piotra Bertram, i usłyszawszy ów głos wołający, poznał, że to był głos jego. Zdaje się więc, że ten Piotr Bertram, musiał to być zły duch jaki lub czarnoksiężnik, od którego uciekło to szatańskie karłę. Dodać tu jeszcze muszę, że nie znam żadnej gminnej legendy, któraby tak szeroko znaną była w Szkocyi, i którejby tyle nawet bardzo znakomitych i oświeconych osób wierzyło.

11. Str. 43 w. 26. Obraz z kaplicą spalili.

25 czerwca 1557, Lady Joanna Bethune, wdowa po Lordzie Buccleuch, i wielka liczba Skottów, krewnych jej męża, oskarżonych zostało o czyhanie na życie Lorda Krastona, znajdującego się na pielgrzymce w kościele *N. Panny Dolin*, i o spalenie tegoż kościoła, gdy ich nadzieja zdobyczy zawiodła.

PIEŚŃ TRZECIA.

1. Str. 50 w. 18. Trafił na rozdział, jak omamić oko.

Ta czarnoksiężka moc ukazywania się w cudzej postaci, lub ukazywania innego całkiem pozoru rzeczy, zowie się w dziejach zabobonności szkockiej, technicznym wyrazem *glamour*. O skutkach jej, oprócz gminnych, mamy nawet historyczne podania. I tak, Froissart opowiada, że w r. 1381, gdy książę Anjou oblegał jakiś zamek na brzegach Neapolitańskich, czarnoksiężnik jeden obiecał mu, iż za pomocą swjej sztuki tak potrafi zgęścić w jedném miejscu powietrze, iż oblężonym będzie się zdawało widzieć most wzniesiony nad morzem, którym był otoczony zamek, i że

tém przestraszeni oddadzą się na łaskę. Książę zapytał go, czy rzeczywiście ludzie jego będą mogli wejść po tym moście do zamku? — „Za to nie mogę ręczyć, odpowiedział czarnoksiężnik, albowiem skoroby się z nich który w czasie przechodzenia przeżegnał, most runąłby natychmiast i wszyscyby potonęli razem w morzu.“ — Książę zaczął się śmiać, a młodzi rycerze wołali: „Nie przeżegnamy się żaden, rozkaż, książę, niech czyni swe sztuki!“ — Lecz w tejże chwili hrabia Sabaudyi wszedł do namiotu księcia, i ujrawszy czarnoksiężnika rzekł: iż on to właśnie podał ten zamek w ręce Karola de la Paix, terażniejszego jego władzcy, złudziwszy przez czary oczy broniącej go załogi królowej Neapolitańskiej, której się zdało, że morze wzbiera nad waly. Czarnoksiężnik przyznał się do czynu i dodał: że on to właśnie jest tym człowiekiem, którego się Karol de la Paix najwięcej obawia. — „Bardzo wierzę, odpowiedział hr. Sabaudyi, ale się postaramy o to, by się nie miał czego obawiać. Nie chcę, aby kiedyś mówiono, że tacy jak my rycerze używali zaklęć i czarów dla pokonania swoich nieprzyjaciół.“ — I obróciwszy się do sług swoich, rozkazał ściąć go natychmiast.

2. Str. 51. w. 16. — — — — rle raz tak dzielny,
Nie mógł pochodzić od ręki śmiertelnej.

Doktór Henryk More, w liście swym, służącym za wstęp do *Saducismus triumphatus* Glanvilla, wspomina o podobnym fenomenie: „Pamiętam, mówi on, jednego wiejskiego szlachcica, prawego człowieka i biegłego matematyka, ale przytém pewnego rodzaju filozofa, niedowiarka i materyalistę. Dysputowaliśmy często o nieśmiertelności duszy, lecz wszystkie moje dowodzenia roztrącały się o nieprzeparty jego sceptycyzm. Powiadał mi, iż aby się o tём przekonać, potrzebuje koniecznie dotykajnego dowodu, i że szukając go właśnie, a nie bojąc się niczego, próbował nieraz wszelkich wiadomych mu czarnoksiężkich obrzędów i zaklęć, aby wywołać ducha lub djabła, ale że wszystko zawsze napróżno. Razu jednego wszakże, wieczorem, gdy był sam i weale o tём nie myślał, uczuł się nagle uderzonym po ramieniu tak mocno, że się aż echo uderzenia po pokoju rozległo.

Pierwsza myśl jego była, iż to jest tajemniczy znak jakiegoś ducha, który pragnie z nim mówić; wybiegł więc zaraz na dziedziniec domu, a ztamtąd na samotne pole, ale nie nigdzie nie ujrawszy, przekonał siebie nakoniec, iż to był tylko skutek uderzenia krwi lub wyobraźni. A wszakże, pomimo wszelkich usiłowań rozumu, okoliczność ta większe, niż sam chciał przyznać, uczyniła na nim wrażenie. Gdy bowiem razu jednego dysputując z nim jak zwykle, i widząc bezskuteczność wszystkich moich umysłowych dowodów, przypomniałem mu owo uderzenie i rzekłem: „bądź pewny, iż ten, co cię natenczas po ramieniu uderzył, pierwszy cię kiedyś spotka w tamtym świecie,“ — postrzegłem, że się twarz jego zmieniła nagle i zbladła; zanikł, i nigdy już więcej w tym przedmiocie nie mówił ze mną aż do śmierci, która nie długo potem nastąpiła.“

Niech mi się też godzi dodać w tém miejscu opowiadanie, które słyszałem w Dreźnie, z ust jednego z najuczestszych i najgodniejszych ludzi tego kraju, p. Herdera, dyrektora zakładów górniczych w królestwie Saskiem, a syna sławnego poety i filozofa tegoż imienia. W r. 1836, księżniczka Augusta Saska, w towarzystwie p. Herdera i przybocznej swej Damy Dworu, udała się w gościnę do zamku Fischbach, w Szlązku, własności księcia Wilhelma Pruskiego, gdzie tenże wtedy z małżonką swoją przebywał. Pierwszego wieczora po przybyciu, p. Herder, który oprócz głębokiej znajomości nauk przyrodzonych, posiadał rzadki talent czytania poezyi, proszony był przez dostojnych gospodarzy, aby im co z dzieł swego ojca przeczytał. Towarzystwo zasiadło około podłużnego stołu w sali bibliotecznój; p. Herder czytał przekład romansów hiszpańskich o Cydzie. Nagle przerwał w pół wiersza, i obracając się szybko po za siebie, zapytał: „Co?“ — ucał bowiem, że go ktoś mocno klapnął po ramieniu i szepnął coś do ucha, czego zrozumieć nie mógł. Zdziwił się nie pomalą nie widząc obok siebie nikogo; gdy zaś usprawiedliwiając powód przerwy, opowiedział co mu się zdało, gospodarze rzucili na się znaczące spojrzenie, co gdy księżniczka Augusta dostrzegła

ulegając jej naleganiom księżę Wilhelm, opowiedział odwieczną o tym zamku legendę, podług której, dawny posiadacz jego, jakiś rycerz niemieckiego zakonu, błędzi w nim dotąd, pokutując za grzechy; i lubo rzadko bardzo ukazuje się w postaci mglistej, szarej kolumny, mającej wszakże kształt ludzki: obecność swą objawia zwykle i często uderzając po ramieniu mieszkańców, a szczególnie nowoprzybyłych. Legenda ta znajomą jest powszechnie w zamku i okolicy, ale p. Herder nic o niej przedtém nie słyszał. Dama dworu, towarzysząca także naówczas księżniczce Auguste, w której właśnie domu i obecności p. Herder to opowiadał, a za prawdę słów której, najsumienniejszym mógłbym zaręczyć, dodała po wyjściu jego, iż tegoż wieczora, ukląkszy do modlitwy, aczula się uderzoną po ramieniu tak mocno, iż ból nawet trwał kilka sekund, lecz że przypisując to zwróconej na ten przedmiot wyobraźni, nie mówiła o tém przed nikim i nawet nie zawołała służącej, która już była odeszła.

(Przyp. tłumacza).

3. Str. 52 w. 22. Bieg żywej woły zniszczył nagle czary.

Jest to artykułem wiary w przesądach gminnych, że bieżąca woła niszczy moc i skutki wszelkich czarodziejstw. Brompton opowiada, że pewni czarnoksiężnicy Irlandzcy, umieli mocą swęj sztuki zamieniać kamienie lub kawałki gliny w tuczone wieprze, które przedawali na targach: lecz że te zamieniały się znowu w kamienie lub glinę, skoro wiozący je nowi nabywcy, przejechali przez jakibądź strumyk.

4. Str. 57 w. 24. Deloraine z bólu jęczał nieprzerwanie,
Jakby mu nożem wiercono po ranie.

Sir Kenelm Digby, w rozprawie o sympatycznych sposobach leczenia, czytanej w Montpellier na zgromadzeniu wielu znakomitszej szlachty i ludzi uczonych, i ogłoszonej drukiem w r. 1658, opowiada sam o sobie następujące zdarzenie:

„P. Jakób Howell, znakomity pisarz szkocki, chcąc rozbroić dwóch pojedynkujących z sobą dobrych swoich zna-

jomych, ujął ręką przez nieostrożność klingę pałasza jednego z nich, który wyrwijając go w zapale gniewu, przeciął mu aż do kości wszystkie nerwy i mięśnie dłoni. Widok krwi wspólnego przyjaciela uśmierzył zapęd walczących, którzy obwiązawszy mu na pędlce ranę podwiązką, przyzwali biegłego chirurga; gdy zaś wieść o tem doszła do dworu, Król, (Jakób VI), który bardzo szacował P. Howell, przysłał mu jednego ze swoich przybocznych lekarzy. Przypadek chciał, że mieszkalem w bliskości P. Howell, który we cztery czy w pięć dni potem, przyszedł do mnie prosząc, abym ranę jego obejrzał i ażebym go leczył sympatycznym sposobem, którego używałem zwykle w podobnych razach, o czém właśnie ktoś p. Howell powiedział. Chirurg i lekarz królewski obawiali się gangreny; jakóż chory cierpiał nadzwyczajne bólesci, a zwłaszcza palenie w ranie. Uprzedziłem go, że mój sposób leczenia, bez dotknięcia i nawet bez oglądania rany, może mu się zdawać przesadnym; gdy jednak przystał na wszystko, żądałem naprzód aby mi dał jaką płachtę, któraby była zbroczona krwią jego. Posłał więc do domu po ową podwiązkę, która mu w pierwszej chwili za bandaż służyła. Następnie kazałem podać miednicę wody, jakbym chciał tylko umywać w niej ręce; tymczasem wysypałem do niej potajemnie proszek witriolu, który miałem na pogotowiu, i skoro się rozpuścił, zanurzyłem w wodzie podwiązkę, zwracając przytém oczy na p. Howell, który w drugim końcu pokoju, nie patrząc wcale na mnie, z kilku obecnymi rozmawiał. Po chwili postrzegłem, że się wstrząsł nagle, jak gdyby jaką dziwną poczul w sobie odmianę. Zapytałem go więc o przyczynę tego poruszenia. „Nie wiem co się stało, odpowiedział, ale nie czuję żadnej bólesci; zdaje mi się owszem, iż jakiś chłód przyjemny rozlewa się po ranie, jakby ją mokrą obłożono płachtą; i wszelkie palenie ustało.“ — „Ponieważ leki moje tak dobrze zaczynają skutkować, rzekłem, wracaj pan teraz do domu, odrzuć precz wszystkie bandaże, i dobrze oczyściwszy ranę, nie wystawiaj jej na zbyt znaczne zimno ani gorąco. Wieść o tem co się stało, doniosła się natychmiast do księcia Buckingham i od niego do króla. Obadwaj chcieli widzieć szczegóły mego działania. Dla usunięcia więc wszelkiej wątpliwości, tegoż dnia po południu,

wydobyłem z wody podwiązkę i rozwiesiłem ją przed wielkim ogniem. Ale zaledwo zaczęła nieco wysychać, gdy wpadł służący p. Howell, wołając, iż pan jego cierpi znowu straszne boleści, a mianowicie palenie, jakby rękę trzymał nad żarem. Rozkazałem mu powiedzieć swemu panu, ażebył spokojny, gdyż to wkrótce ustanie. Jakóż włożyłem znowu podwiązkę do wody, i nim służący wrócił do p. Howell, ten już nie czuł żadnego bólu, i po dniach kilku całkiem uzdrowiony został.“—Sir Kenelm Digby, na żądanie króla, odkrył mu swą tajemnicę; sam zaś nauczył się jej od pewnego karmelitańskiego braciszka, który ją przywiózł z Persyi czy z Armenii, gdzie przez lat kilka przebywał.

5. Str. 60 w. 5. Na Penchrist - Penie sygnał się pali,
Trzy na Priesthawie —

Różna liczba i względne położenie tych ogniów, tworzących linię telegraficzną między granicą a Edyburgiem, miały swoje pewne znaczenie. I tak, akt parlamentu z r. 1455 stanowi: aby zapalono jeden sygnał, gdy się Anglicy do granicy zbliżają; dwa, gdy już przejdą granicę; cztery, jeden przy drugim, gdy są w wielkiej liczbie. Cały kraj na to hasło powinien był stawać do bronii; i dosyć było kilku godzin czasu, do zebrania kilkotysięcznego oddziału jazdy.

6. Str. 61 w. 19. Na piramidach grobowych kurhanów.

Na szczytach wielu gór szkockich dotąd widzieć się daje pewny gatunek piramid, ułożonych z kamieni, i będących jak się zdaje, pomnikami dawnych grobowców.

7. Str. 61 w. 27. Aż zawołały echa Lothianów.

Trzy hrabstwa w Szkocyi noszą to imię: Lothian średni czyli Edyburg, Lothian wschodni czyli Linlithgow, i Lothian zachodni czyli Haddingtown.

8. Str. 62 w. 22. Po czarny haracz.

Tak nazywano opłatę składaną pogranicznym rabusiom, aby się od ich łupieży i okrucieństwa zasłonió.

PIEŚŃ CZWARTA.

1. Str. 65 w. 9. A na ich czele walczył Dundee śmiały.

Margrabia Dundee (z rodziny Grahamów), wódz powstania w sprawie wygnanych Sztuartów, poległ w bitwie pod Killikrankie.—(Jest on ten sam, który pod imieniem Claverhousa gra jedną z głównych ról w romansie Waltera Skotta, p. t. *Purytanie Szkoccy*).

2. Str. 65 w. 4. Po grząskich bagnach, po zamierzchłych
[borach,
Lud rzucał domy i krył się od wroga.

Za zbliżeniem się Anglików, pograniczni mieszkańcy Szkoccy uciekali zwykle do lasów lub na niedostępne bagniska; często też kryli się w podziemnych lochach i jaskiniach, u wejścia których Anglicy zapalali niekiedy wielkie stosy liści suchych i słomy, i tym sposobem ukrytych wewnątrz albo dusili dymem, jak lisów, albo przymuszali do wyjścia.

3. Str. 66 w. 3. Watt Tinlinn z Liddelu.

W dzieciństwie mojem słyszałem wiele powieści o tym człowieku, odznaczającym się męstwem, dowcipem i trafnem strzelaniem z łuku. Był on z professyi szewcem, i sługą rodziny Buklejów; ale wołał włóczyć niż szydło. Razu jednego, angielski kapitan okręgowy, w hrabstwie Kumberlandzkim, wpadł do Szkocyi i znaczne poczynił grabieże. Uwiadomiony o tém Watt Tinlinn, dognał go, odebrał łupy i sam uciekającego kapitana ścigał przez bagna pełne niebezpiecznych trzęsawic. Anglik jednak wydobył się z nich na brzeg twardy, i widząc grzęznącego w nich jeszcze Tinlinna, który zmuszony zsiąść z konia, za cugle go w rękę prowadził; zawołał nań z urąganiem: „Szewcze! patrz, czy dobrze przyszyłeś podeszwy; bo ci woda najdzie do bótów!”

Za odpowiedź Tinlin wypuścił strzałę, która trafiwszy w nogę kapitana, przeszła ją na wskroś i przybiła do siodła. „Widzisz, zawołał natenczas, że umiem ówiekować skórę, choć podeszew dobrze nie szyję.“

4. Str. 66. w 17. Dumna ze srebrnych błyskotek co miała.

Mieszkańcy Pogranicza mało przywiązywali wartości i upodobania do sprzętów domowych, które w każdej chwili zabrane lub spalone być mogły. Głównym przedmiotem ich zbytku były różne błyskotki i stroje, ktoremi lubili zdobić swe żony.

5. Str. 67 w. 4. Wiliam Howard, i lord Dacre potężny.

Wiliam Lord Howard, trzeci syn księcia Tomasza Norfolk, dziedzic zamku Nawortu i wielkiej baronii tegoż imienia w hrabstwie Kumberland, żył rzeczywiście w początkach panowania królowej Elżbiety. Surowość, z jaką poskramiał pogranicznych rabusiów, będąc sam Lordem Nadgranicznym ze strony Anglii, uczyniła go sławnym w tradycjach guinnych. — Znane powszechnie imię Dacre, winno jest swój początek mężtuw jednego z jej rodziny, który podczas krucjaty Ryszarda Lwie Serce, odznaaczył się przy oblężeniu Akry, czyli Ptolomaidy. Jedna z gałęzi tej rodziny posiadała nadgraniczną baronią Gilsland, a naczelnie jej mieli tytuł: „Strażników zachodniej granicy.“

6. Str. 67 w. 6. Prowadząc z sobą Niemców huf zaciężny.

W wojnach ze Szkocją, Henryk VIII i jego następcy, używali powszechnie i w znacznej liczbie wojsk najemniczych, z cudzoziemców, a zwłaszcza z Niemców złożonych. Na obrazach bitew dawnej szkoły Flamandzkiej widzieć można, iż Niemieccy i Niderlandzcy żołnierze, idąc do szturm, prawe kolano mieli zawsze nagie, by się łatwiej wdzierać na mury.

7. Str. 68 w. 7. — — — — Jan z Tirlestanu.

Sir Jan Skott z Tirlestanu żył za panowania Jakóba V., i gdy król zgromadziwszy przedniejszych baronów Szkockich i ich wassallów, oświadczył chęć wtargnienia do Anglii, czemu wszyscy byli przeciwni: on jeden tylko okazał się gotowym pójść za rozkazem królewskim; i tój to właśnie wierności winien był wspomniane w tekście nagrody.

8. Str. 69 w. 26. Gdzież tak potężny jak Lord z Hardenu?

Sir Walter Skott z Hardenu, żyjący za panowania królowej Maryi, był jednym z najslawniejszych dowódców pogranicznych rabusiów szkockich, a pieśni i podania gminne zachowały mnóstwo szczegółów jego życia. Obronny jego zamek, położony był nad samym brzegiem mrocznego przepaścistego wąwozu, w którego najskrytszych zakątkach pasły się trzody i przechowywały się wszelkiego rodzaju łupy, na nieprzyjaciolach zdobyte. Gdy zaś bydła i żywności zabrakło, para ostróg, podana do stołu na zakrytym półmisku, była znakiem dla goszczących w zamku wassalów, że trzeba było sięść na koń i nowych szukać zdobyczy. Sir Walter żonaty był z krewną swoją Maryą Skott, której dobroć i wdzięki, łagodząc nieraz surowy męża charakter, zjednały jęj w pieśniach imię „Rozy Yarrowu.“

9. Str. 70 w. 8. Szli mając hasłem „błóń Belle denu.“

Posiadłość tego imienia, położona u źródła Bortwiku, była środkowym punktem ogólnych posiadłości klanu Skottów, i ztąd często służyła za miejsce i za hasło zebrania.

10. Str. 74 w. 4. Gwoli pierwszemu co lepiej zapłaci,
Gotowa przelać krew wrogów lub braci.

Najemni awanturnicy, których hrabia Cambridge prowadził w pomoc królowi portugalskiemu przeciw Hiszpanom w r. 1380, podnieśli bunt z powodu nieregularnej wypłaty żołdu. Na jednem zgromadzeniu ich wodzów, Sir Jan Soltier, syn naturalny Edwarda, zwanego księciem Czarnym,

w te słowa przemówił do nich: „Rada moja jest: dobrze się naprzód porozumieć nawzajem; podnieść sztandar św. Jerzego i ogłosić się przyjaciółmi Boga, a nieprzyjaciółmi całego świata; bo gdy się nas nie będą obawiać, skończy się na tém, że nie będziemy nic mieli.“— Rada ta podobala się powszechnie, i sam dawca jej wodzem okrzyknięty został.

11. Str. 76 w. 2. Niósł rękawicę zwieszoną na spisie.

Rękawica na ostrzu włóczni była godłem dobrej wiary u dawnych mieszkańców Pogranicza, i gdy kto z nich nie dotrzymał słowa, podnoszono ten znak na pierwszym zgromadzeniu ogólnem, i ogłaszano go „człowiekiem bez czci i wiary.“ Obrzęd ten był straszny dla wszystkich.

12. Str. 79 w. 2. Że się Deloraine cel ich nienawiści
Albo przysięgą z zarzutów oczyści, i t. d.

W razach wątpliwych zwyczaję pograniczne dozwalały oskarżonym usprawiedliwiać się przysięgą, albo z orężem w ręku niewinności swojej dowodzić.

12. Str. 79 w. 8. Gdy krew angielska wzbierała w Ankra-
[mie.

Sławna w dziejach Szkocko-Angielskich bitwa pod Ankram-Moor, zaszła w r. 1545. Anglicy, dowodzeni przez Sir Ralfa Evers i Sir Briana Latoun, zostali zupełnie pobici, i obaj ich wodzowie polegli. Wodzami Szkotów byli: Archibald Duglas, Lord Buccleuch i Lesly.

14. Str. 84 w. 1. Lecz mistrz mój w pieśniach, etc.

Mowa tu jest o jednym z najslawniejszych pogranicznych minstrelu, nazwiskiem Willie, który zabiwszy w pojedynku swojego współtowarzysza, został skazany na śmierć i ścięty w Dżedwudzie (Jedwood). Śmierć jego jest przedmiotem wielu pieśni i ballad gminnych.

15. Str. 84 w. 4. On co tak prawa rycerskie Douglasów.

W r. 1468 Wiliam, hrabia Douglas, zwoławszy na ogólne zgromadzenie Lordów, właścicieli i starszych wiekiem mieszkańców Pogranicza, obowiązał ich pod przysięgą, zebrać i ułożyć porządkiem na piśmie, wszystkie ustawy, przepisy i urządzenia wojenne, wydane niegdyś przez dwóch przodków swoich Douglasów; poczem sam, wraz ze wszystkimi, ścisłe ich zachowanie poprzysiągł.

PIEŚŃ PIĄTA.

1. Str. 89 w. 8. Jaśniało *Krwawe Serce* Douglasów.

Sławny w dziejach Szkocyi król Robert Bruce, polecił umierając jednemu z Douglasów, aby wyjęte zeń serce zaniósł do Ziemi Świętej, dokąd zawsze za życia tęskniło. I odtąd to „krwawe serce“ stało się herbem tego domu.

2. Str. 89 w. 9. Siedem Lane z Wedderburny.

Tak zwano siedmiu synów Sir Dawida Home z Wedderburny, który zginął pod Flodden.

3. Str. 89 w. 12. Swinton, pogrom Plantagenetów.

Familia Swintonów jest jedną z najdawniejszych w Szkocyi. W bitwie pod Baugé, we Francyi, książę Klarencyi, brat Henryka V, z domu Plantagenetów, został pokonany i zrzucony z konia przez Sir Jana Swinton.

4. Str. 89 w. 16. Wiódł młody *Hepburn* i *Home* z *Dunbaru*.

Familia Home (czyt. *Hom*), pochodząca od hrabiów z Dunbaru, była zawsze w ścisłych stosunkach z domem Hepburnów, których ostatnim szczepem był zbyt głośny w dziejach szkockich Bottwell, mąż królowej Maryi Stuart

5. Str. 91 w. 7. Młodzież gra w piłkę z palantem.

Gra w piłkę była niegdyś ulubioną w Szkocyi, a zwłaszcza na Pograniczu, i nieraz stawała się powodem zawziętych kłótni i nawet krwi rozlewu.

6. Str. 91 w. 23. Nagły ten przechód od uczt do zapasów,
Tak bywał częsty za tych dawnych czasów
Że nie był dziwny nikomu.

Pomimo ciągłych prawie wojen i często popełnianych okrucieństw, mieszkańcy Pogranicza, naksztalt przednich straży dwóch wojsk nieprzyjacielskich, skorzy byli do wzajemnych stosunków i zabaw, tak dalece, że z różnych postanowień rządu w obu krajach, zabraniających handlu i związków małżeńskich między angielskimi i szkockimi mieszkańcami granic, wnosić można, iż się lękano nawet, iżby te stosunki zanadto się ściślemi nie stały.

7. Str. 105 w. 14. Myśleli bowiem, że szatan się zjawił
W żywego człeka osobie.

Jednym z najdziwaczniejszych przesądów między ludem Szkockim, było mniemanie, że się widziało żyjącego człowieka ukazywać może niekiedy; co przypisywano sprawie szatana, i uważano za bardzo złą wróżbę.

8. Str. 106 w. 18. Cud było patrzeć, gdyś konno za psami,
Ślad w ślad je głosem poduszczał za nami.

Złupiony przez pogranicznych rabusiów, puszczał się zwykle w pogoń z przyjaciółmi swemi i psami, których osobnym sposobem do tego rodzaju łowów wprawiano; i jeśli psy szły ciągle po tropie, miał nawet prawo przekroczyć za niemi granicę; przywilej, który był nieraz krwi rozlania powodem.

9. Str. 107 w. 26. Woli kraj, w którym fanatyzm dziki
Wyklął jak zbrodnię urok muzyki.

Po zaprowadzeniu w Szkocyi reformy Kalwina, gorliwi jej zwolennicy, a mianowicie Purytanie, prześladowali za-

palczywie wszystkie sztuki piękne, a zwłaszcza muzykę, jako najbardziej działającą na zmysły.

PIEŚŃ SZOSTA.

1. Str. 112 w. 18. Bo nie przez zgubną moc Magii czarnej,
Lecz przez rachubę liczby planetarnój.

Opinia gminna, jakkolwiek przeciwna nauce Kościoła, czyniła wielką różnicę między czarnoksiężnikami, czyli magami, a nekromantami, czyli czarownikami, i przechylała się stanowczo na stronę pierwszych. Rozumiano bowiem, że mają moc rozkazywać złym duchom, kiedy przeciwnie drudzy, słuchać ich tylko lub być z niemi w związku musieli.

2. Str. 113 w. 3. Na pięści sokół w szkarłatnym kapturku,
Siedział trzymany na jedwabnym sznurku.

Damy wysokiego rodu, jako też baronowie i rycerze podczas pokoju, przy wszelkich uroczystych obrzędach, mieli zwykle na pięści sokoła.

3. Str. 113 w. 14. I w samym środku wznoszącym się
[pawiem,
Złoconym dziobem i odzianym w pióra

Paw', w wiekach rycerstwa, uważany był nie tylko jako najdelikatniejsza, lecz i jako szczególnie obrzędowa potrawa, bez której żadna większa uroczystość obejść się nie mogła. Po upieczeniu odziewano go na nowo piórami, i do pozłoconego dziobu kładziono gąbkę napojoną palącym się wyśkokiem winnym. W chwili, gdy go podawano na stół, awanturniczy rycerze, zwykli byli czynić publiczne śluby

dopełnienia jakiego czynu rycerstwa, „w obliczu Pawia i Dam.“

4. Str. 113 w. 17. I nad łabędziem z Maryi jeziora.

Na jeziorze Św. Maryi, blisko źródła rzeki Yarrowu, dają się widzieć dotąd stada dzikich łabędzi.

5. Str. 113 w. 18. Nad głową dziką z Kaledońskich borów,
Śród chorągiewek różnych barw i wzorów.

Głowa dzika należała także do obrzędowych potraw w wiekach średnich. W Szkocyi otaczano ją mnóstwem chorągiewek, mających barwy, herby lub godła gospodarza domu.

6. Str. 115 w. 4. Zgryzł rękawicę i potrząsnął głową.

Przygryźć palec swój lub rękawicę, znaczyło na Pograniczu, nie tylko pogardę, lecz i ślub nieubłaganej zemsty.

7. Str. 117 w. 4. Brał równie szkockie jak angielskie
[woły-

Jan Groem lub Graham, drugi syn hrabiego Montheit, zwany powszechnie „rycerzem błyszczącego miecza,“ wpadłszy w niełaskę u szkockiego dworu, usunął się z wielką częścią krewnych swych i wassalów na Pogranicze Anglii, i zajął kraj tak zwany „spornym,“ to jest, do którego oba kraje prawo własności rościły. Następcy przeto jego, nie ulegając żadnemu z nich, stali się najstraszniejszymi rabusiami granic, i tak Anglią jak Szkocją bez różnicy łupili. Kraj sporny podzielono nakoniec na dwie równe części, sądem polubownym.—Piosnka Alberta Groem (czyt. *Grem*) w tekście, jest naśladowaniem gminnej.

8. Str. 118 w. 23. I Surrey—Surrey, niestety!

Waleczny i nieszczęśliwy Henryk Howard, hrabia Surrey, był niezaprzeczenie najdoskonalszym rycerzem swojego cza-

su. W sonetach jego znajdują się piękności godne złotych wieków poezyi. Zalety i sława jego wzbudziły podejrzenie i zawiść Henryka VIII, z domu Tudor, który go w r. 1546 ściąć kazał. — Mówią, że podczas jego podróży, sławny alchemik, Korneliusz Agrippa, pokazał mu w czarnoksiężkiem zwierciadle, pozostałą w kraju kochankę jego, Geraldinę, na której cześć swój oręż i lutnię poświęcił.

9. Str. 122 w. 15. Gdzie ród Saint-Clairów, etc.

Rodzina Saint-Clair (*Sę-Kler*) jest pochodzenia Normandzkiego; osiadłszy w Szkocyi za panowania Malkolna, została znacznie zubożoną nadaniami królów, a mianowicie Roberta Bruce. W rzędzie pierwszych jej posiadłości była baronia Roslin, z zamkiem tegoż imienia; następnie zaś przez związek małżeński z córką hrabiego Orkney, (inaczej hr. *Orkad*), doszła do posiadania tychże wysp i tytułu, nadanego jej przez Hakona, króla Norwegii, w r. 1379. Tytuł ten, po ustąpieniu Norwegów, potwierdzili Saint-Clairom królowie Szkoccy, ale samo hrabstwo zostało przyłączone do korony w r. 1481. — Imię Rozabella, było prawie dziedziennym imieniem niewiast w tej rodzinie.

10. Str. 123 w. 5. Tu na skrzydlatych Oceanu Smokach,
Królowie Morza, etc.

Dowódcy skandynawskich rozbojników morskich, nawiedzający często brzegi Szkocyi, równie jak całą naówczas Europę, przybierali szunny tytuł „Królów Morza“ (*Soekomungr*). okręty zaś ich w nadętym stylu Skaldów, (kapłanów i bardów Skandynawskich) zwane były „Smokami Oceanu.“ *Odin*, było imię najwyższego Boga w mitologii Skandynawskiej. — *Runy*: tajemnicze znaki albo litery (rodzaj hieroglifów), używane w napisach i religijnych obrzędach Skandynawskich. — *Saga*, od imienia tak zwanego Skandynawskiej bogini historyi, zwała się każda tradycya historyczna w tych krajach.

11. Str. 125 w. 16. I w grobach rycerzy, blask bił od
[pancerzy,
Leżących we zbrojach bez trumny,

Piękna kaplica w Roslinie, gdzie były groby familijne Saint-Clairów, założone w r. 1446, do dziś dnia jeszcze się utrzymuje. Dawniejsi baronowie grzebani byli bez trumien, lecz ich odzianych we zbroje, kładziono wprost na kamiennej podłodze w grobach, pod kaplicą będących. Tradycya gminna zapewnia, że ile razy kto z tej rodziny miał umrzeć, cała ta kaplica i zamek jaśniały jakimś tajemniczym blaskiem i zdawały się być jak w ogniu.

K O N I E C .



BALLADY I BAŚNIE.

ZAMEK KADYOW.

BALLADA

Z WALTERA SKOTTA.

Poświęcona przez Autora

PANNIE HAMILTON.

Gdy Hamiltonów możne pradziady
Żyły, panując na Kadyowie;
Brzmiały na zamku głośne biesiady,
Szli na wyścigi głośni bardowie.

W dziedzińcach jego grzmiały gonitwy,
Rycerska młodzież biegła z okoła;
Po salach jego, zwycięzców z bitwy
Wabiła w taniec piękność wesoła.

Dziś Kadyowu gmach w gruzach leży.
Grobowy pomnik dawnego stanu;
Wiatr tylko szumi w ruinach wieży,
I szemrze spodem fala Ewanu.

Ty jednak każesz, o jego dawnych
Dniach wspaniałości, uczt i wesela,
O jego panach wielkich i sławnych,
Śpiewać dawnego tonem minstrela.

Bo dusza twoja lubi na chwilę
Wzgardzić światowym zgiełkiem i pychą,
I na przeszłości świętej mogile
Dumać, i ze czcią łzę wylać cichą.

A więc, dziewico! niech się tak stanie!
Wzrok twój zapałem wieszczą przenika;
Na twoich brzegach, kręty E w a n i e!
Przeszłość powraca, obecność znika.

Patrz! kędy gruzów zwalone stosy
Przed chwilą trawa i mech krył szary:
Ostrza się wieżyc wznoszą w niebiosy,
Na nich herbowe wieją sztandary.

Patrz! gdzie skaliste rzeki nadbrzeże,
Pietrząc się dziko, cień ściele bury,
Powstają rzędem baszty i wieże,
I czarnym pasem ciągną się mury!—

Noc jest;— w przejrzystych rzeki kryształach
Drży postać zamku, tło ich mrocząca;
Strażnicze ognie, płonąc po wałach,
Rumienią bladą jasność miesiąca.

Miesiąc zachodzi—zorze się płoni—
Wszystko się w zamku rusza i budzi;
Słysząc w dziedzińcach parskanie koni.
Skomlenie psiarni, i gwary ludzi.

Padł most zwodowy—brzęczą łańcuchy,
Brzmią głucho deski—tłoczy się zgraja;
A każdy jeździec pełen otuchy,
Bodźcem rumaka zapał podwaja.

Przedem wszystkimi sam wódz na przedzie,
W myśliwskim stroju hasa na koniu:
A koń, na którym Hamilton jedzie,
Wiatry wyścigać umie po błoniu.

Sarna się kryje w najgęstsze łomy,
Jeleń w najdalsze ucieka bory,
Bo już straszliwy, głos im znajomy,
Głos trąb napełnił lasy i góry.

Lecz coż to? słyszysz! wzdłuż rzeki brzegu,
W gęstwinie dębów wiekami żywych,
Trzask drzew i głuchy ryk się rozlega,
Głośniej od wrzasku rogów myśliwych.

Najpotężniejszy z mocarzów lasu,
Czarno-brodaty żubr Kaledonu ¹⁾,
Wypadł jak piorun, wśród psów hałasu,
Pędzi, gdzie stoi wódz Hamiltonu.

Chyląc ku ziemi czoło straszliwe,
Krwia zaszła oczy ciska na wrogów,
Ryczy, i jeżąc rozlotłą grzywę,
Szarpie darninę ostrzem swych rogów.

Dobrze wymierzył wódz niezmiészany,
Śród piersi byka grot utkwiał cały.—
Runął, krwawemi rzygając piany,
A trąby wkoło tryumf zagrały.—

Już jest południe:— pod gęstym dębem
Myśliwy orszak skrył się przed pieką;
Dym między drzewa wije się kłębem,
W lesie im ucztę warzą i pieką.

Z dumą wódz patrzył, leżąc na ziemi,
Na orszak krewnych, na stosy plonów.—
Czemuż nie widzi razem z drugimi,
Najmężniejszego z krwi Hamiltonów?—

— „Gdzie jest, rzekł, Bottwell nasz z Bottwella wy,
Pierwszy na naszych ucztach i łowach?
Czemu nie dzieli naszej zabawy,
Naszej biesiady w leśnych dąbrowach?“—

Ponurym głosem rzekł Klaud z Paslei:
„Minęły czasy jego wesela!
Nigdy za stołem, nigdy śród kniei
Nie zobaczymy więcej Bottwella!

„Kilka dni temu, jego spokojny
Zamek brzmiał echem szczerzej radości,
Gdy do swych ognisk wróciwszy z wojny,
Częstował ucztą krewnych i gości.

„Kilka dni temu, piękna i tkliwa,
Marya jego, w dni swoich kwiecie,
Szczeńliwa żona, matka szczęśliwa,
Swe pierworodne karmiła dziecię.

„Lecz nagle rozkaz Murraja wroga, *)
Z ogniem i mieczem nasłał żołnierzy;
Na dachy jego spadła pożoga,
Zastęp obrońców pod gruzem leży.

„A jego żona!—szydząc z jej jęku,
I urągając z krzywdy i sromu,
W nocy, wpół naga, z dzieckiem na rękę,
Z przywłaszczonego wypchnęli domu!....

„Cień jej dziś tylko, w mglistych osłonach,
Gdzie fala Esku szumi przez gaje,
Niesiony wiatrem, z dzieckiem w ramionach.
Co noc boleśne jęki wydaje.

„Widzą go ludzie, słyszą rozpacze,
Jak woła imię swego Bottwella,

*) Obacz przypisek na końcu.

Jak nad umarłym dzieckiem swém płacze.
I żąda pomsty z nieprzyjaciela!“—

Skończył—struchleli żalem i gniewem,
Jeden krzyk zemsty zatrząsł dąbrową.
Skoczył Hamilton wsparty pod drzewem,
I mieczem z pochwy błysnął nad głową...

Wtém zatętniało pole kopyty—
Ktoś prosto ku nim pędzi przez błonia;
A w rękę jego sztylet dobyty,
Zamiast ostrogi bodzie nim konia.

Twarz jego blada, włos rozezochrany,
Wzrok słupem na przód patrzy bez celu:
Jeździec i rumak krwią obryzgany—
„To on! to Bottwell!—witaj Bottwellu!“—

Wołają, biegną, trzymają strzemię—
On z gorączkowym w twarzy zapałem,
Zskoczył, i z wzdardą rzucił na ziemię
Muszkiet dymiący świeżym wystrzałem.

I rzekł ponuro:— „Wiem, że wam miło
Myśliwskie trąby brzmiały dziś z rana;
Lecz milęj stokroć mnie słyszeć było
Ostatnie jęki wroga, tyrana!

„Żubr co go wasze zwały strzały.
Z dumą dziś jeszcze deptał po puszczy;
Lecz dumnie j stokroć Murraj zuchwały
Jechał na czele dwornej swęj tłuszczy.

„Przez Linlitgo wu kręte ulice,
Tłum go zebrany wiódł z okrzykami;
Z okien i z ganków, ręce kobiece
Przed nim i za nim siały kwiatami.

„Wracał zalawszy krwią Pogranicze,
Jarzmo swój władzy narzucił klanom:
I upojone dumą oblicze
Ku swym przybocznym zwracał dworzanom.

„Lecz co mi znaczy wroga potęga?
Co mi straż jego, orszak i pycha?
Gdy wiem, jak zdala muszkiet mój sięga,
Gdy w sercu mojem zemsta oddycha! —

„Ja i mój muszkiet weszliśmy w radę.
Obrałem miejsce w ciemnej ustroni:
Ztamtąd widziałem całą gromadę,
Całą tę ciżbę ludzi i koni.

„Morton zausznik, dzid szkockich borem²⁾,
Z konnicą drogę torował panu;
W tyle, z dobytym w rękę klajmorem,
Szedł gęstym szykiem klan Makferlanu.

„Po bokach Douglas, i Lord z Glenkerny,
I Knox się swoją świętością puszył³⁾;
I dziki Lindsay, zdrajca niewierny,
Co się królowej płaczem nie wzruszył⁴⁾.

„Między tym dworzan i wojsk natłokiem,
Z pod piór Murraja hełm złoty błyskał;
Koń jego ledwo stąpić mógł krokiem,
Tak wkoło niego lud się naciskał.

„On skinał czołem, i wzrok ponury,
Z pod brwi nawisłych, wodził po tłumie;
I swą buławę podniósł do góry,
Jakby wskazywał, że dzierżyć umie.

„Lecz było w twarzy zwątpienie ducha,
Próżno chciał udać uśmiech wesela;
Zły duch snąć jemu szeptał do ucha:
„Skrzywdziłeś, bój się zemsty Bottwella!“ —

„Zagrzmiał mój muszkiet — krzyknęła zgraja.
Wspiał się do góry rumak książęcy:
Chyli się na bok pióro Murraja —
Runął o ziemię, by nie wstać więcej.

„Jak kochankowi, gdy wzajemności
Słowo z ust lubej posłyszysz przecię;
Jak myśliwemu, szarpiąc wnętrzności
Wilka, co niegdyś pożarł mu dziecię:

„Tak, i sto razy milój mi było,
Widzieć, jak zdrajca w prochu się tarzał;
Słyszeć, gdy życie z krwią uchodziło,
Jak próżno nędznik jęki powtarzał.

„Ujrzałem mojej Maryi ducha,
Cieszył się z śmierci nieprzyjaciela;
Konającemu szeptał do ucha:
„Czujesz, morderco! zemstę Bottwella!“

„A więc do broni. krwi Hamiltona!
Wszystkim jak krzywda, zemsta nam wspólna.
Dzisiaj czas rozwinąć wojny znamiona—
Murray zabity, Szkocya wolna!“—

Wszyscy z zapalem rwą się do broni,
Brzmi trąb odgłosem puszcza okolna:
„Chwała Bottwellu! chwała twój dłoni!
Murray zabity, Szkocya wolna!....“—

Lecz patrz! zniknęło barda widzenie,
Ucichł mu w uszach okrzyk wojenny;
Ewanu tylko słychać mruczenie,
I po ruinach wiatr dmie jesienny.

Runęły wieże, spadły sztandary,
Chwast na ich miejscu powiewa znowu;
I znów jak przedtym mech okrył szary
Leżący w gruzach gmach Kadyowu.

I pieśń minstrela znikła gdzieś z echem,
Wiatr tylko jęczy resztą jej tonów;
A obok niego, z łzą i uśmiechem,
Stoi ostatnia z krwi Hamiltonów!...

Szczęśliwy śpiewak! czyja pieśń unie,
Wzbudzić łzę żalu, uśmiech wesela;
Szczęśliwa dusza! która rozumie
Urok przeszłości, pieśni minstrela!...

PRZYPISKI DO BALLADY ZAMEK KADYOW.

Zamek Kadyow, niegdyś baronialna stolica rodziny Hamiltonów, nad rzeką Ewan, w Szkocyi, zburzony został w wojnach domowych, za czasów Maryi Sztuart. Hamiltonowie byli najwierniejszymi stronnikami nieszczęśliwej królowej, gdy naturalny jej brat, Jakób Murraj, przemocą złożył ją z tronu, i uwięziwszy w zamku Loch-Lewen, do dobrowolnej niby abdykacyi przymusił; poczem sam, pod tytułem Rejenta i opiekuna małoletniego jej syna, Jakóba VI, władzę królewską w Szkocyi sprawował. Panowanie jego było ciągłym prześladowaniem stronników Maryi, którzy też ze swojej strony, nie przestawali używać wszelkich sposobów przywrócenia jej na tron. Śmierć Murraja, będącą przedmiotem niniejszej ballady, w tych słowach opowiada historyk szkocki. Robertson:

„Zabójcą Murraja był jeden z rodziny Hamiltonów, Bottwell z Bottwellawy, a to z następującego powodu. Po przegranej bitwie stronników Maryi, pod Langside, Bottwell, z wielu innymi, skazany był na śmierć, i lubo potem przebaczenie życia otrzymał, większa część dóbr jego oddaną została jednemu z dworzan Rejenta. Ten ostatni opanowawszy gwałtem zamek Bottwella, żonę jego, ledwo co po połogu będącą, nago podczas zimnej nocy, wraz z dzieckiem wypę-

dzieć kazał. Gwałtowne pomieszczenie zmysłów, i wkrótce śmierć jej i dziecka, były skutkiem tego nieludzkiego postępku. Zniewaga i strata ulubionej żony, połączona z dawną niechęcią, sprawiły, iż pałający zemstą Bottwell, śmierć Rejenta poprzysiągł. Barbarzyńskie maksymy owego wieku, usprawiedliwiały wszelkie najgorsze środki pomszczenia się nad nieprzyjacielem. Długo Bottwell śledził w skrytości obróty Rejenta, nim upatrzył sposobną porę wykonania swego zamiaru. Murraj poskromiwszy zbuntowane klany na pograniczu Szkocyi, wracał do Edynburga przez małe miasteczko, zwane Linlithgow. Tam Bottwell czekać go przedsięwziął. Uzbrowiwszy się w nuszkiety, obrał sobie stanowisko na krytym kruzganku, mającym okno na ulicę, w domu jednego z rodziny Hamiltonów, stryja swojego; podłogę okrył pierzynami, aby kroków słychać nie było; ściany zawiesił suknem czarnem, aby cieniu jego nie dojrzeć; i po tych wszystkich ostrożnościach, spokojnie oczekiwał przejazdu Rejenta, który w niedalekim domu nocował. Doszły były Murraja wieści i ostrzeżenia o jakimś grożącym mu niebezpieczeństwie, choć o niem nikt z pewnością nie wiedział. Postanowił więc był z rana, nie przejeżdżać przez miasto główną ulicą, lecz wrócić do tej samej bramy, przez którą był wczoraj przyjechał, i miasto polem ominąć. Ale że wielki tłum ludu, przed domem jego zebrany, zagradzał mu tę drogę, a raczej że był mężny i śmiały z natury, udał się ulicą przez miasto. Tenże sam natłok ludu, co mu wstecz jechać nie dopuścił, był przyczyną, że koń jego musiał iść bardzo powoli. Korzystając z tego zabójca, wziął go tak dobrze na cel, iż kula przeszła przez sam środek piersi, i zabiła konia pod Duglasem z Parkhedy, jadącym obok Rejenta. Murraj upadł; dworzanie jego i straż wpadli do domu, z kądem wystrzał pochodził, lecz nim zdołali przebyć zaryglowaną bramę i wszystkie drzwi domu, Bottwell wymknąwszy się tajemnym przejściem, dosiadł przygowanego już konia, i bodąc go sztyletem zamiast ostrogi, uszedł przed ich pogonią; wpadł do zamku Kadyowu, gdzie mieszkał naczelnik rodziny i klanu Hamiltonów. i tam jak

zbawca Szkocyi, w tryumfie przyjętym został. Prześladowanie przez Murraja nieszczęśliwej królowej Maryi Stuart i jej stronników; okropność krzywdy wyrządzonej Bottwellowi, a nadewszystko stronnicza nienawiść i obyczaje owego wieku, usprawiedliwiły w ich oczach popełnione zabójstwo. Stało się to w r. 1596.

1) Żubr, nie znajdujący się już nigdzie w Europie, oprócz jednej Białowieżskiej puszczy w Litwie, częstym niegdyś był zwierzem w Szkocyi, i tem różnił się od litewskiego żubra że był całkiem biały, prócz brody, pysku i rogów czarnych, i że miał długą grzywę, do lwiej podobną.

2) Morton, jeden z zabójców Dawida Rizzio, którego z rozkazu pierwszego męża Maryi Stuart, w oczach jej zamordowano.

3) Knox, pierwszy krzewiciel reformy w Szkocyi, której sam Rejent był najgorliwszym stronnikiem.

4) Lindsay, najdzikszy i najokrutniejszy z fakeyi Rejenta, użyty przez niego do wymuszenia na uwięzionej królowej zrzeczenia się tronu, wykonał to polecenie z największą surowością i grubiaństwem; i gdy nieszczęśliwa Marya, zalana łzami, w chwili podpisania abdykacyi, odwróciła na chwilę oczy, przymusił ją do kończenia, ściskając gwałtownie jej rękę rękawicą żelazną.

WIECZÓR PRZED ŚWIĘTYM JANEM.

BALLADA

Z WALTERA SKOTTA.

Groźny baron Smajlhomu, *) przede świtem sam w domu
Siodła konia, i jedzie za mury.

Obejrzał się: nikogo! — ścisnął konia ostrogą,
I jak wichur zapuścił się w góry.

Nie w tę stronę gdzie wojna, gdzie Duglasa dłoń zbrojna
Grzmi piorunem i łśni błyskawicą;

Gdzie ojczyzny nadzieja, dzielne hufce Bukleja
Stoją murem nad szkoeką granicą.

*) Zamek Smajlhome (*Smejlhom* albo *Smajlholm-Tower*) w hrabstwie Roxbury, w Szkocyi, sławny z pięknego położenia i widoków, leży pomiędzy dzikimi skałami, z których jedna nosi nazwisko strażniczkiej (*Watchfold*). Treść ballady opiera się na podaniu miejscowem.

Przecież od stóp do głowy, cały w zbroi stalowej,
 I koń cały okryty żelazem;
 I bojowy miecz w ręku, i zwieszony na łąku
 Lśni buzdygan i topór zarazem.

Gdzie pojechał, nikt nie wie; wiedzą tylko, że w gniewie
 Był straszliwym przed samą swą drogą.
 Lecz nikt przyczyn nie zbadał; Baron z nikim nie gadał.
 Słowa o nic nie pytał nikogo.

Dnia czwartego z za góry, nasępiony, ponury.
 Baron wraca;—twarz dzika i blada.
 I koń widać podbity, kurzem, znojem okryty,
 Drży pod jeźdźcem, i omal nie pada.

Baron wraca do dworu—ale nie z Ankram-Moru *),
 Gdzie pamiętny zwycięstwem i mordem,
 Stoczył bój Duglas mężny, i Lord Buklej potężny,
 Z Sir Ewersem, angielskim milordem.

Zkądże ten znak przy znaku, na puklerzu, szyszaku,
 Od brzeszczotu, czy włóczni żelezców?
 Ha! i topór stępiony, we krwi widać zboczony —
 Lecz nie we krwi angielskich najeźdźców!

*) Bitwa zaszła pod Ankram-Moor, w r. 1545. Wódz Anglików, Lord Evers z synem, i przeszło 800 ludzi, między tymi wielu najznakomitszych rycerzy, poległo ze strony angielskiej.

Most przejechał zwodowy, i u bramy zamkowej
Zsiada z konia, i gwizdnął trzy razy.

Jakby czekał już wprzód, na to hasło paż młody,
Przybiegł skokiem na pańskie rozkazy.

„Słuchaj, paziu mój młody! twój wierności dowody,

„Wiiesz, że łaską odpłacam wzajemnie.

„Mów więc śmiało, lecz na niej; mów, gdzie była twa

„I kto był u twój pani beze mnie?“ — |pani?

— „Lady codzien o zmroku, boczną fórtką u stoku,

„Wychodziła, gdy wszyscy już spali;

„I szła prosto na góry, gdzie od pory do pory

„Podczas wojny nasz sygnał się pali.

„Dnia pierwszego, mgły sine okrywały równinę,

„Krok w krok za nią więc mogłem iść blisko.

„Szła z pośpiechem i trwogą; lecz na górze, nikogo!

„Samo jedno gorzało ognisko.

„Dnia drugiego, przed zmierzchem, w szparze skały
[pod wierzchem

„Siadłem skrycie, by schadzki dośledzić.

„Nagle spojrzę—aż stoi, młody rycerz we zbroi;

„Lecz z kąd przyszedł?—nie umiem powiedzieć.

„Lady przyszła niedługo, i godzinę i drugą

„Rozmawiali z żywością wzajemnie.

„Lecz deszcz padał kroplami, wiatr szeleścił liśćmi.

„Nastawiałem więc ucha daremnie.

- „Wczoraj wręście, pogoda! niebo czyste jak woda,
„Wietrzyk nawet poprzestał oddychać.
„Znów się skryłem w ustroni, z kąd mi jakby na dłoni
„Było wszystko i widać, i słyhać.
- „I słyshałem z ust Lady, jej układy i zdrady,
„Jak mówiła, ściskając młodziana:
— „„O! mój luby, mój drogi! jutro do mnie bez trwogi.
„Przychódź jutro, przed świętym dniem Jana.
- „„Mąż z Duglasem na wojnie: w zamku wszystko spo-
[kojnie;
„„Ja ci fórtkę u stoku otworzę.
„Przed świętym dniem Jana, straż i czeladź bez pana,
„Będzie piła i spała we dworze.“—
- „„Nie! ja nie mogę przyjść; nie! mnie nie wolno przyjść;
„„Nie! ja nie śmiem przyjść jutro do ciebie!—
„„Mnie przed świętym dniem Jana, straż gdzie indziej
[wskazana,
„„Aż świt piérwszy zabłyśnie na niebie.“—
- „„Któż cię zmusza? kto każe? Gdy się ja tu przyjść ważę
„Tyżbys dla mnie nie ważył się na to?—
„Przyjdź! noc będzie pogodna; chwila szczęścia swo-
[bodna
„„Stanie sercu za wiosnę i lato!
- „„Ja przekupię wprzód strażę, ja psów spuszczać nie
„„Ja gałęźmi potrząsnę podłogi. [każę,

„Przyjdź! zaklinam więc ciebie, w imię Boga na Niebie!
„Przyjdź, przyjdź do mnie! mój luby! mój drogi!“—

— „Choć stróż będzie zjednany, choć przykute brytany,
„Choć gałęźmi potrząsniesz podłogę;
„Wiész, że ksiądz śpi przy wchodzie; on mnie pozna
[po chodzie,
„Każe w dzwony uderzyć na trwogę.“—

— „Ksiądz na rozkaz przeora, już w Drajburgu od
[wczora,
„Pogrzebowe odprawia modlitwy,
„Za jakiegoś rycerza, co bez skruchy, pacierza,
„Niespodzianie legł wczoraj śród bitwy.“—

„Rycerz podniósł twarz smutną, a był blady jak płótno,
„I roześmiał się dziko i srogo:
— „Cha, cha, cha!— rzekł— te modły, co tam księdza
[wywiodły,
„Cha, cha, cha! czyż być za mnie nie mogą?—

„O północy, jak skoro, duchy mocy nabiorą,
„Jak zakłętaś, tak będę u ciebie!“—
„I to rzekłszy ponuro, znikł gdzieś nagle za górą,
„I Milady wróciła do siebie.“—

Baron milezał i słuchał, z oczu, z twarzy żar buchał,
Porwał sztylet, i krzyknął w zapędzie:
„Któż on? kto on? mów! jaki, był herb, zbroja i znaki?
„Ja czy on, jutra widzieć nie będzie!“—

— „Hełm i pancerz złożony, miecz na szarcie czerwonej,
„Po nad hełmem trzy pióra sokole;
„Na puklerzu wyryty, sokół strzałą przebity,
„A u góry trzy gwiazdy w półkole.“ —

— „Paziu! kłamstwo w twój mowie! Ha! i biada twój
[głowie!“ —

Krzyknął Baron, i porwał się z gniewem.
„On być nie mógł na górze! on już nie żył w tej porze;
„On już leżał w mogile pod drzewem.“ —

A paż ręce załamał: „Karz mię, zabij, gdym skłamał!
„Bo widziałem, słyszałem ja sam,
„Jak go Lady ścisłała, jak go Lady nazwała
„Sir Ryszardem de Koldingham.“ —

Baron pobladł jak chusta, wlepił oczy, ściał usta,
I stał niemy, aż przemógł swą trwozę.
„Nie! grób jego głęboki: skrzepłe były już zwłoki:
„Nie! nie mogę wierzyć, nie mogę! —

„Gdzie około Melrozu, z gór ciasnego wąwozu
„Twid się w szersze rozlewa koryto.
„Tam na dzikiem rozdrożu, na Ejldońskim tam
„Koldinghama śród nocy zabito. [wzgórzu,

„Olśniło cię ognisko, wiatr ci przyniósł nazwisko,
„Jeśli wreście uwierzyć ci muszę;
„Bo już trzy dni zań w chórze, tam w Drajburskim
[klasztorze,
„Księża psalmy śpiewają za duszę.“ —

To rzekł, i krok za krokiem, w zadumaniu głębokiem,
Szedł na zamek, gdzie sala wspaniała;
Tam jak maju pogoda, jasno-lica i młoda,
Żona jego u okna siedziała.

Lecz w jej licach nie radość; czarny smutek a bladość!
Siedzi sama, i patrzy tęskniąca:
Na równiny, doliny; na Mertun u las siny,
Na blask Twidu przy świetle miesiąca.

Baron wszedłszy pozdrowił, ale słowa nie mówił,
Wzrok w nią tylko zatapia ciekawy.
Ona drżąca powstała, ona pierwsza spytała
O nowiny z wojennej wyprawy.

„Dobre. dobre nowiny! Ankram-Moru równiny
„Trupy wrogów jak mostem zasłały.
„Buklej razem z Duglasem, proszą ciebie tymczasem
„Dawać baczność na nasze sygnały.“—

Lice Lady Smajlhomu, krwią zabiegło od sromu.
Słowa więcej nie rzekli oboje;
Lecz przez kręte w słup wschody, i przez długie prze-
[chody,
W swe sypialne odeszli pokoje.

Ale sen był daleki, od obójga powieki.
Próżno Baron powtarzał sam w sobie:
„Nie! to próżna obawa! kto raz umarł, nie wstawa;
„Na wiek wieków zwodziciel śpi w grobie!“—

Noc przed świętym dniem Jana, krótka, chociaż nie-
[spana,

Przeszła prędko;—aż koło poranka,
Sen ogarnął Barona; lecz obawą dręczona,
Oka złożyć nie mogła kochanka.

Wzniosła głowę i słucha:—wkoło cisza, noc głucha,
Cały zamek w pomroce i we śnie.

Życie daćby gotowa, by dziś rycerz mógł słowa
Nie dotrzymać—nie przyszedł niewcześnie.

Nikt nie skrzypnął podłogą:—a wtém nagle—o! trwogo!
Rozsunęły się poły firanek:

Lady spojrzy—aż stoi, tuż u łoża, we zbroi—
O! nieszczęsna!—to on! jej kochanek!

Przed oczyma ściemniało, serce w piersiach ustało,
Ręką tylko wskazała na łożo.—

„O! wiem ja, rzekł, w tej dobie, kto spoczywa przy tobie;
„Lecz się nie bój! on powstać nie może.

„Nie otworzy powieki—on dziś, a ja na wieki:

„On w swém łożu, ja w zimnej mogile!—

„Trzeci dzień dziś upłynął, z ręki jego jam zginał,
„Księża za mnie się modlą w tę chwilę.

„Lecz sąd Boga surowy! Gdzie nas słodkie rozmowy,
„Gdzie nas miłość łączyła szczęśliwa:

„Duch mój żalem przykuty, czas czyscowej pokuty
„U sygnału na górze odbywa.

„Ale nie miałbym mocy, przyjść aż tutaj śród nocy.

„Bez twych zaklęć na święty dzień Jana.—

„Teraz, żegnaj na wieki!—mnie czas w kraj mój daleki,

„Gdzie mnie zorza nie spłoszy poranna!“—

W Niej miłości odwaga, nad przestrachem przemaga:

—„O! Ryszardzie! o! powiedz mi słowo!

„Jest-żeś ty tam zbawiony? czy na wieki zgubiony?“—

Rycerz westchnął, i tylko wstrząsł głową.

—„Kto tu przelał krew braci, krwią na sądzie zapłaci;

„Niechaj o tém wie Baron twój mściwy.

„A że miłość nieprawa, tam za grzech się uznawa,

„Przyjm odemnie ten dowód straszliwy!“—

Rzekł, i dłonią swą lewą, wsparł się o łoża drzewo,

A prawicą dotyka jej ręki.

Lady wstrząsła się, zbladła—i jak martwa upadła.

W całym zamku rozległy się jęki.

I nazajutrz tam rano, w drzewie łoża ujrzano

Wypalonych pięć palców ognistych.

Lecz z ust Lady ni słowa;—prawą tylko dłoń chowa,

U stóp męża w łzach tonie rześistych.—

W górach blisko Melrozu, w mrocznej głębi wąwozu,

Jest mnich wiecznym związany milczeniem;

Jest w Drajburgu, w tajemnym, ciemnym lochu

[podziemnym,

Mniszka drżąca przed słońca promieniem.

Ten pustelnik ponury, jak milezące wkrąg góry,
Ta jak noc, pokutnica posępna:
To jest Baron Smajlhomu, mściciel krzywdy i sromu—
To jest jego małżonka występna.

LENORA.

BALLADA

Z BÜRGERA.

Z ciężkich snów, o bladym ranku,
Lenora rwie się i płacze:
„O! Zbigniewie! o! kochanku!
Kiedyż cię, kiedy zobaczę?“ —
On z potęgą króla Jana,
Bronił Wiedni od Sułtana,
Ona w ciągłej boleści,
Bo ni listu, ni wieści.

Długo polski miecz zwycięzki
Strach w pohnaćznych tłumach szerzył,
Aż ciężkimi złąkły klęski,
Bisurmanin mir uderzył.

Całe wojsko z brzękiem, dźwiękiem,
Z hukiem kotłów, broni szczękiem,
W laurach, z bitew pogromu,
Wraca spocząć do domu.

I na drogi, na rozłogi,
Z wiosek, z miasta, z okolice,
Lud naprzeciw wybiegł mnogi,
Dzieci, starce, i dziewice.
Tu rodzina, tu drużyna
Wita brata, ojca, syna;
Lenora tylko jedna,
Niepowitana biedna.

Bieży szukać wpośród szyków:
Lecz cię nie ma, o! Zbigniewie!
Bieży pytać wojowników:
„Gdzie mój Zbigniew?” — żaden nie wie.
Aż gdy przeszło wojsko całe,
Ona tłukąc piersi białe,
Łzami zalana, zbladła,
Z żalu na ziemię padła.

Widząc to matka przybieży:
„Ach! córko! co ci się dzieje?” —
Żałości w dłonie uderzy,
I oko łzami zaleje. —
— „Matko! matko! gdzież mój luby?
Próżne modły! prózne śluby!

On zginął! Matko droga!
Ach! nie ma, nie ma Boga!“—

— „Stój! stój! nieszczęsna! — O! Boże!
Błuznierczěj przebacz żałości! —
Proś Boga, On cię wspomóże,
On ojciec pełen litości.“ —
— „Cóż On mi zrobił dobrego?
O cóż mam prosić u niego?
On się światem nie trudzi,
Śmieje się z płaczu ludzi.“ —

— „Porzuć ten zbrodniczy lament.
Biada! kto Bogu złorzeczy.
Weź Przenajświętszy Sakrament,
On cię z szaleństwa uleczy.“ —
— „Daremnie, matko! daremnie!
Precz twe namowy ode mnie!
Sakrament mąk nie skróci,
Umarłych nie ocuci.“ —

— „Lecz zkądże pewność, jeżeli
Zbigniew nad brzegiem Dunaju,
Z inną już łoża nie dzieli,
Niepomny ciebie i kraju? —
Córko! posłuchaj co radzę,
Niech żal ustąpi zniewadze;
Zapomnij go, a w Niebie
Bóg się pomści za ciebie.“ —

— „On rycerz! zdradzić nie może
Ani kochanki, ni kraju!—
W grobie on chyba ma łożę,
Albo gdzie na dnie Dunaju.
Tam chyba znajdę wesele,
Gdy z nim to łożę podzielę.
Lecz cóż mi pacierz nada?—
O! biada mi! o! biada!“ —

--- „O! Boże! Boże litości!
Nie racz jej karać w twym gniewie;
Ona dziś w zbytku żalości
Sama rzeczonych słów nie wie!—
Córko! znoś ziemskie cierpienie,
Pomnij na Boga, zbawienie!
Tam wiecznej chwały wieniec,
Tam wieczny oblubieniec!“ —

— „O! matko! cóż mi zbawienie?
O! matko! cóż mi jest piekło?—
Z nim dla mnie tylko zbawienie,
Bez niego wszędzie mi piekło!—
Zbigniewie! byle przy tobie,
Niebo dla mnie w zimnym grobie,
Niebo w piekle; bez ciebie,
Piekło mi nawet w Niebie!“ —

Tak ogniem dzikięj rozpaczy
Paląc się, Bogu złorzeczy:

Prósb nie słucha, rad nie baczy,
Targa włosy, pierś kaleczy,
I ręce łamie bez końca;
Od samego wschodu słońca,
A ż do późnego mroku,
Jęk w ustach, łza na oku.

Noc była—nagle po błoniu
Zahuczał tentent podkowy,
I rycerz na czarnym koniu,
Wbiegł na dziedziniec zamkowy.
Zskoczył z konia, szabla szezękla,
Rumak parsknął, klamka brzękla,
Przeze drzwi głos surowy,
Z temi się przedarł słowy:

— „Ha! Lenoro! jak się miewasz?
Jak myślisz o mnie po wojnie?
Śmiejesz się, czy łzy wylewasz?
Czuwasz-li, czy śpisz spokojnie?“—
— „Tyż to! Zbigniew! Czy nie we śnie?
Zkąd powracasz tak niewcześnie?
Dawno ciebie czekałam,
Nie spałam i płakałam!“—

— „My tylko jeździm z północy!—
Późnom się wybrał od siebie;

Leciałem co koń miał mocy,
A przyjechałem po ciebie.“—
—„Co? po mnie? dziś? o tój porze?—
Zimny wiatr świszcze na dworze.
Do mnie! do mnie, kochanku!
Poczekajmy poranku.“—

—„Nie mogę; nie, moja droga!
Nie dbaj na zimno, na ciemno;
Koń parska, brzęczy ostroga,
Muszę jechać—siadaj ze mną!
Siadaj ze mną! dziś przededniem
Musimy stanąć pod Wiedniem.
Nie zwłócz chwili daremno,
Dziewczyno! siadaj ze mną!“—

—„Czyż to podobna do wiary,
Sto mil dziś ubiedz, mój miły?—
Słyszysz! jeszcze brzmią zegary,
Co jedénastą wybiły.“—
—„Nie to! nie to!—księżyc świeci,
Nocny jeździec prędko leci!
Nim ranne błysnie zorze,
Staniesz na moim dworze.“—

—„Gdzież twój dwór?“—„O! ztąd daleko!
Bez próżnych wystaw, bez pychy;

W zieloném polu, nad rzeką,
Ciasny, posępny — lecz cichy. —
— „Będziez tam miejsce przynamnie?” —
— „Dosyć dla ciebie i dla mnie!
Śpiesz się! droga daleka,
Tłum gości na nas czeka.” —

Niepewną, bladą i drżącą,
Zbigniew na ganek prowadził,
I w pół niechęcą, w pół chęcią,
Przy sobie na koń posadził.
A wiatr szumi, gwiazdy świecą,
Oni lecą, oni lecą;
Coraz dalej z pod stopy
Grzmiące tętnią galopy.

Jak mgła nikną, z każdój strony,
Łąki, pola, wsie i grody;
Leci rumak rozogniony,
Wprost przez lasy, wpływ przez wody.
— „Ha! drżysz? — księżyc świeci blado!
O! umarli prędko jadą! —
Nie strach umarłych tobie?” —
— „Wieczny im pokój w grobie!” —

Cóż to tam słychać za jęki,
I czarne kruki łopocą?
To śpiew śmierci, dzwonów brzęki! —
Kogóż to chcą grzebać nocą? —

Niosą trunę, koło truny
Blade lampy i całuny;
Przodem, czarno ubrani,
Pieją smutnie kapłani.

— „Dość tych jęków, przyjaciele!
Później ciało złożcie w grobie;
Teraz do mnie, na wesele!
Młodą żonę wiozę sobie.
Za mną, za mną! wszyscy wkoło,
Zanóćcie mi pieśń wesołą;
Księżę! mów słowo Boże,
Żegnaj małżeńskie łożę!“ —

Rzekł Zbiguiew, i na te słowa
Wszystko znikło, wszystko ścichło,
Cała tłuszcza pogrzebowa
Tuż, tuż za nim śpieszy rychło.
A wiatr szumi, gwiazdy świecą,
Oni lecą, oni lecą;
Coraz dalej z pod stopy
Grzmiące tętnią galopy.

Jako woda, po nad niemi
W tył się zdaje płyną chmury;
Tak przed niemi, tak pod niemi,
Nikną pola, lasy, góry.
„Ha! drzysz?— księżyc świeci blado!
O! umarli prędko jada!—

Nie strach umarłych tobie?—
— „Wieczny im pokój w grobie!“—

— Patrz tam, patrz! na górze, w lasku.
W długie się wiążąc łańcuchy,
Przy mdławym księżycu blasku,
We mgle ciche tańczą duchy,
„Do mnie, do mnie, przyjaciele!
Do mnie, do mnie, na wesele!
Tańczcie wszyscy wokoło,
Zanóćcie pieśń wesołą!“—

I wnet z hukiem, i wnet z szumem,
Z jakim w puszczy wiatr szeleszcze,
Za rycerzem lecąc tłumem,
W dłoń posłuszna zgraja pleszcze.
A wiatr szumi, gwiazdy świecą,
Oni lecą, oni lecą;
Coraz dalój z pod stopy
Grzmiące tętnią galopy.

Wkoło nich, w świetle księżycu,
Nikną pola, góry, drzewa.
Tuli się drżąca dziewica,
Do zimnej piersi Zbigniewa.
— „Ha! drzysz?— księżyc świeci blado!
O! umarli prędko jadą!—
Nie strach umarłych tobie?—
— „Ach! daj im pokój w grobie.“—

— „Koniu mój, koniu! kur pieje,
I rosa błyszczy po błoniu;
Czuję, już ranny wiatr wieje.
Prędzěj, prędzěj, prędzěj koniu!“ —
Koń się wzmaga, nozdrzem pryska.
Nogą w niebo piasek ciska.
— „Ha! ot i dom Lenoro!
Umarli jeżdżą skoro.“ —

Wnet widać żelazną bramę,
Któręj twarde rygle strzegły;
Rycerz dotknął, pękły same,
Drzwi się na oścież rozbiegły.
Przebóg! cóż to za zjawienie?
Wkoło krzyże a kamienie!
A mdławy blask miesiąca
O groby się roztrąca.

Rumak ogniem parsknął z garła,
Wspiał się, zarżał, jak grom ryknął.
Ziemia się pod nim rozwarła.
Ogień buchnął, rumak zniknął.
Nagle słychać szelest głuchy.
Z grobów, z góry, tłumne duchy
Wstają, lecą i płyną; —
Cóż ty teraz, dziewczyno?

W dłoni tuląc blade czoło,
Na kochanka piersi mdleje;

A chór duchów tańcząc wkoło,
Tę jej zciha piosnkę pieje:
„Cierp, choć z żalu serce pęka.
Straszna BOGA zemsty ręka!
Tu zwłoki zginać muszą—
Boże! miej wzgląd nad duszą!”

PRZYPISEK DO BALLADY LENORA.

Treść poprzedzającej ballady wziął autor z powieści gminnej, upowszechnionej w Niemczech, a z małą co do szczegółów różnicą, i naszemu pospólstwu znajomej. W obu narodach musiała być kiedyś wierszem ułożoną, co zdają się potwierdzać małe z niej dotąd pozostałe ułamki, co dziwna, że też same w obu językach. I tak np. u nas, między innymi są cztery następujące wiersze:

„*Miesiąc świeci,
Martwiec leci,
Sukienczka szach, szach,
Panienczko, czy nie strach!*“

a które zupełnie prawie odpowiadają niemieckim:

„*Der Mond, der scheint so helle,
Die Todten reiten so schnelle,
Graut Liebchen auch dir nicht!*“

Słowa te podały Bürgerowi pierwszą myśl jego ballady. Późno raz bowiem przy blasku księżyca powracając do domu, napotkał śpiewającą je kobietę; a zastanowiony piękną ich prostotą, wypytawszy się o resztę powieści, napisał z niej w 1772 r. Lenorę, która, przez znakomitego krytyka Schlegela, królową ballad nazwana, obudzając licznych naśladowców, nadała stały charakter balladom niemieckim, który po dziś dzień noszą.

MYŚLIWIEC.

BALLADA

Z BÜRGERA.

Pan lasów bije w róg grzmiący,
„Dalej konno! dalej pieszo!“
Rwie się, hasa rumak rzący,
Wkoło zbrojno strzelee śpieszą:
Pan siadł—kopnął rumak skory,
Przez ciernie, ściernie i bory,

Ledwie pierwszy świt niedzielny
Złotem oblał krzyż kościoła,
Świętych dzwonów brzęk weselny
Na modlitwę wiernych woła:

Zdała wdzięczne brzmi śpiewanie.
Biegna tłumnie chrześcijanie.

Przez rozdroże szybko, zwawo,
Hasa na myśliwców przedzie. —
Lecz patrz! lecz patrz! w lewo, w prawo,
I ztąd, i ztąd rycerz jedzie.
Koń prawego jak śnieg biały,
Lewego jak żar rozłtały.

Kto rycerz prawy? kto lewy?
Domyślam się coś, lecz nie wiem.
W czarnej zbroi jechał Lewy,
Wzrok piekielnym tłał żarzewiem;
Prawy w śnieżystym odzieniu,
Promień wiosny niósł w spojrzeniu.

„Witam ciebie! witam ciebie!“
Rzekł pan zdjawszy czapkę z głowy —
„Ni na ziemi, ni na niebie,
Nie ma zabawy nad łowy!“ —
Rzekł, spiął konia, i w dłoń klaszcze.
I w róg trąbi, i psy głaszcze.

Na to Prawy rzekł do niego:
„Źle się zgadza trąba w boru
Z brzękiem dzwonów, z śpiewem choru!
Nie spolujesz nic dobrego:

Wierz mi, wróć się, porzuć łowy,
I złych aniołów namowy! —

— „Poluj, poluj pośród boru,
Przerwał Lewy — „poluj dłużej!
Cóż ci dzwony? co bek choru?
Trąba za wtór im posłuży!
Na mnie się zdaj, o! młodzieńcze!
Bezpieczeństwo ja ci ręczę.“ —

— „Oto mowa godna męża!
Dobrej radzie chęć ma sprzyja.
Komu straszny szczepek oręza,
Niech trzepie *Ave Maria*.
Marne groźby! próżne gniewy!
Dalej, dalej, mężu Lewy!“ —

I hop, hop, hop, rumak skory,
Hasa, leci, wśród trąb wrzawy,
Z dolin w doły, z gór na góry.
Obok rycerz Lewy, Prawy.
Wtém, jak śnieg biały, z gaika
Na pole jeleni wymyka.

„Na tu! na tu! dalej dzieci!
Prędzej konny, prędzej pieszy!“ —
Pan na czele jak wiatr leci,
Za nim strzelców orszak śpieszy;
I z smycz lotne mknęły charty.
Hasa rumak kolecem sparty.

Hasa, leci w chmurach pyłu:
Patrzaj, patrzaj! w jednej chwili,
Strzelce z przodu, strzelce z tyłu,
W koło zwierza oskoczyli.
Koń pod jednym na kiel chwyta,
Jeździec zleciał pod kopyta.

— „Mniejsza! krzyknął pan rozżarty,
Bierz go djabeł! niech się wali!
Na tu! na tu! heżha charty!
Na przód, na przód! dalej, dalej!“ —
Hasa, leci rumak żwawy,
Obok rycerz Lewy, Prawy.

Zwierz na zbożne pędzi łany,
Złotym pływające kłosem.
Patrz! wieśniak łzami zalany,
Błagającym woła głosem:
„Panie! miej litość! przez Nieba!
Nie wytlaczaj biednym chleba!“ —

Skoczył Prawy i ostrzega:
— „Wróć się, wróć się, mężu młody!“ —
Lecz Lewy umysł podżega
Do zabawy z cudzej szkody.
Pan pogardził radą zdrową,
Za Lewego szedł namową.

„Co? — krzyknął gniewem rozżarty,
Śmiesz mię spędzać z twego pola?...

Precz ztąd! lub wnet spuszczeę charty.
Towarzysze! za mną! hola!
Dalej za mną! — Tak pan wrzasnął,
I z harapa na wiatr klasnął.

„Na tu! na tu! heco! heco!“
Warezą rogi, brzęczą bronie;
Przez płot sadzą, w ogród lecą,
Pan i strzelce, psy i konie:
Trąbią, lecą przez zasiewy,
Obok rycerz Prawy, Lewy.

Przed blizkiemi jeleni sfory
Lekką stopą wiatr wyściga;
Z dolin w doły, z gór na góry —
Tuż zziajana psiarnia ściga.
Zwierz chcąc chytrze ujsć od szkody,
Wpadł i skrył się między trzody.

Lecz przez góry, lecz przez bory,
Lecz przez łąki i przez błonie,
W zdradzające zwierza tory,
Lecą strzelce, psy i konie. —
Pasterz padłszy na kolana,
Tak ze łzami błaga pana:

„Panie! cofnij twoje łowy,
Uzał się mojej biedoty!
Nie jednej tu krówka wdowy,
Nie jednej jagnie sieroty;

A ich wszystkiem, jest to jedno.
Ocal, panie, trzodkę biedną!“ —

Skoczył Prawy i ostrzega:
— „Wróc się, wróc się, mężu młody!“ —
Lecz Lewy umysł podzega
Do zabawy z cudzej szkody,
Pan pogardził radą zdrową,
Za Lewego szedł namową.

— „Precz mi z prośbą! precz mi z radą!
Ty mi dawać śmiesz nauki? —
Precz! lub wnet ciebie i stado
Psy me rozerwą na sztuki!
Dalej za mną!“ — Tak pan wrzasnął,
I z harapa na wiatr klasnął.

„Na tu! na tu! heco! heco!“
Za przykładem, za rozkazem,
Strzelce, konie, i psy lecą,
Walą zębem i żelazem.
Rzną się, warczą charty wściekłe,
Szarpiąc sztuki krwią ociekłe.

Ledwie wymknął z pośród tłuszczy,
Coraz słabszym jeleń lotem;
Krwiał zbryzgany, zlany potem,
Znów się chroni w gęstwach puszczy:
Śród drzew miga, w głębi znika,
Wpadł do chatki pustelnika.

Szybko, zwawo, z biczów klaskiem,
Z hukiem i tententem koni,
Z brzękiem, dźwiękiem i trąb wrzaskiem,
Zjadła psiarnia zwierza goni.—
A wtem z chatki, w szacie białej,
Wyszedł starzec osiwiwały.

„Niebaczny! szanuj te progi,
Nie leć w przepaść zgubnej matni!
Jeszcze moment do przestrogi,
Jeden tylko—i ostatni!—
Wróć się, nie gardź radą zdrową,
Miecz zemsty nad twoją głową!“—

Troskliwie Prawy nalega:
—„Wróć się, wróć się, mężu młody!“—
Lecz Lewy umysł podzega
Do zabawy z cudzej szkody.
Pan pogardził radą zdrową,
Za Lewego szedł namową,

—„Rad mi żadnych nie potrzeba,
Groźba mię nie przejmie trwogą;
Choćbyś był z trzeciego Nieba,
Gardzę tobą i przestrogą!—
Próżne słowa! marne gniewy!
Dalej, dalej, mężu Lewy!“—

W dłonie klasnął, w róg uderzył —
„Dalej, dalej!“— konia spina. —

Wtém—o! dziwy! któżby wierzył?
Starzec, chatka, psy, drużyna,
Wszystko razem w oka mgnieniu
Znikło, jak sen przy ocknieniu.

Przerażony, w martwój eiszy,
Chee zatrąbić—trąba niema;
Krzyknął—sam siebie nie słyszy;
Tchu ni głosu w piersiach nie ma.
Spójrzy—wkoło mgłą okryty;
Chee uciekać—koń jak wryty.

A wtém z dołu, z góry, z boków,
Mgła się zgęszcza, ściemnia, chmurzy:
Pod nim zda się szum potoków,
Nad nim zda się szelest burzy;
Aż ze świstem wichru z chmury,
Głos, jak piorun, zabrzmiał z góry:

„Bezbożny! coś w bliźnim brata,
Stwórcy nie uczcił w stworzeniu;
Zaslepiony pychą świata!
Poznaj w wiecznym zatraceniu,
Ze Bóg wszystkich stwórcykiem,
Wszystkich ojcem—i mścicielem.

„Uciekaj przez wieków wieki,
Szczwany od czartów i piekła,
Dla przykładu w czas daleki,
Wszystkim, których chuć zaciekła,

Nie znając ni praw, ni granic,
Ludzi i Boga ma za nie!“ —

Głos zmilkł — a wtém z trzaskiem gromów,
Ziemia wstrząsa się, rozpada,
I z bezdennych jój rozłomów
Leci czarnych psów gromada,
I z ognistym biczem w dłoni,
Czarny jeździec do pogoni.

„Na tu! na tu! heco! heco!“
Klaskiem, wrzaskiem, huczy puszcza;
Gończe skomla, charty lecą,
Jeździec głosem je podusza.
Tuż, tuż, z tyłu — już dopada —
„Uchodź, uchodź! albo biada!“

Pan się porwał, spał rumaka,
Rumak skoczył — i w podskoku
Zawisł w górze — i w obłoku,
Pędem wichru, lotem ptaka,
Leci, leci — a tuż wściekła,
Ślad w ślad za nim, psiarnia piekła.

Już, już, zda się, już go chwyta —
Z paszcz dym bucha, ogień świeci;
Już chce szarpać — wtém z kopyta
Koń się pomknie, i znów leci —
I nie stanie w pędzie wiecznym,
Aż na sądzie ostatecznym.

Ztąd ten hałas-dzikiej tłuszczy.
Który to w nocy, to we dnie.
Brzmiąc po skałach Czarnej Puszczy,
Przeraża strony sąsiednie.—
Nie wierzysz? spytaj! te dziwy
Każdy rad stwierdzi myśliwy.

PRZYPISEK DO BALLADY MYŚLIWIEC.

Ballada ta, nosząca w oryginale tytuł: *Der wilde Jäger* (dziki strzelec), należy do najslawniejszych utworów Bürgera. Podanie znajome w Niemczech, na którym się ono opiera, jest następujące. Niejaki Falkenburg, dozorca lasów królewskich, całkiem oddany polowaniu, tak przytem był rozwięzły i srogi, że urągając się z religijnych obrządków, w niedziele, lub inne dni poświęcone modlitwom, wyjeżdżał zwykle na łowy, najdzikszych nad swymi poddanymi dopuszczając się okrucieństw. Po jego śmierci lud przyjął powszechne mniemanie, że za karę, przez zbytnią chęć do łowów popełnionych zbrodni, Bóg go, potępił na wieczne polowanie po śmierci. Częstość w głębi ciemnych lasów w Niemczech, a zwłaszcza w pasmie gór, *Czarnym Lasem*, lub *Czarną Puszcza* (Schwarzwald) zwanych, dają się słyszeć jakieś hałasy. Pochodzą one, jak mi jeden uczony niemiecki naturalista powiadał, z krzyku ptastwa zwanego *Scelopax Galinago*, które się tłumnie po tych lasach znajduje; gmin jednak pragnie w nich rozróżnić znany głos Falkenburga, szczekanie psów i trąb dźwięki, i ztąd słyszany szelst łowami Dzikiego Strzelca nazywa.

Razu pewnego, młody jeden myśliwy, zbłąkany nocą sród lasu, usłyszał blisko siebie ten hałas, a chcąc doświadczyć

prawdy, „*Glück zu! Falkenburg!*“ zawołał! — „Dzięki ci!“ odpowiedział głos gruby — „za dobre życzenie, podzielmy się zdobyczą;“ — i kawał przegniłej zwierzyny upadł pod nogi zuchwałego młodzieńca, który wkrótce utracił dwa najlepsze konie, i nigdy z doznanego przestרחu przyjść do siebie nie mógł. Powieść ta, jakkolwiek od różnych różnie powtarzana, jest przedmiotem wiary gminu w całych prawie Niemczech.

GRAF HABSBURG.

BALLADA

Z SZYLLERA.

W Akwisgranie, w zamkowych komnatach,
Namaszczalna cesarska biesiada.

Cesarz Rudolf, w obrzędnych swych szatach,
Tron wzniesiony u stołu zasiada.

F~~o~~graf Reński na złocie mu kraje.

Puchar z winem Król Czeski podaje;

Wszyscy siedmiu wyborcy cesarza,

Jak wkrąg słońca chór planet niebieskich,

W złotych mitrach, w purpurach królewskich,

Stoją kołem przy tronie mocarza.

I z dziedziców, z krużganków pałacu,
Z dźwiękiem muzyk, jak grom nieprzerwany,
Okrzyk tłumów skupionych na placu
Bije echem o okna i ściany.

Bo przeminął czas kłesk i swawoli,
Pychy możnych, a ludu niewoli,
Pan i sędzia jest znowu na ziemi.
Nie śmie szaleć bezkarnie gwałt zbrojny,
Nie drży słaby, zaufał spokojny,
Że jest moc i opieka nad niemi.

Cesarz puhar do góry wznosił złoty,
I powłócząc wkrąg okiem radości:
„Nie tu nie brak do naszej ochoty,
„Wpółśród takich i uczyty, i gości.
„Lecz nie widzę śpiewaka-Minstrela.
„Pieśń natchniona jest duszą wesela,
„I duch wyższy na serce z niej wionie.
„Cześć mą dla niej wysałem już z mlekiem,
„A com czuł będąc prostym człowiekiem,
„Czuć i uczyć potrafię na tronie.“—

Ledwie skończył—z za tłumu rycerzy
Wyszedł mąż—z białym włosem na skroni,
W długiej, nakształt zakonnej odzieży,
Złotą arfę trzymając we dłoni.
„W strónach arfy jest cały świat ducha,
„W miarę tego, kto śpiewa, lub słuca,
„Jak pieśń wieszczą pojmuje, lub stwarza.
„Wiem, co duszę podnosi i krzepi,
„Lecz ty, Panie, sam powiedz najlepšíj,
„Co jest godne słuchacza-cesarza.“—

Na to Cesarz z łagodnym wejrzeniem:
„O! na taką się pychę nie wazę.

„Wyższy Pan rządzi wieszczą natchnieniem,
„Co mu samo i cel swój pokaże.

„Bo jak wieher na morskim rozlewie

„Zkąd i dokąd ma zawiąć, nikt nie wie,

„Jako woda z swych źródeł podziemnych:

„Tak pieśń wieszczą wynika mu z duszy,

„Aż ją porwie za sobą i wzruszy

„Czucia śpiące w jej głębiach tajemnych.“—

Z oczu starca jak światło wypadło,

I stron dźwięki zmieszały się z słowy:

„Przez Szwajcarską dolinę zapadłą,

„Możny Graf jechał konno na łowy.

Dzielny koń, niecierpliwym poskokiem,

„Sadził wczwał po nad wzdętym potokiem,

„Na dźwięk trąbki już brzmiącej śród boru.

„Wtém głos dzwonka się rozdał rozłogiem—

„Był to kapłan, co szedł z Panem Bogiem,

„Poprzedzony chłopięciem od choru.

„Rycerz z wiarą i czią chrześcijańską,

„Zskoczył z konia i ugiął kolano,

„Wielbiąc Ciało i świętą Krew Pańską,

„Dla zbawienia naszego wylaną.—

„Ksiądz tymczasem nad brzegiem strumienia,

„Zrzucał obów i zwierzechnie odzienia,

„By w bród łatwiej mógł na brzeg przejść drugi.

„Bo most woda zerwała przed sobą,

„A tam grzesznik złożony chorobą

„Czekał jego ostatniej posługi.

„A wtém rycerz przystąpił ku niemu,
„Sam mu konia za cugle prowadzi,
„Zmusza na nim nieść pomoc choremu,
„Trzyma strzemię, na siodło go sadzi,
„I sam pieszo zapuszcza się dalej. —
„Kapłan przebył bezpiecznie nurt fali,
„Błogosławiąc rycerza po drodze.
„I nazajutrz, o wschodzie jutrzeńki,
„Do bram zamku, z winnemi podziękami,
„Odwiódł konia, trzymając za wodze.

„Ale rycerz powitał go słowy:
— „„Strzeż mię Boże! bym kiedy dla siebie
„„Użył konia na boje lub łowy,
„„Co niósł Zbawcę i Pana na Niebie.
„„Gdy być twoją własnością nie może,
„„Niech zostanie przy waszym klasztorze,
„„Na pobożne zakonu posługi.
„„Bogu memu w ofierze go składam,
„„Bo od Niego, co tylko posiadam,
„„Dzierżę z łaski—nie z własnej zasługi.““ —

— „Niechże Pan, który widzi w skrytości,
„Dar twój tobie odpłaci w swój porze!
„Niech cię wślawi i tu, i w wieczności,
„Jakoś ty mu hołd oddał w pokorze.
„Tyś Graf możny w szwajcarskiej krainie,
„Dom twój z cnót i z hojności w niej słynie,
„Sześć cór kwitnie w nim pięknych i skromnych.

„Niechże każda — rzekł kapłan w natchnieniu —
„Wniesie berło twojemu plemieniu,
„Ród twój wsławi u wieków potomnych!“ —

Cesarz słuchał i dumał głęboko.

Jakby dawne obudzał wspomnienie.

Wtém na starca iskrzące wznosił oko,

I z ócz jego słów pojał znaczenie.

Był to kapłan spotkany przed laty —

Cesarz krajem obrzędnej swój szaty

Zakrył śpiesznie łez rzewnych potoki. —

Lecz pojęto w orszaku cesarskim,

Że to on był tym Grafem Szwajcarskim,

I niebieskie wielbiono wyroki.

ŚWIETLANA.

BALLADA

Z ZUKOWSKIEGO.

Raz ciekawe przyszłej doli,
Różnemi kabały,
Dziewice wilją Trzech Króli ¹⁾,
Przyszłość zgadywały.
To policzoném ziarenkiem
Gołąbki karmiły ²⁾;
Biegły słuhać pod okienkiem ³⁾,
Białą wosk topiły ⁴⁾.
To w kielich wodą nalany,
Kładły pierścień pozłacany,
Każda z prawej ręki ⁵⁾;
Nad nim dzierząc obrus biały,
Wszystkie razem w takt śpiewały
Godowe piosenki. —

Noc już była—księżyc błady
 Świeci przez tumany.
 Wtém najweselsza z gromady
 Rzecz do Świetlany.
 „Siostro! masz-li wiecznie łzami
 Zlewać twarz rumianą?
 Tańcuj z nami, śpiewaj z nami,
 Kochana Świetlano!
 Wróci wkrótce twój młodzieniec,
 Wij mu z róży, z ruty wieniec,
 Złoty pierścień z ręki
 Rzuć do czary, potem w koło
 Skacząc z nami, nuć wesoło
 Godowe piosenki!“—

— „Lube siostry! nie zmuszajcie
 Śpiewać mię ni skakać;
 Wy szczęśliwe, wy śpiewajcie,
 Mnie pozwólcie płakać!
 Rok już minął, żadnej wieści
 O miłego bycie;
 We łzach gorzkich i boleści
 Młode wlokę życie.
 Zginał-li?—czy mię niepomny,
 W obcej ziemi, wiarołomny,
 Z łez mych czyni śmiechy?—
 Ja się modłę, ja łzy leję;
 Utul boleść, wróc nadzieję,
 Aniele pociechy!“—

Wtém patrz! za starszych poradą,
Niosą stół dziewice;
Na nim dwa talerze kładą,
Pałą cztery świece.
Stawią zwierciadło na stole,
Biało podesłane;
Piszą koło, i w tём kole
Sadzają Świetlanę.
„Siedz, i nie się nie bój wcale:
W czystym zwierciadła kryształe
Obaczysz kochanka.
Gdy z wieży północ uderzy,
Siądzie z tobą do wieczery,
Zabawi do ranka.“—

Już w izbie nie ma nikogo.
Naprzeciw zwierciadła,
Drżąca, blada, z tajną trwogą,
Dziewica usiadła.
Na najmniejszy szelest trzyma
Wytężone ucho;
Nie śmie w tył rzucić oczyma—
Wkoło ciemno, głucho.
Płomyk tylko świec nie jaśnie
To wybuchnie, to przygaśnie,
Zwęża się, to szerzy.
Wtém wiatr świsnął po dolinie,
Smutnie świerknął świerszcz w szczelinie,
Północ bije z wieży.—

Północ!—Nagle w martwej ciszy,
Strwożona dziewica,
Lekki klamki brzęk usłyszysz.
Pot wybił na lica,
Srogie zimno ją przypadło,
Pierś się trwogą wzdyma—
Któż to patrzy we zwierciadło
Bystremi oczyma?—
W zbladłych ustach mdleje mowa;
A wtem ciche, miłe słowa
Głos wynówił znany:
„Po co bojaźń? po co trwoga?
Tom ja z tobą, moja droga!
Płacz twój wysłuchany!“—

Obejrzy się—ku niej miły
Wyciągając ręce:
„Łzy twe Niebo umodliły,
Koniec wspólnej męce! —
Śpiesz Świetlano! już w kościele
Kapłan na nas czeka;
Śpiesz, kochanko, na wesele,
Droga nicdaleka!“—
Za odpowiedź wzrok wzajemny.
Idą przez dziedziniec ciemny,
Na szeroki ganek;
Gdzie dwa konie niecierpliwe,
Brzęcząc cuglem, jeżąc grzywę,
Czekają u sanek.

Siedli;—konie w szybkim biegu
Zda się nie tkną ziemi;
Z pod kopytów chmura śniegu
Wzniosła się nad niemi.

Ciemno wkoło, pusto wkoło.
Step w oczach Świetlany:

I księżycą blade czoło
Omglify tumany.—

Zimny strach jej serce chwyta:
Z trwogą dziewica zapyta:

„Blizkiż koniec jazdy?“—

Ni pół słowa odpowiedzi:

Miły cichy. smutny siedzi.

Wzrok wlepiony w gwiazdy.—

Konie lecą wśród bezdroży.

Po górach. po błoniach.

Patrz! samotny kościół Boży

Stoi na ustroniu.

Wicher drzwi otworzył z trzaskiem.

I widać w kościele,

Ółtarz rześnym płonie blaskiem,

Wkoło ludu wiele.

W środku katafalk ubrany.

I słyhać, z jękiem zmieszany,

Smutny śpiew pogrzebu.—

Strach dziewicę zdjął na nowo:

Konie mimo—On surowo

Pogląda ku niebu.—

Nagle świsnął wiatr z za chmury,
 Śnieg zrywając z ziemi;
Czarny kruk szumnemi pióry
 Wije się nad niemi.
Coraz bliżej, coraz niżej—
 Polekane konie.
Coraz dalej, coraz chyżej,
 Lecą wprost przez błonie—
W mrocznej dali ogień błyska.
I wnet widać, chatka niska
 Kryje się w ustroni.
Coraz ciemniej gwiazdy świecą,
Coraz prędzej konie lecą.
 Lecą prosto do niej.

Przyleciały wnet przed ganek—
 I ach!— cud niezwykły! —
Konie, sanki i kochanek
 W oka mgnieniu znikły. —
Sama jedna w pośród nocy,
 Sama w pośród wiei:
Zkąd ratunku, zkąd pomocy.
 Zkąd czekać nadziei?—
Wracać?— śnieg już zawiął ślady. —
W izbie błyska płomyk blady,
 Tam więc wsparcia szuka.
Uzbrojona znakiem krzyża,
Powoli się ku drzwiom zbliża.
 Zlekka w nie zapuka.

Z cichym szmerem się otwarły.

Lecz trwoga po trwogach!

W środku trumna, w niej umarły,

Krzyż i lampa w nogach.—

Wejść czy nie wejść? stojąc w progu

Dziewica się chwieje;

Weszła wreście, ufne w Bogu

Złożywszy nadzieje.

We łzach cała, drżąca, zbladła,

Z trwogą na kolana padła

W pełnej serca wierze;

Potem wzięwszy krzyż do ręki,

Poszła, siadła przy okienku,

Kończyć swe pacierze.

Księżyc zaszedł, brzask nie dnieje,

W izbie lampa blada,

Coraz słabsze światło sieje,

Coraz głębiej spada.

Wszędzie ciemno, pusto, głucho,

Wszystko w martwej ciszy;

Przebóg! lecz dziewicy ucho

Jakiż szelest słyszy?

Spójrzy trwożna—ku niej z góry,

Gołabeczek śnieżno-pióry

Przylatuje zcicha;

Przyleciał, siadł na ramieniu,

W jasnym się jego spojrzeniu

Nadzieja uśmiecha.

Ciemno znowu, głucho znowu—
 Lecz ach!—czy się zdaje,
 Czy z pod czarnego pokrowu
 Umarły powstaje?—
 Powstał nagle, z mar zeskoczy,
 Błede podniósł czoło,
 Wpół otwarte, błędne oczy
 Rzucając wokoło.
 Pierś się zdaje znów oddychać,
 Twarz czerwienieć; w ustach słychać
 Jęk niezrozumiały;
 Ku dziewicy się przysuwa—
 Ach! cóż ona?—drży—lecz czuwa
 Gołąbeczek biały.

Z szumem szybki lot roztoczył
 Stróż dziewicy biednej,
 Umarłemu na pierś wskoczył—
 I wnet, w chwili jednej,
 Gasną oczy, blednie lice,
 W tył się cofnął krokiem,
 I zaiskrzył na dziewicę
 Pełném grozy okiem.
 I padł na wznak.—Lecz, dla Boga!
 Co za rozpacz, co za trwoga
 Nieszczęsną przejęła!
 Na jego skroni jęć wianek!
 Umarły, to jęć kochanek!—
 Ach!—wtém się ocknęła.

Gdzież?—śród izby, u zwierciadła,
Za stołem wieczerzy.

Patrzy wkoło, zląkła, zbladła,
Widzi i nie wierzy.

A już trzykroć świt różany
Kogut wita pieniem;

Wszystko jasne!... myśl Świetlany
Mroczna snu widzeniem.

„Straszne widmo! cóż mi wieści?

W grobie-ż tylko kres boleści?

Z śmiercią-ż tylko śluby?—

Czy się Niebo płaczem wzruszy?—

Gdzieżeś, duszo mojej duszy!

Gdzieżeś, o! mój luby?“—

Wstała—piers jęj wzdyma trwoga—

Patrzy w dal Świetlana;

Z okien długa, długa droga

Widna, mgłą owiana.

Już się ranne słońce pali

Siejąc blask ukośny;

Wszystko cicho—nagle w dali

Brzęczy dzwonek głośny.

Po gościńcu, we mgłach śniegu,

Lecą konie w szybkim biegu,

Prosto przed jęj ganek;

Przyleciały wnet, i staną.

Gośc wysiada—patrz, Świetlano!

Kto gośc?—twój kochanek!

Cóż, dziewico? sen widziany

Złą ci wróżył dole?—

Patrz, twój miły! żadnej zmiany:

Też oczy sokole;

Tenże uśmiech, ten rumieniec,

Też słodkie rozmowy!... —

On to, on twój oblubieniec,

I żywy i zdrowy!—

Rozweselcież smutne czoła,

Otwierajcie drzwi kościoła,

Stańcie przed ołtarze!

Niechaj puhar wkrąg obiega,

Niech się z każdych ust rozlega:

„Chwała pięknej parze!“ —

PRZYPISKI DO BALLADY ŚWIETLANA.

1) Przesady i zwyczaje, na których się treść niniejszej ballady opiera, znajome powszechnie są i między naszym pospółstwem. Przeciąg czasu, między dniem pierwszym Bożego Narodzenia a świętém Trzech Królów zawarty, jest zwykle czasem, w którym młode wieśniaczki, przez rozmaite sposoby, pragną dociec, jak i kiedy za mąż pójść mają.— Między wielu innemi, dwa są celniejsze, które tu pokrótce przytoczymy.

Osoba chcąca się dowiedzieć przyszłości, siada w samotnej izbie o północy, pomiędzy dwoma, lub choćby przed jednym zwierciadłem, w które się bezprzestannie wpatrywać powinna: a czyja się w niem postać, jakoby przechodzącej przez izbę osoby, patrzącemu okaże, z tym go prędzej czy później niezawodne czeka małżeństwo.

Drugi sposób jest taki.— Wróżący powinien własną ręką nałożyć ogień, przyprawić i gotować przy nim wieczerzę, z trzech potraw, i samych tylko jarzyn składać się mającą. Poczém sam na dwie osoby nakrywszy do stołu, wychodzi na środek i woła: „Ty, co mi jesteś przeznaczony, lub przeznaczona, w małżeństwo, w Imię Ojca i Syna i Ducha Św. proszę cię na wieczerzę, Amen.“—Postać osoby przeznaczonej, jakkolwiekby natenczas dalekiej, nieznaniej lub jeszcze nieurodzonej, ukaże się przy stole, i obszedłszy go dokoła potrzykroć, znikną.— Wzywający niech się strzeże, aby na-

krywając do stołu, nie kładł noża ani widelca, gdyż te w ręku widziadła mogłyby stać się narzędziem zemsty i śmierci. Pomimo śmieszności tych przesądów, gmin, przynajmniej na Rusi i w Litwie, niezachwianą do nich przykłada wiarę.

2) Każda z młodych wieśniaczek, odliczywszy pewną ilość ziaren z jakiegobądź zboża, a szczególnie pszenicy, sypie je na podłogę, w jedną zmiecioną kupkę. Kupki te formują koło, w środku którego sadzą koguta, lub innego jakiego domowego ptaka, niekarmionego całą dobę i z zawiązanymi oczyma. Po zdjęciu zasłony, ptak z skwapliwością zaczyna jeść ziarna; gdy się nasyci, liczą pozostałe. Dziewczyna, której ziaren najmniej się zostanie, najpierwej ma pójść za mąż, i tak kolejają.

3) Z której strony wiatr szumi najbardziej, z tej niezawodnie do podsłuchującej przyjadą swaty.

4) Wosk lub cynę, po roztopieniu, wlewają do zimnej wody, z form, jakie w niej przybierze, rokując przyszłość dla tej, która je topiła na ogniu.

5) Po wrzuceniu pierścionków, śpiewają nad nimi rozmaite piosnki, po każdej strofie wyciągając jeden. Strofa poprzedzająca, staje się przepowiednią dla tej, czyj pierścionek wyjęto.

R Ó Ź A.

POWIEŚĆ

Z SOUTHEY'A.

I.

Witaj mi, córo wiosny! kwiatów jej królowo!
Strojna krasą jutrzeńki, czy bielą śniegową,
Równieś miła poety i sercu i oku!
Niechby inne powaby wzięwszy czas zazdrośny,
Uiebie tylko zostawił zdobić berło wiosny:
Jeszczeby wiosna warta zwać się *Różą roku!*

II.

Miło jest, pod rozkwitłym spoczywając krzewem,
Gdy wkoło chłodnym skrzydłem lekki wiatr powiewa,
Słuchać, jak pod zielonem utajony drzewem,
Słodką ci, jak twe wonie, słowik piosnkę śpiewa!

Chwała tym, co go tobie za kochanka dali!
Sam słowik chyba godnie wdzięk róży pochwali.

III.

Zbiegają się dziewice z koszykami w ręku.
Napawać się jej wonią, napatrzeć się wdzięku.
Pójdźcie do mnie, dziewice!—Po co ten rumieniec?—
Niech mi każda obieca kraśny upleść wieniec,
Lub dać kwiatek od piersi: ja wam na podziękę,
Albijońskiego barda powtórzę piosenkę.
A w niej powieść o róży: jak niezwykłym cudem,
Po raz pierwszy na ziemi, przed zdumionym ludem,
Płoniące się ku słońcu rozwinęła krasy.—
Bard ten biegły w podaniach, znał dawniejsze czasy,
Znał dawniejsze przygody: wiele ziem przebywał,
W nich usłyszał tę piosnkę, i kochance śpiewał.

IV.

Żyła w Betleem, Izraelskiej ziemi.
Dziewica sławna wdzięki anielskiemi,
Zillah ją zwano: a Judea cała,
Chwałał enót Zillah i piękności brzmiała.

Głos chwały neći, ciekawość zapala:
Liczni młodzieńcy zbiegali się zdala.
Cnota cześć budzi, miłość niecą wdzięki:
Liczni młodzieńcy pragnęli jej ręki.
Biedni młodzieńcy!—daremnie, daremnie!
Zillah was kochać nie może wzajemnie.

Zillah z enót tylko szukająca chluby,
 Bogu dziewicze poprzysięgła śluby!—
 Poszli młodzieńcy—a w ciężkiej tęsknocie,
 Płacząc na srogość, dziwili się enocie.

V.

Przyszedł z innymi Hamuel bogaty,
 Miał mnogie skarby, miał kosztowne szaty,
 Pragnął mieć Zillah.—Daremnie, daremnie!
 Zillah go kochać nie może wzajemnie.
 Srogość na twarzy, ponurość w źrenicy,
 Trwożyły serce nieśmiałej dziewicy. —
 Nie próżna trwoga, przecucia to wieszczce:
 Wzrok on miał dziki, duszę dzikszą jeszcze.
 I wnet rojona popchnęła go zawiść,
 Z miłości w rozpacz, z rozpacz w nienawiść.

VI.

Czemuż, niestety! obrażony w dumie,
 Człowiek się w zemście powściągnąć nie umie? —
 Hamuel zemstę poprzysięgł zbrodniczą,
 Oczernił Zillah, i chwałę dziewiczą. —
 O! biada temu, kto potwarze szerzy!
 O! hańba temu, kto potwarcom wierzy!
 Wierzono jednak: a Judea cała
 Czezonój wprzód Zillah obelgami brzmiała.—

Hamuel możny, sam w świetnym urzędzie,
Zakupił świadki, pouodził sędzie,
A ci bezbożni, skazali niegodnie,
Wzór niewinności, na karę za zbrodnie.

VII.

Był plac pod miastem, naprzeciw kościoła,
Żelazną kratą ogrodzon do koła.

Plac pełen zgrozy: gdzie przestępne głowy
Sprawiedliwości karał miecz surowy.

Tam, jak się zdało, od ludzi i Boga

Wzgardzoną Zillah, śmierć czekała sroga. —

Już wkoło słupa stos złożono suchy,

Już na tym stosie, twardemi łańcuchy

Niewinną Zillah przykuto do pala.

Już kat śmiertelną pochodnię zapala....

Ona spokojna—jakby ją wnet mieli

Na złotych skrzydłach w Niebo wznieść anieli —

W skromnym milczeniu dokoła powłoczy

Świtem już nieba śmiejące się oczy.

Widząc ten pokój, widząc blask spojrzenia,

Lud przestał wierzyć w prawdę przewinienia.

VIII.

Z innym uczuciem Hamuel stał blisko:

Zemsta go wiodła na to widowisko.

Nie długi tryumf!—bo wnet rozpacz wściekła,

Bo wnet zgryzota, poprzedniczka piekła,

W mściwe się cisnąc zaczynały seree.

Oczy dziewicy padły na oszczercę.
 Wzrok był łagodny: a jednak się zdało,
 Że piorunową przeraził go strzałą.
 Wzrok był łagodny — cóż w nim trwogę budzi?
 O! ty Aniele Stróżu w sercach ludzi,
 Sumienie!... twoja to święta powinność,
 W chwilach cierpienia, pokrzepiać niewinność,
 W chwilach tryumfu, być mścicielem zbrodni!..

IX.

Przebóg! przy stosie błysnął blask pochodni.
 Lud bieży ku niej. — Ach! stójcie, szaleni!
 Przygaście pożar rosnących płomieni,
 Zbawcie niewinność! — Próżno! nikt nie słucho.
 Wznoszą się ognie, dym kłębamii bucho.
 Ach! ty sam chyba, sprawiedliwy Boże!
 Twoja dłoń tylko ratować ją może!..

ON płacz dziewicy usłyszał z wysoka,
 Ujrzał niewinność; teńnął, i w mgnieniu oka,
 Przed JEGO teńnieniem płomień się unia:
 I jak piorunu błyskawica chyża,
 Jak wąż ognisty, od stosu odstrzela
 Na głowy sędziów i oskarżyciela.

Struchlała głazem oniemiała rzesza...
 Lecz cóż znów ciszę uroczystą miesza? —
 Wzniosły się w niebo okrzyki radości:
 „Cześć Wszechmocnemu! chwała niewinności!“ —

Jakż cud nowy?—Stos się w krzew zamienił,
Pękły okowy, słup się zazielenił,
I w kształcie wieńca, nad dziewicy czołem.
Dwubarwne róże zakwitnęły społem.

Tak po raz pierwszy od utraty raję,
Róża w śmiertelnym zakwitnęła kraju;
Kraśna jak skromność, jak niewinność biała.
Niebieskie wonie w powietrzu rozlała.

PRZYPISEK AUTORA

„Między miastem a kościołem w Betleem, jest pole nazwane *Campus Floridus*, pole kwitnące, a to z następującego powodu. Piękna dziewczica, oskarżona niewinnie o przestępstwo, skazaną została na spalenie żywcem w tym miejscu; i kiedy już stos podpalać zaczęto, ona wzniosłszy oczy ku niebu, błagała Boga, aby jako świadomy jej niewinności, wybawić ją raczył od tak srogiej a niezasłużonej kary; i to rzekłszy, na stos palący spokojnie wstąpiła. Lecz w mgnieniu oka zagasły płomienie, rozzieleniły się na wpół spalone główne, a na nich zakwitły róże czerwone i białe: były to pierwsze, które widziano na ziemi. A tak niewinna dziewczica za łaską Boga uwolnioną została.”

(Wyjątek z Podróży JANA MAUNDEVILLE.)

WIERNOŚĆ.

BALLADA

Z BÜRGERA.

Kto chce mieć kochankę dla siebie jedynie.

Rad stroni od miasta i dworu.

Pan dworski raz w pięknej kochał się dziewczynie.

I chcąc ją dla siebie zachować jedynie,

Strzegł w zamku dalekim wśród boru.

Nie zważał na trudy, nie zważał na pory,

Bo miłość trud płaci sowicie.

Jak skoro mrok zapadł—przez góry, przez bory,

Do zamku, gdzie miła, niósł jego koń skory,

I stawał u celu o świecie.

Mgłą nocną obwiany i rosą oblany,

Gnał raz Pan co siły zdaleka.

Już widać, już widać cel drogi żądany:

„Pośpieszaj! pośpieszaj, mój koniu kochany!

Gdzie szczęście i rozkosz nas czeka!“—

Już blisko, już blisko cel drogi żądany —
 Jak ranna u wschodu jutrzienka,
Tak w oknach zamkowych świt błyszczał rumiany.
„Ach! nie śpiesz, słoneczko! ach! nie budź kochanej!
 Ach! nie świeć w mój miłej okienka!“ —

I przybył pod zamku cieniste ogrody,
 I konia zostawił zdaleka,
Gdzie łączkę rozkwitłą przepływał źródł wody;
A sam biegł skwapliwie przez tajne przechody.
 Gdzie mniemał, że rozkosz go czeka.

Wszedł cicho — lecz jakąż przejęty był trwogą!
 Ach! jakże w nim serce zadrzało!
Gdy w zimnem łóżeczku nie znalazł nikogo.
„Któż porwał? zawoła, kochankę mą drogą?
 Ach, przebóg! ach! co się z nią stało?“ —

I z izby do izby wołając przebiega,
 Lecz wszystko w ponurój śpi ciszy;
A echo się tylko po salach rozlega,
I mdlejąc powoli, po gmachu przebiega —
 Wtém nagle podziemny jęk słyszy.

To stary murgrabia był w sklepie zamknięty,
 Któremu straż zamku zlecona.
— „Gdzie moja kochanka? mów, starcze przeklęty!
Mów! co się tu stało, żeś w sklepie zamknięty?
 Gdzie ona? — mów prędzej! gdzie ona?“ —

— „Ach! wielkie się, panie, nieszczęście zdarzyło!
Młodzieniec tu jakiś nieznany,
Wpadł w nocy na zamek, ze zbrojną swych siłą,
Mnie wtrącił do sklepu, i porwał twą miłą,
I twoje dwa wierne brytany.“ —

Aż zimny mróz Pana po ciele przeszywa,
A z oczu mu szczery żar świeci;
A w sercu mu zemsta zawrzała straszliwa:
Z okropnem przekleństwem miecz z pochew dobywa,
I wpada na konia, i leci.

Nie trudno zgadł jaką ubiegli ztąd drogą,
Po śladach na rosie, po błoniu.
Więc leci, i konia w bok kole ostrogą:
„Ach! daj się mi pomścić za krzywdę tak srogą,
Pospieszaj! pośpieszaj, mój koniu!

„Ach! będę ich ścigał, choć na kraj gdzie świata! —
Pośpieszaj! pośpieszaj, mój koniu!
Sowita cię za to nie minie zapłata:
Bez pracy, bez trudu, wieść będziesz twe lata
Przy złotym obroku, na błoniu!“ —

Tak woła, i w górze miecz wstrząsa dobyty.
A koń się wyciągnął jak strzała.
Aż jakby z pod ziemi skry krzesze kopyty.
Aż echem piorunu grzmi tentent odbity,
A w jeźdźcu aż kipi krew cała.

Wtém kiedy na wzniosły pagórek wybiegą,

Przy świetle bładawém jutrzeńki.

Młodzieńca z dziewięcią w dolinie spostrzegą;

A wierne brytany do Pana przybiegą.

I łasząc się skaczą do ręki.

„Stój! zdrajco bezczelny!“ — Pan gniewny zawoła.

A w sercu wre zemsty chęć wściekła:

„Jeżeli masz śmiałość nadstawić mi czoła.

Pójdź do mnie, psie podły! a miecz mój podoba

Dziś jeszcze cię wtrącić do piekła!“ —

Młodzieniec nie łatwo dostępny był trwodze,

Miał meztwo i siłę straszliwą.

Na takie obelgi, gniew zawrzał w nim srodze:

Bystremu koniowi zawściągnął więc wodze,

I skoczył ku Panu co żywo.

I jeden i drugi miecz wstrząsa nad głową,

I obaj zskoczyli wnet z koni;

I z okiem iskrzącem, i z twarzą surową,

Spotkali się, zwarli; — szczęk huczy dąbrową.

A iskry się sypią z ich broni.

I jeden i drugi nastaje i siecze,

Już obu krew broczy pancerze:

Jak ognie się jakie krzyżują ich miecze.

Z obudwu znój ciężki, z obudwu krew ciecze,

Obadwaj są równi rycerze.

Wtém kiedy już obaj osłabli na sile,
Zawołał Młodzieniec: „O! panie!
„Jeżeli się zgodzisz, przestańmy na chwilę!
Nie bój się podstępu! odpocznem na sile,
A ja ci otworzę me zdanie.“—

Pan utkwiał miecz w ziemię, i czekał spokojnie
Co powie Młodzieniec nieznany.
— „Daremnie, o! panie! walczymy tu zbrojnie,
Gdy mozem rzecz całą załatwić spokojnie,
Chciéj tylko! bez bitwy, bez rany.

„Na lepsze krew winni oszczędzać rycerze.
Niech spór nasz rozstrzyga sąd damy.
Lecz słowem rycerskiem zaręczmy się szczerze,
Że kogo z pomiędzy nas sobie wybierze,
Bez sprzeczki ją temu oddamy.“—

Pan przypadł na układ, i myślał sam w sobie:
„Mnie przenieść powinna nad niego!
Ach! czyżem jęj w każdéj nie wierny był dobie?
Ach! czyżem ją kiedy naraził ku sobie?
Czyż kiedy zabrakło jęj czego?—

„Mnie przenieść powinna!“—tak myślał Pan zcicha,
I zdał się na słodką nadzieję.
Lecz ona dość piła z jednego kielicha —
A ja was, panowie, ostrzegam nie zcicha,
Że miłość zdawniała nie grzeje.

Niedługo się Dama w namyśle wahała,
Bo gdy się rycerze zbliżyli,
Nowego, młodszego, wnet sobie wybrała,
I białą mu rękę z uśmiechem podała,
I usta ku niemu nachyli.

Więc pana żegnali, i dalej jechali,
Młodzieniec nieznany z dziewczyną.
Pan ścigał ich wzrokiem, aż znikli w oddali;
Gniew szarpie za serce, twarz wstydem się pali,
A z oczu mu gęste łzy płyną.

Sprzecznością tych uczuć i myśli miotany,
Daremnie chciał przemódz swe bole;
I upadł zemdłony pomiędzy brytany;
Te skaczą wokoło, i liżą mu rany,
I liżą znój ciężki na czole.

To znowu mu w oko dzień wniosło stracony,
I życie po członkach rozlało.
Wiernością brytanów do głębi wzruszony,
Przypomniął z żalością na skarb swój stracony,
Bo jeszcze go serce kochało.

Aż kiedy łzy smutku ulżyły mu brzemię,
Co z oczu płynęły jak rzeka,
Chciał wracać do domu; więc podniósł się z ziemi —
Lecz nogę zaledwie postawił na strzemię,
Gdy słyszy wołanie zdaleka.

Więc spójrzy, aż oto Młodzieniec nieznany
Przybiega doń w pyle i znoju.

— „Dziewica, od której dziś jestem wybrany,
Przysła mię po twe dwa wierne brytany,
Lub oddaj, lub stawaj do boju!“ —

Pan wsparł się na mieczu, i słuchał spokojnie
Co mówił Młodzieniec nieznany.

— „Daremnie, młodzieńcze! chcesz walczyć wnet zbroj-
Gdy mogę rzecz całą załatwić spokojnie, [nie,
Chciiej tylko! bez bitwy, bez rany.

„Na lepsze krew winni oszczędzać rycerze.
My spór nasz na wolę psów zdamy.

Lecz słowem rycerskiem zaręczmy się szczerze,
Że który którego za pana obierze,
Bez sprzeczki go temu oddamy.“ —

Rad przypadł na układ Młodzieniec nieznany,
I skrycie się cieszył z umowy;
Albowiem w swęj myśli był pewnym wygranej,
Nie wątpił, że zwabić potrafi brytany,
I wabił je ręką i słowy.

I woła, i cmuka, i bije w kolana,
Słodkimi łakotki przynęca;
Lecz wierne brytany przyskoczą do Pana,
I skaczą wokoło, i liżą kolana,
A zębem swym straszą Młodzieńca.

BAŚŃ

O UŚPIONEJ KRÓLEWNIE I O NAJŚMIELSZYM
KRÓLEWICU.

z ŻUKOWSKIEGO.

Był sobie król i królowa.
On zdrow, młody — ona zdrowa;
Przecież rok, drugi i trzeci,
Jak nie ma, tak nie ma dzieci.
Król w myślach smutkiem się trawi,
Komu swe berło zostawi;
Królowa także się troska.
Lecz cóż? taka wola Boska!
Dręczyli się, umęczyli,
W końcu się uspokoili.

Aż królowa raz wieczorem,
Poszła dumać nad jeziorem,

Dumać zawsze o tém jedném,
O sierocém życiu biedném,
I przez jakąby ofiarę
Odwrócić tę Niebios karę.

Idzie, дума — aż z jeziora,
Płynie wielki rak — potwora,
Z wąsem jak som, a w kirysie,
Jakby jaki rycerz lśni się:
I kiwnąwszy zlekka głową,
Tak się ozwie: „O! królowo!
„Dobre tobie niosę wieści:
„Koniec troskom i boleści!
„W trzy ćwierć roku od tej pory
„Będiesz matką pięknej córki,“ —
— „Ach! ty raku mój nad raki!
„Zkądże tobie rozum taki,
„Byś mógł wiedzieć co się stanie?“ —
Rak jej na to zapytanie
Nic nie odrzekł, lecz się zwinął,
Plusnął w wodę, i gdzieś zginął.

Snem królowej to się zdało;
Lecz jak mówił, tak się stało.
W trzy ćwierć roku od tej pory
Była matką pięknej córki,
A tak pięknej, chociaż małej,
Że jej równej, na świat cały
Ludzkie oczy nie widziały.

Król niezmiernie rad z dzieciny,
Sprosił cały kraj na chrzciny,

A nasamprzód, państwa stróżek,
Jedenaście możnych Wrózek.
Byłać wprawdzie i dwunasta,
Ale stara, zła niewiasta;
Téj nie prosił;—nie dla tego,
Że stara i nie dobrego —
Lecz był powód.—

W dworskich składach,
Po królewskich pra-pradziadach,
Był, osobliwszój roboty,
Serwis cały szczerozłoty,
Jak raz na dwanaście osób.
Król bez niego w żaden sposób
Nie chciał nigdy dać obiadu.—
Aż tu kłopot!—Czy ze składu,
Czy z kredensu, dość, że skrycie
Ktoś dwunaste skradł nakrycie;
Lecz kto? lecz jak? gdzie i kiedy?
Ani śladu!—Król więc tedy
Rada w radę z swym Marszałkiem;
I wołał nie prosić całkiem
Téj dwunastéj Wrózki staréj,
Niż dać serwis nie do pary.

Baba co nie pękła z złości.—
A tymczasem tłumy gości,
Co na bal proszeni byli,
Zebrali się, jedli, pili,

I nakoniec, jak w tym kraju
Było zdawna w obyczaju,
Czy kto krewny, czy nie krewny,
Niósł podarki dla królewny.
A po krewnych i za družbą,
Przyszły Wróżki z dobrą wróżbą,
I przez rymy, przez zaklęcia,
Zarzekały los dziecięcia:

„Będiesz cudem tego świata,
„Będiesz można i bogata,
„Będiesz cudna jasnolica,
„Znajdziesz męża królewica,
„Będiesz wiek wesoło trawić,
„Lud cię będzie błogosławić,
„Będiesz miła, będziesz tkliwa,
„Będiesz dobra i szczęśliwa!“ —

Takie, w kolej od dziesięciu
Wrózek, wróżby szły dziecięciu.
Jedenaście z wróżbą nową
Idzie także: — lecz nim słowo
Wyrzec mogła: — sen czy mara?

Jedną razą Wróżka stara
Zjawiała się przy kolebce,
I już rym swych zaklęć szepce:
„Mnie na ucztę nie proszono,
„Nie karmiono, nie pojono,
„A jać dar mój niosę przecie. —
„Krótko tobie na tym świecie,
„Królewiatko! żyć radośnie.
„W siedemnastej życia wiosnie,

„Zaraniwszy dłoń wrzecionem,
„Zaśniesz na śmierć wiecznym zgonem.“ —
To wyrzekła, w dłoń klasnęła,
Zaśmiała się, i zniknęła. —

Lecz jak zmienić groźby wieszczce? —
Szczęściem Wróżka, która jeszcze
Nie darzyła niemowlęcia,
Tak skończyła rym zaklęcia:
„Kłamiesz! to się tak nie stanie!
„Będzie to sen, nie skonanie.
„Sen ten będzie trwał lat dwieście,
„Lecz nie wiecznie; — aż nareście,
„Zjawi się najśmielszy z ludzi,
„Co ją znajdzie i obudzi.
„Z nim, i z królem, i z królową,
„Odrodzi się jak na nowo;
„Będzie widzieć wnuków wnuki,
„I dopóty żyć, dopóki
„Sama zechce.“ —

To skończywszy,
Królowi się pokłoniwszy,
Wróżki poszły. — Król w rozpacz,
Różnie słowa ich tłómaczy,
Wzdycha, płacze, mizernieje.
I cóż za dziw? nie śpi, nie je,
Myśl złą wróżbą wciąż zajęta:
O dobrych ani pamięta,
A choć wspomni, to nie wierzy.
Myśli wciąż, jak zapobieży

Tę u niego jednę pewną,
Co wróży śmierć dla królowny.
Aż ktoś z dworzan tak doradza:
„Królu panie! twoja władza!
„Zakaż w kraju lnu i przędzy,
„I drwij z przekleństw starej jędzy.“ —

W myśl królowi poszła rada.
Więc nie tracąc chwili, siada,
I do swojej Rady Tajnej
Pisze ukaz nadzwyczajny.
„Ja król, pan wasz, chcę i każę:
„By w całym państwie mych obszarze,
„Nikt — ni szlachta, ani chłopci,
„Nie sieli lnu, ni konopi;
„A kto będzie siał, ten zwije
„Sam z nich stryczek na swą szyję.
„Zabrania się też prząć nici,
„I zaleca się policji,
„Przez wszelkie jakiebądź środki,
„Zniszczyć wszystkie kołowrotki,
„A nadewszystko wrzeczona. —
„Wola moja niecofniona,
„Kto ją słyszy, niech wykona!“ —

Po wydaniu tej ustawy,
Król zbył troski i obawy,
Znów jadł, pił, spał, żył radośnie.
A tymczasem córka rośnie,
Rośnie — matki już dorasta,
I już wiosna siedemnasta!.... —
Cóż się stanie z wróżbą ową? —

Dnia jednego, król z królową,
Gdzieś w gościnę, na czas pewny,
Pojechali bez królowny.
Smutno było to królownie.
Napłakawszy się więc rzewnie,
Co tu począć? myśli sobie.
Nudno! — „Aha! wiem co zrobię.
„Co mam w domu sama siedzieć?
„Pójdę — rzekła — pałac zwiedzić!“ —

Jakoż poszła. — Ochmistrzyni,
Kilka Frejlin idzie przy niej.
Idą naprzód do tronowój,
Od tronowój do balowój,
Z tamtej znów do innej sali;
I tak coraz dalej, dalej,
Przyszły wreszcie do narożnej,
Do okrągłej wieży próżnej,
Gdzie jak zamek zamkiem, pewno
Nie był nigdy król z królowną.

W środku tam nie szczególnego.
Mur z kamienia ciosowego,
Kręte wschody, tuż przy murze,
Wiodą w górę; a na górze,
Widać drzwiczki do ganeczka. —
Królewiatko, jak sarneczka,
Skik, skik, w górę — wbiegła sama.
Ochmistrzyni, wielka dama,
Leżeć po wschodach nie tak rada.
Frejlinom też nie wypada

Isć wprzód, zwłaszcza kiedy gniewna.
Więc zostały;—a królewna
Już tymczasem na wierzchołku.

Wbiega, patrzy—aż na stolku,
U niskiego okieneczka,
Siedzi sobie staruszeżka,
Niziuteńka, siwiuteńka,
Jak gołębek;—prawa ręka
Na powietrzu, palce w ruchu,
I coś kręci na fartuchu.
Co takiego?—kawał drewna,
Naksztalt strzałki!—Więc królewna,
Cicho, cicho, choć w obawie,
Podkrada się—i ciekawie
Patrzy, co to za narzędzie?
A staruszką kądziel przedzie.
I to liźnie lewą rękę,
To coś mruczy jak piosenkę.
„Wrzecioneczko, wij się, wij się!
„Kądziałeczko, nie tak rwij się!
„Praca nasza nie igraszka,
„Wiążem sidło, złowim ptaszka!“—
A królewna z udygnieniem
Spyta jej:—„Za pozwoleniem,
„Co to robisz, proszę?“—„Przędę.“—
—„Naucz-że mnie, i ja będę!“—
I już ręką wyciągnioną
Sięga nici:—wtém wrzeciono.
Ach!—ukłuło;—krew z paluszka
Wytrysnęła—a zła Wróżka

Zaśmiała się w głos, i znikła.—
A w królownie mdłość niezwykła
Rozlewa się—wzrok się klei—
I usnęła.—Tuż z kolei,
Sen ogarnął Ochmistrzynię,
I Frejlinę po Frejlinie;
I co żyło w całym dworze,
Wpadło w letarg.—

W téjże porze
Król powraca.—Co to znaczy?
Ni doboszów, ni trębaczy,
By go witać za powrotem!
Cały odwacht śpi pokotem.
Straż przy bramie, choć stojąca,
Lecz pijana, czy drzemiąca,
Z zwisłą głową i rękoma,
Stoi martwa, nieruchoma.
Co to znaczy?—Król się gniewa,
Chce coś fuknąć—a wtém ziewa,
Ziewa, ziewa—i w pół słowa
Zasnął mówiąc.—I królowa,
I jej dama honorowa,
I szambelan z całą świtą,
Nawet laufer przed karętą.
Z podniesioną, jak biegł, nogą:
I woźnica z miną srogą,
Z zamachniętym biczem w dłoni,
I forysie, i sześć koni,
Jak jechali, tak w pół placu
I zasnęli.—I w pałacu,

Jak kto gdzie stał, tak śpi:—straże,
Prezentując broń; kucharze,
Kręcąc rożen;—nawet płomień,
Choć nie zgasło, nieruchomie
Stoi w górę:—i u góry,
Dym jak buchał, tak w kłęb bury
Zwił się, i śpi: nad kominy
Stercząc tylko jak słup siny.

A jak pałac, tak z nim cała
Okolica zadrzemała,
I powoli, czas za czasem,
Pokryła się gęstym lasem,
Czarnym borem;—a do boru,
Ani drogi, ani toru,
Ni przystępu, ani zblizka!
Wszędzie głogi, a bagniska.
Żaden wiatr tam nie dowiewa,
Nie zaszumią nigdy drzewa;
Żaden ptaszek nie zapiśnie,
Żaden zwierz się nie przecisnie;
Nawet chmura kiedy płynie,
To go zawsze bokiem minie;
Nawet słońca jasność słodka
Nie ma kędy wejść do środka,
Tak jest gęstą mgłą objęty.
Słowem, był to bór zaklęty.

A tymczasem, jak dzień po dniu,
Tak szedł tydzień po tygodniu,
Tak szedł miesiąc po miesiącu,
Rok po roku—aż i w końcu

Sto lat przeszło.—Z razu ludzie
Rozprawiali o tym cudzie,
Potem coraz mniej wierzyli,
Potem całkiem zaprzeczyli.
Została się wieść niepewna,
Ze w tym borze śpi królewna,
I że kto najśmielszy z ludzi,
Ten ją znajdzie i rozbudzi.

Z razu było dość młodzieży,
Z książąt, grafów i rycerzy,
Co przed laty, jak wieść niesie.
Szli próbować szczęścia w lesie.
Ale jedni, pełni trwogi,
Powrócili od pół drogi,
To nie mogąc znaleźć toru,
To nie śmiejąc wejść do boru.
Było jednak i tych wiele,
Co przez głogi i topiele
Przedarli się w las; lecz z lasu
Nikt nie wrócił.—Czas od czau,
Coraz to mniej, coraz rzadziej
Było takich, coby radzi,
Dla niepewnej tam królewny,
Narażać się na zgon pewny.
W końcu nie ma i nikogo.

A czas zawsze swoją drogą
Jak szedł, tak szedł;—aż nareście
Upłynęło i lat dwieście.

Czasby ocknąć się królownie.
Już jej o tem śni się pewnie....
Lecz przyjdzieź najśmielszy z ludzi,
Co ją znajdzie i obudzi?—

Nie potrzeba o to bać się,
Co ma stać się, musi stać się.
Posłuchajcie!

Dnia jednego,
Wiosennego, wesołego,
Syn królewski—(Król już nowy
Był w tym kraju)—lubiąc łowy,
Z wielką psiarnią, z wielkim dworem,
Przyjechał tam, i wieczorem
Jakoś zbłądził.—Jedzie, jedzie,
Przez noc całą; aż na przedzie,
Widzi—czarną mgłą okryta,
Stoi puszcza nieprzebyta.
Nigdzie drogi, nigdzie toru,
Ni przystępu!—Więc wzdłuż boru
Jedzie, jedzie—aż spotyka
Staruszcza, Pustelnika.
Więc go wita, więc go pyta,
Co za puszcza nieprzebyta?—

A staruszek wstrząsłszy głową,
Zaczyna mu słowo w słowo
Opowiadać, co sam pewnie
Wię od starszych: o królownie,
Co w królewskim wielkim dworze
Śpi zaklęta w owym borze:

Śpi lat dwieście, i śpiąc czeka,
Na kochanka, na człowieka,
Co najśmielszy będzie z ludzi,
Co ją znajdzie i rozbudzi.

Opowiadał potem dalej,
Jak już byli tak zuchwali,
Co jej szukać probowali:
Lecz jak jedni wejść nie śmieli,
A co weszli w las — zginęli.

A królewic słuca, słuca—
Był to młodzian pełen ducha,
Pełen serca. — Jednym razem
Wstrząsł się cały, i żelazem
Jak nie zepnie swego konia!
A koń wichrem, wprost przez błonia.
Jak nie skoczy!... w oka mgnieniu
Wpadł do boru, i w drzew cieniu
Zniknął z jeźdzcem. —

Cóż tam w borze? —

Dziwy dziwów! cuda Boże!
Raj nie gaj, nie puszcza dzika,
Oczom jeźdzca się odmyka.
Zamiast głogów — róż ogrody;
Zamiast bagnisk — żywe wody
Połyskują, szumią, brzęczą.
Rój motylów jasną tęczą
Leci nad nim; ptaszki zgrają,
Lecą przed nim, a śpiewają.

Kwiaty pachną—wszędzie wonność,
 Wszędzie jasność a zieloność!
 A koń leci, ani staje;
 A przed koniem same gaje
 Rozchodzą się, czynią drogę;
 A królewic nie już trwogę,
 Ale taką czuje radość,
 Że i w niebie jęjby zadość!
 A tymczasem konia bodzie,
 Leci, leci—aż na przodzie,
 Widzi pałac—cud struktury!
 Z alabastru białe mury,
 Dach się błyszczy jak ze złota,
 Wrota na ścież — więc we wrota,
 Pędzi prosto do pałacu.

Wjechał na plac:—aż na placu,
 Tłumy ludzi w różnych strojach,
 W złotogłowach, w jasnych zbrojach,
 Stoją, siedzą, leżą—ale
 Żaden się nie ruszy wcale,
 I czy stoi, czy kto leży,
 Śpi i chrapie jak należy.
 A wśród placu, jakby wryta,
 Stoi pyszna kocz-karéta,
 Z herbem dworskim, sześciami koni.
 Nasz królewic zajrzał do niej,
 Lecz nie widząc, jak był pewny,
 Młodej, ładnej—więc królewny,
 Wprost pod pałac gnał w zawody.
 Przebył ganek, wbiegł na wschody.

Wszedł do sali — do tronowej,
 Ztamtąd prosto do balowej,
 Ztamtąd znów do innej sali;
 I tak coraz dalej, dalej,
 Doszedł wreszcie do narożnej
 Owęj wieży — już nie próżnej —
 Bo tam właśnie Ochmistrzyni,
 I Frejliny obok przy niej,
 Przed wschodami śpią na ziemi.
 Spojrzał bystro między niemi,
 Czy nie znajdzie tej, co szuka.
 Lecz nie! serce nie oszuka,
 A tu mówi, że jej nie ma.

A więc rzucił wkrąg oczyma.
 Patrzy, widzi wschody kręte,
 I u góry wpół przemknięte
 Małe drzwiczki; — coś widocznie
 Tam go ciągnie; — lecz cóż pocznie?
 Przejść nie sposób! Ochmistrzyni
 Leży wzdłuż, Frejliny przy niej,
 Chyba deptać. — Lecz poradził,
 Krok w tył — skoczył, i przesadził.
 Dopadł drzwiczek, popchnął, wbiega,
 I postrzega — cóż postrzega?
 O! radości! — „Tak! to pewna!
 „To jest ona! to Królowna!“ —
 Tak, to ona! — bo gdzież w świecie
 Taka druga? —

Jakby dziecię,
 Spokojniutka, miła, cicha,
 Drzemie zlekka: — pierś oddycha;

Usta drgają, jak śród krzewu
 Listek róży od powiewu;
 Po przez rzęsy jasność oczek
 Lśni jak gwiazdka przez obłoczek.
 Włos w pierścieniach oblał szyję,
 W twarzy róże a lilije.
 Na wysmukły, cienki stanik,
 Rzucon lekki półkaftanik,
 Purpurowy, złotem tkany,
 Gronostajem bramowany.
 Zresztą w bieli, lekkiej, mglistej,
 I w zasłonie wpół przejrzystej.
 W dole tylko z pod fartuszka,
 W koturniku, drobna nóżka
 Lśni się złotem. — Cudo dziewic!
 Śpi jak anioł! — a królewic,
 W zadumieniu, w zachwyceniu,
 Cały w sercu a spójrzeniu,
 Nieruchomy stał — i ona
 Spała przed nim niewzruszona.

Lecz jak przerwać sen zaklęty? —
 Od miłości on natchnięty,
 Skoczył ku niej, zgiął kolano,
 Wlepił oczy w twarz rumianą.
 Usta drgnęły jak uśmiechem,
 Pierś jej żywszym tchnie oddechem;
 W licach zakwitł kwiat rumieńca,
 Jakby czuła wzrok młodzieńca.

A młodzieniec! w uniesieniu,
W upojeniu, w omamieniu—
O! któżby się pohamował?—
Schylił się—i pocałował.

A wtém nagle izba cała
Blaskiem słońca zajaśniała.
I królowna się ocuca!
Błędném okiem wkoło rzuca,
I ujrzawszy królewica,
Rumieni się i zachwyca.

A tymczasem, jak w pałacu,
Tak na ganku i na placu,
Jak kto gdzie spał, tak się budzi.
Znów gwar, hałas, ciżba ludzi.
Ochmistrzyni jeszcze ziewa,
Na Frejliny już się gniewa.
Dobosz widząc że król jedzie,
Bije werbel; a na przedzie,
Laufer jak stał bieży dalej,
Furman z kozła z bicza pali,
I zajeżdża.—Król, królowa,
I jej dama honorowa.
I szambelan z resztą świty,
I hajduki z za karóty,
Wysiadają, dłoni podają,
Króla we drzwi wprowadzają.
Straże bronie prezentują,
W kuchni znowu jeść gotują.
Kuchmistrz miechem w ogień dmucha,
Ogień trzaska, dym znów bucha.

Słowem, wszystko się ruszyło,
Odrodziło się, ożyło,
A wszystko jak dawniej było.
Prócz nowego tylko gościa,
Królewica jegomościa,
Co z królowną wraca z wieży,
 Król naprzeciw niego bieży,
Królowa tuż za nim kroczy,
Za królową dwór się tłoczy,
A u wszystkich wielkie oczy!...

 A królewic im rzecz całą
Opowiada, jak się stało. —
Słyszając to król i królowa,
Ledwo mogli przyjść do słowa,
By mu wdzięczność swą objawić,
I z królowną błogosławić.

 Cóż wam jeszcze mówić dalej? —
Kochankowie się pobrali.
Król znów sprosił gości wiele,
Sprawił ucztę, a wesele,
Luszytk, bal! — I ja tam byłem,
Miód i wino z gośćmi piłem.
A còm od nich się dowiedział,
Tom wam, jak mógl, opowiedział.

BASŃ

O ZŁOTYM KOGUTKU

z PUSZKINA.

W trzydziwiątém wschodniém państwie,
W trzydziiesiątém gdzieś sułtaństwie,
Żył był sobie Sułtan Dadom.
Straszny klótnik! ni sąsiadom,
Ni poddanym, ni w swym domu,
Nigdy, nigdzie i nikomu,
Nie dał chwili żyć spokojnie.
Albo wojnę wiódł po wojnie,
Albo lud ciemężył w kraju,
Lub w Dywanie i w Seraju,
Żartem, śmiechem, różną próbą,
Kłócił, jątrzył między sobą

Odaliski, Muftych, Baszów,
 Aż do pięści a pałaszów.
 Bo najmilsza dlań zabawa,
 Był harmider, hałas, wrzawa,
 Nigdzie ładu ni porządku!—

Jednak z czasem—czy z rozsądku,
 Czy z lenistwa—dość że z wiekiem
 Sułtan cichszym stał się człekiem,
 I nakoniec ku starości,
 Sam zapragnął spokojności.

Aż tu kłopot! bo sąsiedzi,
 Widząc że on cicho siedzi,
 Nuż na niego! nuż wojować,
 Napastować a rabować,
 I wet za wet, żuk i żaby,
 Deptać wroga, kiedy słaby!—

A więc Sułtan, by swe własci
 Zabezpieczyć od napaści,
 Musiał trzymać wojsk bez liku.
 Wojsko ciągle w zbrojnym szyku
 Dzień i noc pod bronią stało:
 Lecz i to nie pomagało.
 Bo naprzykład: wojsko w nocy
 Strzeże granic od północy;
 Aż tu goniec: „Marsz na prawo!
 „Wróg od wschodu.“—Wojsko żwawo
 Dalej na wschód!—Aż znów goniec:
 „Marsz na zachód!“—Z końca w koniec

Wojsko ciągle tak biegało,
Aż mu w końcu nóg nie stało.

Krew ze złości wre w Sułtanie.
Aż się tarza po dywanie.
Nie śpi, nie je, wychudł srodze.
Co po życiu w ciągłej trwodze?—
Więc rad nie rad, rady słucha,
Szele do Mędrea, do Eunucha,
Do sławnego Astrologa,
By mu pomógł zwalczyć wroga.

Astrolog się też nie leni,
Przyszedł, stanął, i z kieszeni
Dobyl złotego kogutka.
„Padyszachu! rada krótka,
„Każ przynieść żerdź, na tej żerdzi
„Ten kogutek się przytwierdzi.
„Żerdź każ zatknąć w środku placu.
„Przed oknami, przy pałacu.
„A będzie to stróż twój wierny,
„Twego państwa jak odźwierny.
„Póki pokój, mój kogutek
„Będzie siedział spokojniutek;
„Ale niechże zkądbądź kiedy
„Przyjdzie wojna: zaraz wtedy
„Mój kogutek się strzepoce,
„Krzyknie, skrzydłem załopoce,
„I obróci się w tę stronę,
„Zkąd twe państwo zagrożone.“ —

Sułtan cieszy się, dziękuje,
 Złote góry obiecuje.
 A Astrolog Sułtanowi
 Pokłonił się, i tak mówi:
 „Padyszachu! mnie nie trzeba
 „Ani złota, ani chleba,
 „Tylko łaski twój żrenicy,
 „I tej jednej obietnicy,
 „Że najpierwszą prośbę moję,
 „Spełnisz jakby wolę swoję.“ —
 Sułtan przyrzekł—i spokojny,
 Jadł, pił, przestał bać się wojny,

A kogutek na swój tyce,
 Strzegł stolicę i granice.
 Póki pokój, póty cicho.
 Lecz jak tylko jakie лихо
 Zagroziło z której strony :
 Wnet kogutek jak szalony,
 Obracał się, kręcił, miotał,
 I trzepotał i łopotał:
 A co wrzasku, a co krzyku!
 „Kukuryku! kukuryku!“
 Nie ma rady! wszystkich głuszy.
 Póki wojsko nie wyruszy,
 Nie wyruszy w tamte strony,
 Gdzie on dziobkiem obrócony.
 I znów potem cicho siedzi.—

Dowiedzieli się sąsiedzi,
I raz, drugi, w pień wycięci,
Poskromili cheiwe chęci.

Rok, i drugi, nie ma wojny!
Kogutek i kraj spokojny.
Sułtan nabrał sił i mocy.
Aż tu raptem jednej nocy
Słyszysz—stuk, stuk, do pałacu.
„Co tam? kto tam?“—a na placu
Hałas, tertes!—wpada Basza:
„Padyszachu! zguba nasza!
„Ratuj! kogut krzyczy znowu.“—
Sułtan z łoża, z złotogłowa,
Chyc, wyskoczył—patrzy z ganku.
A kogutek bez ustanku
Trzepoce się, kręci, wije,
Na wschód zwrócił dziób i szyję:
„Kukuryku! kukuryku!“—
A więc na koń, i do szyku!
I najstarszy sam Sułtanie,
Poszedł z wojskiem bronić granic.—
Kogutek się uspokoił,
Sułtan znowu pił i poił.

A tymczasem dni mijały,
Jeden, drugi, tydzień cały,
A o wojsku ani słychu.—
Bają różnie, lecz po cichu:
Jeden przeczy, drugi twierdzi.—
Aż tu znowu krzyk na żerdzi.—

E! źle!—co tu rady długie?—
Sułtan zebrał wojsko drugie,
A z niēm młodszy syn ostatni,
Poszedł na ratunek bratni.

Kogutek znów skrzydła zwija,
Znów dzień, drugi, tydzień mija,
A o wojsku ani słyhu. —
A więc już i nie po cichu,
Dzieci skwierczą, żony płaczą,
Że swych mężów nie zobaczą.—
A kogutek znowu wrzeszczy,
Jeszcze mocniej!—Strach złowieszczy
Przejął Baszów i Dadoma.
A więc nie czas siedzieć doma.
Kto mógł oręż dźwigać w dłoni,
Na koń, na koń, i do broni!—
Sułtan konno sam na przedzie,
Na wschód trzecie wojsko wiedzie.

Wiedzie, wiedzie, dniem i nocą,
By wczas synom przyjść z pomocą.
Sam na czele czat swych przednich,
Szuka śladu wojsk poprzednich.
Nigdzie żadnych!—ani szanćów,
Ni bojowisk, ni mieszkańćów,
Aby powziąć choć języka.—
Okolica pusta, dzika!
Trzy dni idą samym borem,
Trzy dni polem;—aż wieczorem

Dnia siódmego, wchodzą w strone,
Góry dzikie, nieznajome.
Weszli, przeszli.—Z drugiej strony,
Jak wzrok zajrzy, smug zielony;
I u wyjścia z gór rozbity,
Stoi namiot złotolity.

Spójrzy Dadom, i w dłoń kłaśnie.—
Całe wojsko, jak śpi właśnie,
Na równinie trupem leży.—
Do namiotu Sułtan bieży.
Aż tu przed nim—o! żałoba!
Widzi synów—martwi oba.
Bułat w rękę, ostrz bułata
Tkwi nawzajem w sercu brata.—
„O! wy dzieci moje, dzieci!
Ryknął Dadom: „Wpadły w sieci
Sokolęta przed sokołem!“—
I uderzył w ziemię czołem.—
Całe wojsko, jak tam stało,
Jednym płaczem zapłakało.
Zapłakały echem góry!—

Wtém z namiotu—słońce z chmury!
Twarz huryski! postać pańska!
Sułtanówna Szachmachajska
Wyszła—idzie—w pół się sroma,
W pół uśmiecha do Dadoma.....
Jak przed słońcem ptastwo nocy,
Dadom zamilkł: nie ma mocy

Wyrzec słowa; głowę kłoni,
I już myśli tylko o niej.

Ona w namiot go wprowadza,
Obok siebie za stół sadza,
I z uśmiechem spoeczając wabi
Na łabędzi puch jedwabi.—

Dadom nie już o żalobie,
Lecz zapomniał sam o sobie;
I dzień za dniem, tydzień równo,
Przeuczutował z Sułtanówną.

Ale pora wracać doma!
Wojsko woła na Dadoma.
Więc w kolasce, przy Dziewicy,
Wraca z wojskiem do stolicy.

W kraju już się rozgłosiło,
Co było i co nie było.
Więc kto żyje, co tchu stanie,
Wybiegł z miasta na spotkanie,
I tłum cały biegł ulicą,
Za Dadomem i Dziewicą.

Sułtan z okiem pełnem łaski,
Kłania, wita lud z kolaski.
Aż przed zamkiem, w szacie białej,
Sam jak łabędź osiwiały,
Mędrzec Eunuch stoi w progu.

„A! jak się masz, Astrologu!
„Cóż to się tak nam przyglądasz?
„Zbliź się, powiedz, czego żądasz?—

— „Padyszachu!“ mędrzec rzecze,
„Co się zwlecze, nie uciecze.
„Za podany ci ratunek,
„Musim skończyć nasz rachunek.—
„Patrz! kogutek tkwi na tyce.
„A więc, pomnisz obietnicę,
„Że najpierwszą prośbę moję
„Spełnisz, jakby wolę swoje?“—
— „Zgoda! Dadom odpowiedział.
„Spełnię wszystko, byłem wiedział
„Co chcesz; ufaj łasce pańskiej!“—
— „Chcę Dziewicy Szachmachąńskiej.
„Sam bezemnie jejbyś nie miał.“—
Sułtan pobladł i oniemiał.
„Co ty? kto ty? czyś szalony?“
Krzyknął wręście zapęrzony.
— „Padyszachu! a umowa!“—
— „Obiecałem—ani słowa!
„Lecz wszystkiemu jest granica.
„I na djabłaż ci dziewica?—
„Wiész kto jestem! proś więc u mnie
„Co chcesz, ale proś rozumnie.
„Chcesz? dziel z nami kasę naszą;
„Chcesz? mianuję ciebie Baszą;
„Wręście dam pół państwa mego.“—
— „Nie potrzeba mi niczego,
„Prócz twój dawniej obietnicy,
„Szachmachąńskiej Jasnoliciej.“—
Tu już Sułtan jak za młodu,
Wobec miasta i narodu.

Zapędził się, wzniosł kułaki:

„Ach! ty taki! ty owaki!“

Zawrzeszczał na czém świat stoi.

„Nie chciałeś mieć łaski mojej,

„Figa-ż tobie, djable stary!—

„I nie ujdiesz mi bez kary,

„Czarowniku!—héj! powrozy!

„Wiąż go, łapaj, i do kozy!“—

A staruszek się opiéra,

Szamoce się, z rąk wydziéra,

I kryje się pod kolaską.

A wtém Sułtan grubą laską

Jak nie machnie—w samo ciemię!...

Ani jęknął—bryk o ziemię.

Sułtan zląkł się, i stolica

Przeleękła się; a Dziewica

Aż zachodzi się od śmiechu,

Jakby z żartu, a nie grzechu.

Sułtan już się zaczął krzywić,

Lecz się nie śmiał jej przeciwieć,

I wysiada pod przysionek.....

Wtém coś brzęczy jakby dzwonek

Kogutek się zerwał z tyki:

„Kiki-riki, kiki-riki!“

Coś inaczéj jak na wojnę.—

Wszystkich oczy niespokojne

Patrzą—nowość niesłychana!

/ A kogutek do Sułtana

Obces w oczy—dziub go w ciemność!...
Aż i Sułtan, hrym o ziemię.

A ta znowu w śmiech nie w smutek.—
„Py-li, py-li!“—i kogutek
Jakby swojski leci do niej.
Zwinał skrzydła, siadł na dłoni.
A ona wtém—jak siedziała,
Smyk w górę!—i poleciała.

A w stolicy żal i trwoga.
Sułtana i Astrologa
Pochowano obok siebie.
Był pogrzeb, a po pogrzebie
Stypa.—I ja na niej byłam,
I płakałem, i miód piłem.—
A miód jak baśń: pijesz—miło:
Skończysz—jakby nie nie było.

KONIEC TOMU II.









Biblioteka WSP Kielce



0179887